

01145-0-34-20107101

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr II/386

1979



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

Ks. J. SADZIK : **HOMILIA W DNIU POGRZEBU
ŚP. ZYGMUNTA HERTZA**

W. SUKIENNICKI : **O "INTEGRACJI",
"DENACJONALIZACJI" I INNYCH SPRAWACH**

J. NOWAK : **TRZECIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ -
CIĄG DAŁSZY**

SOCJUSZ : **TEORIE, WYTYCZNE I SPORY**

SPIS RZECZY

—	Zygmunt Hertz	3
Józef Czapski:	Z y g m u n t	5
Ks. Józef Sadzik:	Homilia w dniu pogrzebu śp. Zygmun- ta Hertza	6
Wiktor Sukiennicki:	O „integracji”, „denacjonalizacji” i innych sprawach	10
Krzysztof Zawrat:	Co nowego w literaturze polskiej? ..	19
Tibor Déry:	Co przyniósł dzień	30
W I E R S Z E		
Ryszard Krynicki:	Nie jestem godzien — Wewnątrz — Nie bój się — Świat woli — Nie- widzialne — Nagle — Wysoko zaszedłeś	34
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Jan Nowak:	Trzeciej wojny światowej — ciąg dalszy	36
Dominik Morawski:	Korespondencja z Rzymu	45
K R A J		
Socjusz:	Teorie, wytyczne i spory	51
Jadwiga Kwiatkowska:	Radio Wolna Europa	70
J. Ś.:	Przegląd prasy niezależnej	77
Jacek Bierezin:	List Otwarty do Min. Obrony Narod. Lista członków TKN	80
—	Represje	82
—	Represje	83
SĄ S I E D Z I		
Adam Kruczek:	W sowieckiej prasie	85
—	Trybunał imienia Sacharowa	92
Józef Łobodowski:	Fałszywa legenda	99
Dominik Morawski:	Kronika ukraińska	104
Andrzej J. Chilecki:	Kronika niemiecka	106
„ZESZYTY HISTORYCZNE”		
—	50-ty Numer „Zeszytów Historycznych”	109
WOŁANIE NA PUSZCZY		
Kisiel:	Batalia o czas zmarły, a teraz zmar- twychwstający	111
WOLNA TRYBUNA		
Rafaël Scharf — Andrzej Szcypiorski:	Polacy i Żydzi — podsumowanie dys- kusji	115
K S I Ą Ż K I		
Aleksander Gella:	Powstanie Warszawskie w książce i recenzjach	134
—	Nadstanie nowości wydawnicze	148
—	Wydarzenia miesiąca	150
J. Giertych, A. Kołodko, Z. Michałowski, B. Pia- secka Johnson, B. Sulik, J. Wiśniewski, W. Za- horski:	Listy do Redakcji	154

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Listopad - Novembre 1979

INSTITUT  LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA) — dla uczczenia pamięci Zygmunta Hertza	F. 487,00
Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA) — zamiast kwiatów na grób Janusza G. Zielińskiego	F. 220,00
Carole S. Doyle, nauczycielka angielskiego w Fairfax County Virginia (USA) i koledzy z ławy szkolnej zmarłego w dn. 30.9.79 Krzysztofa Hilarego — zebrana dla uczczenia jego pamięci kwotę \$81,00 przekazują zgodnie z życzeniem zmarłego	F. 340,20
Ryszard Fiks, Chicago, Ill. (USA), po raz 14-ty	F. 33,50
Henryk Grynberg, Mc Lean, Va. (USA) — zamiast kwiatów na grób śp. Hilarego Krzysztofiaka	F. 42,00
Tadeusz Knapkiewicz, Winterthur (Szwajcaria), po raz 6-ty ..	F. 250,00
Dr Tadeusz Maciejczyk, Milledgeville, Ill. (USA), po raz 6-ty	F. 420,00
Feliks Mantel, Paryż — dla uczczenia pamięci Zygmunta Hertza	F. 100,00
Ilse Maybach, Heilbronn (RFN), po raz 16-ty	F. 500,00
Aniela Mieczysławska, Londyn — dla uczczenia pamięci Zygmunta Hertza	F. 84,00
Ewa i Monika Mieroszewskie, Waszyngton — zamiast kwiatów na trumnę śp. Hilarego Krzysztofiaka	F. 105,00
Bohdan i Maria Paczowscy, Mediolan — zamiast kwiatów na grób śp. Zygmunta Hertza	F. 300,00
Stanisław Radwański, Paryż, po raz 4-ty	F. 200,00
Anna i Kazimierz Sabbatowie, Londyn, zamiast kwiatów na grób Zygmunta Hertza	F. 190,00
Urszula i Kazimierz Zamorscy, Monachium — zamiast kwiatów na trumnę Zygmunta Hertza	F. 50,00
Prof. Janusz K. Zawodny, Claremont, Cal. (USA), po raz 15-ty	F. 315,00
Norbert Zaba, Stockholm — dla uczczenia pamięci śp. Zygmunta Hertza	F. 150,00
Adela i Władysław Żeleńscy, Paryż — zamiast kwiatów na grób Zygmunta Hertza	F. 200,00
Bezimiennie ze Szkocji — zamiast kwiatów na grób Zygmunta Hertza, długoletniego, dobrego, wiernego przyjaciela	F. 320,00
Zofia i Kazimierz Romanowiczowie, Paryż — na „Fundusz Zygmunta Hertza”	F. 200,00
Wanada Młynarszewska (USA) — na pomoc dla opozycji w Polsce	F.3.213,60
Maryla Hansen-Swietek, Kopenhaga, na opozycję w Polsce sumę uzyskaną przez Komitet Rozpowszechniania Literatury Polskiej i Rosyjskiej w Kopenhadze ze sprzedaży książek, latem 1979	F. 637,45
Na pomoc dla niezależnych wydawnictw w Polsce — suma zebrana z okazji prywatnie zorganizowanego Kiermaszu książki i na stoisku Niezależnych Wydawnictw Krajowych w czasie Dnia Polskiego w Albany, N.Y. (USA)	F. 655,00
Zygmunt Kallenbach, Genewa — zamiast kwiatów na trumnę Zygmunta Hertza — na Kasę Pomocy Naukowej, powołaną przez TKN	F. 250,00
Andrzejostwo w Londynie, Krystyna i Maria Wasung w Genewie — dla uczczenia pamięci Drogiego Przyjaciela Zygmunta Hertza — na Kasę Pomocy Naukowej, powołaną przez TKN	F.1.250,00

DZIĘKUJEMY!

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 160-tej)

Ś i P

ZYGMUNT HERTZ

Współzałożyciel i najbliższy współpracownik Instytutu Literackiego po długiej i ciężkiej chorobie zmarł 5 października 1979 roku w Maisons-Laffitte przeżywszy 71 lat; został pochowany 9 października na cmentarzu w Mesnil-le-Roi.

REDAKCJA KULTURY

Jest to druga strata, która dotyka nasz mały zespół. Dla uczczenia pamięci Juliusza Mieroszewskiego i Zygmunta Hertza Instytut Literacki ustanawia coroczne stałe nagrody:

Nagrodę literacką im. Zygmunta Hertza;

Nagrodę publicystyczną im. Juliusza Mieroszewskiego.

Wysokość każdej nagrody będzie wynosiła F. 5.000,00. Po raz pierwszy będą one przyznane w końcu bieżącego roku.

Wszystkim przyjaciółom Zygmunta i moim, od których z całego świata otrzymałam tyle wyrazów współczucia i sympatii i tak wiele wzruszających listów i depeš, na które w tej chwili nie jestem w stanie odpisać, najserdeczniej z głębi serca dziękuję

Zofia HERTZ

Chcę tylko, dla upamiętnienia samego faktu, podać tekst trzech depeš, z których dwie zaadresowane były do mnie, a jedna do Jerzego Giedroycia i które zostały przez władze PRL skonfiskowane. Wysyłający je liczyli się z tą możliwością i ich tekst został nam przetelefonowany. Oto one:

„Droga Pani Zofio!

Podczas głódówki w kościele Św. Krzyża doszła do nas wiadomość o śmierci Pani Męża, śp. Zygmunta Hertza. Składamy Pani wyrazy głębokiego współczucia i łączymy się w bólu. Dla wielu z nas śp. Zygmunt Hertz był osobistym przyjacielem, dla wszystkich człowiekiem, który oddał wiele lat życia dla tych wartości, w imię których spotkaliśmy się w kościele Św. Krzyża. Jego odejście jest wielką i niczym niepowetowaną stratą dla życia obywatelskiego, dla kultury polskiej, dla Polski”.

Depesza została podpisana przez 15-tu uczestników głódówki i ich rzeczników: J. Kielanowskiego i J. J. Lipskiego.



Szanowna Pani, głęboko poruszeni wiadomością o ciężkiej stracie jaka Panią dotknęła pragniemy wyrazić Pani nasze serdeczne współczucie.

REDAKCJA GŁOSU



Jerzy Giedroyc.

Szanowny Panie, przesyłamy Panu wyrazy głębokiego żalu z powodu śmierci długoletniego współpracownika *Kultury* i Pańskiego Przyjaciela — pana Zygmunta Hertza. Więzy między krajem i emigracją nie zostały nigdy zerwane dzięki działalności ludzi takich jak On. Dlatego też, chociaż nie było nam dane poznać Go osobiście, Jego śmierć także i my przeżywamy jako bolesną stratę.

REDAKCJA GŁOSU

Zygmunt

W naszym domu *Kultury* pierwsza trumna. Śmierć Zygmunta Hertza. Współzałożyciel *Kultury*, towarzysz najbliższy, nieustannie aktywny od pierwszego dnia jej powstania. Przecież prawie 30 lat przeżyliśmy z nim pod jednym dachem, a od ileż dawniej wiązały nas wspólne wędrówki od Buzułuku po Bliski Wschód i Włochy.

Po słowach wypowiedzianych przez księdza Sadzika w kościele, skąd Zygmunta wyprowadziliśmy tłumnie i ze łzami na cmentarz, po słowach o dobroci Zmarłego, każdy z nas by chciał te słowa właśnie, od siebie powtórzyć. Wszyscy jakby teraz dopiero naprawdę zrozumieli kogo tracą, kim był ten wciąż w ruchu, wciąż czymś czy kimś przejęty przyjaciel i łącznik tylu przyjaciół.

A przecie pomimo pozorów nie był On człowiekiem łatwym, choć pełnym humoru, wspaniałej żywotności, miał on umysł odruchowo krytyczny, lubić opukiwać, demaskować nasze łatwe zachwyty czy nie dość przemyślane plany, lub bronić zajadłe niedocenionych.

Jego dobroć — nie była taka jak wszystkich, bo łatwo jest być dobrym dla paru najbliższych, ale krąg jego przyjaciół i znajomych którzy mu coś zawdzięczali, był tak bardzo rozległy! Gdzie był ten, którym nie był gotów aktywnie się zainteresować?

Nie tylko dobroć — ale *nieobojętność* była cechą zasadniczą jego natury, żywa ciekawość, potrzeba natychmiastowej partycypacji wzbogacała nasze z nim stosunki, nigdy zdawkowe, bo żywe, polemiczne, wymagające.

Pomimo wszystko co przeszedł, a może dlatego właśnie, miał do ostatnich tygodni tak żywą wolę życia, która nawet w ciężkiej chorobie go nie opuszczała.

Kiedy dziś przechodzę koło półprzymkniętych drzwi jego pokoju zdaje mi się, że nawet ten pokój tak bardzo go wyraża. Ściany zawieszone obrazami jego przyjaciół, kolekcje medali i pamiątki z całego świata mu nadsyłane, meble nieliczne, ale jakże zadbane, świecące aż po kolorowo malowaną skrzynię, aż po zwykłe okno, które Jan Lebenstein przemienił w bardzo kolorowy, pełen dziwnych postaci wesoły witraż.

Zygmunt chciał i umiał żyć; w tak częstych z Polski i ze świata odwiedzinach przyjaciół *Kultury* jak wielu odwiedzało ten dom dla niego czy przez niego.

Po Jego odejściu dom nasz będzie cichszy i smutniejszy, nikt Go nie potrafi zastąpić.

Józef CZAPSKI

Homilia

W DNIU POGRZEBU ŚP. ZYGMUNTA HERTZA
(9 PAŹDZIERNIKA 1979)

1. Stoimy nad trumną śp. Zygmunta. W czasie sprawowanej Eucharystii oddajemy Mu ostatnią posługę. Czynimy to w bólu, ale i spontanicznie, na miarę spontanicznej uczynności Zmarłego. Gdyby się chciało w najprostszym i najbardziej zwięzłym stwierdzeniu określić całe Jego życie, trzeba by powiedzieć: Zygmunt był człowiekiem dobrym. Nie jest łatwo przejść przez życie w dobroci! Dobre przeżycie jednego dnia wymaga czasem większego wysiłku niż napisanie książki. Zygmunt nie pisał książek — szedł drogą trudniejszą codziennej dobroci.

Był człowiekiem, który organicznie nie potrafił przejść obok drugiego w sposób obojętny. Cechowała go wrażliwość na ludzkie biedy, urzekająca subtelność w dostrzeganiu cierpienia, bezgraniczna uczynność w stosunku do napotkanego człowieka. Posiadał legion podopiecznych „synów” i „córek”. Pomagał, wstawał się, bronił, udzielał poparcia. To była Jego tajemnica: ów niepojęty zmysł dobroci. Kiedy na to znajdował czas?

Jednocześnie był człowiekiem wyjątkowej skromności, wyrozumiałości dla cudzych błędów, pobłażliwości i tolerancji. Nie wchodził w cudze sumienia. Nie znosił mentorstwa. Pomagał bez słów. Nie zawsze oddawano Mu dobrocią za Jego dobroć. Wówczas nie żywił żalu. Może dlatego, że patrzył na siebie i na innych z łagodnym dystansem i ciepłym sceptycyzmem. Wszyscy, którzy się z Nim spotkali, wiedzą, że Zygmunta nie można było nie kochać.

Wreszcie — i nade wszystko — był oddany sprawie, której poświęcił całe dojrzałe życie: Instytutowi Literackiemu. Zygmunt miałby mi za złe, że używam słowa „sprawa” oraz mówię o „poświęceniu życia”. Nie lubił słów podniosłych. Wszakże dla wszystkich, którzy Go obserwowali, było jasne, że swoją żmudną

pracę traktował jako wyraz osobistej godności. Nigdy nie wątpił o słuszności obranej drogi. Również tutaj patrzył na siebie z dystansem, usiłując w historycznej perspektywie zobaczyć własne zaangażowanie. *Praeterit enim figura huius mundi* — przemija bowiem postać tego świata — a sito czasu pozostawia jedynie zdrowe ziarno.

2. Jeżeli wyliczam ten „katalog cnót” Zygmunta, to nie dla efektów oratorskich czy wątpliwego modelu „mowy pogrzebowej”. Czynię to z racji głęboko religijnych. Gdy popatrzyłem wstecz na to zamknięte już życie, zafrapowało mnie podobieństwo postawy Zygmunta do wzorca zaproponowanego przez Jezusa w Ewangelii według Mateusza, w wypowiedzi przeznaczonej — między innymi tekstami — na dzień pogrzebu. Przypomnę ten fragment Ewangelii: „Gdy Syn Człowieczy przyjdzie w swej chwale i wszyscy aniołowie z Nim, wtedy zasiądzie na tronie pełnym chwały. I zgromadzą się przed Nim wszystkie narody... Wtedy odezwie się Król do tych po prawej stronie: 'Pójdźcie, błogosławieni Ojca mego, weźcie w posiadanie Królestwo, przygotowane wam od założenia świata.

Bo byłem głodny, a daliście mi jeść;
byłem spragniony, a daliście mi pić;
byłem przybyszem, a przyjęliście mnie;
byłem nagi, a przyodzialiście mnie;
byłem chory, a odwiedziliście mnie;
byłem w więzieniu, a przyszliście do mnie'.

Wówczas zapytają sprawiedliwi: 'Panie, kiedy widzieliśmy Cię głodnym i nakarmiliśmy Ciebie? spragnionym i daliśmy Ci pić? Kiedy widzieliśmy Cię przybyszem i przyjęliśmy Cię? lub nagim i przyodzialiśmy Cię? Kiedy widzieliśmy Cię chorym lub w więzieniu i przyszliśmy do Ciebie?' A Król im odpowie: 'Zaprawdę, powiadam wam — wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili'” (Mt 25, 31-40).

Nie jest tutaj ważny patetyczny i wyobraźniowy język opowieści. Owa forma literacka była zrozumiała dla słuchaczy Jezusa. Ważne jest samo przesłanie. Polega ono na zapowiedzi nadejścia ostatecznego rozrachunku z historią. Będzie to moment zamknięcia dziejów, a także chwila rozrachunku każdego z nas ze swoim sumieniem.

Jest rzeczą godną najwyższej uwagi, że w tej uroczystej chwili Jezus nie odwoła się do głoszonych przekonań, ale do pełnionych czynów. Sądzę, że przemawia tu do nas jeden z najbardziej zaskakujących tekstów Ewangelii. Przesłanie Jezusa polega, z jednej strony, na Jego bezgranicznej identyfikacji z człowiekiem cierpiącym; z drugiej strony, zostaje podana sprawdzalność wyznawanej w Niego wiary. Jezus nie mówi, iż okazana pomoc będzie brana pod uwagę tak, „jak gdyby” Jemu została okazana. Między Nim a cierpiącym nie ma granicy. My zaś, którzy zostaliśmy osiągnięci przez łaskę, posiadamy ten miernik, dzięki jake-
mu

możemy sprawdzić słuszność naszych przekonań. Owa sprawdalność wiary, tylokrotnie podkreślana na różnych miejscach Pisma, sprawia, że chrześcijaństwo — rozumiane autentycznie — jest z natury przeciwieństwem wszelkiej ideologii. Nie jest doktryną, nauką, strukturą abstrakcyjną — jest służbą człowiekowi w imię Boga-Człowieka.

3. Ma się rozumieć, chrześcijaństwa nie da się sprowadzić do zwyczajnego humanizmu, a Kościoła do instytucji filantropijnej. Jako ksiądz katolicki zapodziałybym własną identyczność, gdybym nie miał odwagi — bez względu na to, jakie są orientacje światopoglądowe zgromadzonych tutaj uczestników — podkreślenia „głupstwa nauki krzyża” (por. 1 Kor 1,18). „Głosimy Chrystusa ukrzyżowanego, który jest zgorszeniem dla Żydów, a głupstwem dla pogan, dla tych zaś, którzy są powołani, tak spośród Żydów, jak i spośród pogan, Chrystusem — mocą Bożą i mądrością Bożą” (1 Kor 1,23-24). Wierność człowiekowi wynika w chrześcijaństwie z przekonania, że jedyny raz w dziejach niewypowiedziany Bóg połączył się z człowiekiem do końca. Z człowiekiem konkretnym, któremu było na imię Jezus, który wychował się w umiejscowionej osadzie — Nazarecie, w oznaczonym kraju — Palestynie, w ściśle określonym czasie — za panowania rzymskiego cesarza Augusta. Humanizm chrześcijański jest ze stanowiska „zdrowego rozsądku” szaleństwem. („O, gdybyście mogli znieść trochę szaleństwa z mojej strony!” — wołał Paweł do „zdrowo myślących” Koryntian — 2 Kor 11,1). Twierdzi bowiem, że krzyż Jezusa przyniósł człowiekowi odkupienie; co więcej — iż Jezus przez śmierć na krzyżu zwyciężył śmierć powstając z martwych. Humanizm chrześcijański przyjmuje, że tylko w Jezusie człowiek może dojść do pełnego wymiaru swojego człowieczeństwa, to znaczy w Jego zmartwychwstaniu — dojść do własnego zmartwychwstania. Kto z nas wierzących, jak Paweł na ateńskim Areopagu, nie doświadczył odrzucenia w głoszeniu tego szaleństwa? „Gdy usłyszeli o zmartwychwstaniu, jedni się wysmiewali, a inni powiedzieli: „Postuchamy cię o tym innym razem”” (Dz 17,16-32). Szalejesz, Pawle, szalejesz!

4. Nasze rozmowy z Zygmuntem na tematy religijne były rzadkie. W tym zakresie okazywał powściągliwość, ja natomiast uważałem za nietaktowne prowokowanie Go do wynurzeń ściśle osobistych. Nie mogę jednak powstrzymać się od zacytowania fragmentu listu, jaki mi napisał 22 lutego 1979, już ze szpitala, na parę dni przed operacją. Pragnął uporządkować swoje sprawy. Pisał: „Bardzo chciałbym, abyś ty mnie pochował. Powodem jest to, że jesteś księdzem i wiesz, jak kończy się ludzkie życie. Chciałbym leżeć na cmentarzu w mojej gminie w Mesnil-le-Roi. Miły, cichy cmentarz otoczony drzewami. I pragnę cię zapewnić, że uważam cię za jednego z najbliższych mi ludzi oraz że bardzo jestem przywiązany do wszystkiego, w co wierzysz”. Chciał,

abym wypełnił kapłański obowiązek, był bowiem przywiązany do wszystkiego, w co wierzę... To wstrząsające wyznanie brzmi mocno w długim, rzeczowym, męskim liście.

5. Nie byłbym więc wierny w stosunku do Zygmunta, gdybym nie powiedział, w co wierzę, a do czego On był przywiązany. Jest to kwestia uczciwości nad trumną Przyjaciela.

Po pierwsze wierzę, że Jezus z Nazaretu był w pełni świadomy swoich słów — chociaż wiedział, iż przekraczają one zdolności naszego rozumienia — kiedy mówił do Marii i Marty nad grobem ich brata Łazarza: „Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem. Kto we mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie. Każdy, kto żyje i wierzy we mnie, nie umrze na wieki” (J 11,25-26).

Po drugie wierzę, iż Kościół — zgromadzenie wierzących — nie został założony z przemyślności ludzkiej. U początków Kościoła rozlega się wstrząsająca wieść, która rozwiera się jak niebo przecięte błyskawicą nad zastraszonymi uczniami Pana: „On żyje!”. On, odrzucony przez religijny *establishment*, wydany okupantom, umęczony, konający w opuszczeniu przez Ojca, ukrzyżowany, złożony do grobu — On nagle żyje! Dopiero wówczas uczniowie zrozumieli, że On miał rację i że Bóg był z Nim. Z tej Dobrej Nowiny Kościół się narodził — nie odwrotnie. Na tym polega samo serce Ewangelii. Ta wieść poleci błyskawicą wśród zastraszonych rybaków, wśród żydowskiej diaspory oraz starożytnej *Pax Romana*. Ona stanie u początku przygody, która przemieniła losy naszego świata. A nic nie wskazuje na to, żeby ta przemiana dobiegała końca.

Po trzecie wierzę, że tylko On naprawdę wie, co kryje się w człowieku i co stanowi wypełnienie ludzkiego życia. Poza Nim — według słów Pascala — nie rozumiem ani czym jest moje życie, ani czym jest moja śmierć. Wierzę, iż w Nim życie ludzkie zmienia się, ale się nie kończy, jak to wyraża tekst prefacji we Mszy świętej żałobnej.

Wierzę wreszcie, że Zygmunt dziś już wie. Wie lepiej ode mnie, albowiem dopóki pozostaje w ciele, wpatruję się w jasność Pańską przez zasłonę i jakby w zwierciadle (por. 2 Kor 3,18). Teraz po części poznaję. Powiadam z ciężkim sercem: kiedy nadejdzie z kolei moja chwila, wierzę, iż poznam tak, jak i ja cały zostałem poznany (por. 1 Kor 13,12). Wszyscy uczestniczymy w tym samym ludzkim losie. *Ex umbris et imaginibus ad veritatem*.

Ks. Józef SADZIK

wzywał swych rodaków, by zawsze szli razem „z braćmi spod Warszawy”:

„Tamu, narodzie, jak tolki paczujesz, szto braty twoje spad Warszawy wajujuć za praudu i wolność, tagdy i ty nie ustawiasia zżadu no, chapiusz za szto zmożasz, za kasu, za tapor, i całaj hramadoj idzi wajawać za swoje czeławieczje i narodnyje prawa, za swoju wieru, za swoju ziemiłu rodnuju”.

Przez półtora wieku, aż do Pierwszej Wojny i rewolucji sowieckiej, niemówiąca po polsku miejscowa ludność na wschodzie dokładnie pamiętała, gdzie przebiegała dawna granica Rzplitej sprzed pierwszego rozbioru...

O „integracji”, „denacjonalizacji” i innych sprawach

Pomimo wad ustrojowych i wielu grzechów warstw rządzących, dawną Rzplitej cechowały zdumiewająca zdolność i siła integracji jej obywateli i mieszkańców, mówiących różnymi językami i wyznających różne wiary. W okresie pierwszego rozbioru, mówiący po niemiecku protestancy mieszkańcy Gdańska i Torunia przez przeszło 20 lat odmawiali otwarcia bram miejskich pomimo gwałtów i szykan pruskiego Fryderyka, któremu współczesny mu Edmund Burke w Londynie przyznawał cechy geniusza „w wyszukiwaniu coraz to nowych rodzajów rabunku, gwałtu i tyranii”. Podczas insurekcji kościuszkowskiej, w lennei Kurlandii, wyszkolony w wojsku pruskim szlachcic Henryk Mirbach opanował miasto i port w Libawie na czele powstańczych oddziałów do których masowo się garnęli protestancy mieszczenie i łotewscy chłopci. Żydzi, pozornie izolowani w chrześcijańskiej Rzplitej w samorządnych gettach, również brali udział w walkach o jej utrzymanie. Kahał wileński jeden z pierwszych wypowiedział się po stronie Naczelnika i Insurekcji i czynnie poparł ich poczynania; Berek Josielewicz przeszedł do legendy, a utworzony w Warszawie pułk żydowski legł pokotem na szanicach zdobytej przez Suworowa Pragi. W latach późniejszych, uwieczniony w *Panu Tadeuszu* Jankiel nie był zjawiskiem wyjątkowym, bodaj do lat 1860-tych włącznie.

W powstaniu styczniowym najdłużej i najzacieklej walczyli litewscy chłopci na Żmudzi; na czele powstania stał pochodzący z rodziny niemieckiej Traugutt a uznawany dziś za białoruskiego bohatera narodowego Kostuś Kalinowski w liście spod szubienicy

Teoretyczne odróżnianie „integracji” od „asymilacji” i „denacjonalizacji” datuje się od niedawna. Zawdziejczamy je inteligentom, którzy ostatnio w dużej liczbie znaleźli się w krajach zamorskich i we Francji. Dawną metodę emigracji chłopsko-robotniczej zamykania się w narodowych „gettach” i odgradzania w ten sposób od otaczającego „obcego świata” uznali oni za niewłaściwą, szczególnie na dłuższą metę. Wprawdzie zapobiegała ona denacjonalizacji na jedno, dwa, najwyżej trzy pokolenia, jeśli jednak w tym czasie nie następował powrót do kraju, pokolenia następne wyłamywały się z „getta”, zatracając przy tym narodową kulturę i ulegając „denacjonalizacji”. By temu zapobiec, należało z jednej strony odrzucić „getto”, z drugiej „asymilację”, i zastosować „integrację” do miejscowego społeczeństwa przy jednoczesnym zachowaniu dawnej kultury narodowej.

Dla możliwości praktycznego stosowania polityki „integracji” konieczne jednak były pewne warunki subiektywne i obiektywne. Należało chcieć i móc względnie szybko opanować miejscowy język, co dla inteligenta było łatwiejsze niż dla chłopca czy robotnika, a nawet konieczne, jeśli nie chciał ulec deklasacji. Z drugiej strony, miejscowe władze i społeczeństwo musiały się godzić na „różnorodność” swoich obywateli czy współziomków. Nic też dziwnego, że powstanie koncepcji „integracji” zbiegło się w czasie z zaniechaniem polityki *melting pot* w Stanach Zjednoczonych oraz przyjęciem polityki „wielokulturowości” w Kanadzie. Bardziej niespodziewane było zaakceptowanie takiej polityki przez państwa europejskie gdzie, jak np. w Szwecji, rząd ostatnio wyraźnie zmierza do przeciwdziałania zbyt gwałtownej denacjonalizacji dzieci nowych imigrantów i wprowadza w państwowych szkołach nauczanie ich narodowych języków. Dotyczy to nawet Francji, mającej dotąd opinię kraju niezwykle jednolitego i scentralizowanego; dziś mówi się głośno o istnieniu w niej kilku „narodowych mniejszości” i rząd patronuje dwujęzycznym

poczynaniom, jak np. niedawny Uniwersytet Letni Wspólnoty Polsko-Francuskiej.

Jakie będą długofalowe skutki tej nowej polityki, pokaże dopiero przyszłość. W każdym razie fakt, że Rzplita przez kilka wieków stosowała *avant la lettre* politykę „integracji bez asymilacji” jest interesujący. Nie zapobiegło to wprawdzie rozbiorem, pozostawiło jednak długotrwałe ślady w psychice kilku pokoleń „zintegrowanych” przez nią bardzo różnorodnych obywateli. Do ich późniejszej „dezintegracji” przyczyniły zresztą walnie postępy nowopowstałego w XIX wieku nacjonalizmu.



Sukcesy nacjonalizmu spowdowały również, że ciągle mniej lub więcej aktualny postulat wyrównania „zbrodni rozbiórów” przez „odbudowanie Polski” przestał być jednoznaczny. Gdy Ludwik Napoleon usiłował wprowadzić do oficjalnej polityki i dyplomacji tzw. „zasadę narodowości”, Fryderyk Engels za sugestią Marksa pisał w 1866:

„Gdziekolwiek klasy pracujące brały samodzielny udział w ruchach politycznych, ich polityka zagraniczna od początku była formułowana w dwóch słowach: odbudowanie Polski...”

Zasada narodowości wcale nie została wynaleziona przez bonapartystów w celu poparcia odbudowy Polski; przeciwnie... ma na celu zniszczenie Polski (tj. dawnej Rzplitej — W.S.). ...Dlatego też gdy ludzie mówią, że postulat odbudowania Polski opiera się na zasadzie narodowości, świadczy to jedynie, iż nie wiedzą o czym mówią, gdyż przywrócenie Polski oznacza odbudowanie państwa złożonego co najmniej z czterech różnych narodowości”.

W późniejszych latach polscy „marksści”-komuniści odrzucili w ogóle postulat „odbudowania Polski”, zaś wypowiadający się za „nowoczesnym nacjonalizmem” „narodowcy” odrzucili postulat odbudowania dawnej Rzplitej. W szczególności Roman Dmowski w *Myślach nowoczesnego Polaka* potępiał patriotów i demokratów „starej daty”, którzy chcieli „żeby wszystkim zamieszkującym obszar dawnej Rzplitej zależało na jej odbudowaniu” i w związku z tym gotowi byli „robić koncesje na wszystkie strony, aby nie zrażać do sprawy polskiej Rusinów, Litwinów, Żydów itd.” i twierdził, że „narodowcy nowej szkoły postępowanie takie uważają za zagrażanie sobie drogi do niepodległości, ich bowiem zdaniem państwo może stworzyć tylko naród... polski z rdzennie polskiej ludności złożony”. Będąc biologiem z wykształcenia, Dmowski był zdania, że narody są „żywymi organizmami społecznymi”, analogicznymi do organizmów biologicznych i podlegającymi wykrytym przez Darwina „prawom” „walki o byt” i „doboru naturalnego”. Żywy organizm — pisał

— „mówiąc trywialnie, potrzebuje jeść”; „terytorium narodowe nigdzie nie posiada stałych granic, zakreślonych od początku przez Opatrzność, ale zależy od wewnętrznej prężności narodu, od jego zdolności do ekspansji”, jednak „organizm narodowy powinien dążyć do wchłaniania tylko tego, co może przyswoić i obrócić na powiększenie wzrostu i siły zbiorowego ciała”.

Zdaniem Dmowskiego, w stosunkach pomiędzy narodami nie obowiązywały zasady etyczne: „nie ma słuszności ani krzywdy, ale tylko jest siła i słabość... 'Walka jest podstawą życia', jak mówili starożytni”. Zasadniczym błędem „patriotów i demokratów starej daty” było, że uznawali oni tylko „potrzebę walki z obcymi zaborczymi rządami... Dla nich np. walka Polaków z Niemcami jest tylko walką z rządem pruskim — nie chcą oni zrozumieć, że tu się odbywa wzajemna eksterminacja dwóch szczepów...”. Dotyczyło to nie tylko podanych przykładowo Niemców, lecz również wszystkich innych „nie-Polaków”, a zatem także „Rusinów, Litwinów, Żydów itd.”, którym „naród z rdzennych Polaków złożony” nie powinien był robić żadnych „koncesji by ich nie zrażać do sprawy polskiej”, lecz dążyć do ich wchłonięcia, przyswojenia i obrócenia „na powiększenie wzrostu i siły zbiorowego ciała”.



Gdy, po zwycięstwie w 1918 roku sprawa „odbudowania Polski” zaczęła przybierać praktyczny i bardziej konkretny charakter, wśród zwycięskich mocarstw ujawniły się początkowo jakby pewne wahania i różnice zdań. 2 listopada 1918, podczas omawiania warunków, jakie miały być postawione Niemcom przy zawieraniu rozejmu, francuski minister Spraw Zagranicznych Pichon poparł wniosek marszałka Focha, by „do podlegających ewakuacji terytoriów były wyrażnie włączone wszystkie terytoria, które tworzyły Królestwo Polskie przed pierwszym rozbiorem 1772 roku”. Wywołało to stanowczy protest brytyjskiego ministra Balfoura:

„Mówicie, że Polska z 1772 ma stać się Polską w roku 1918. To nie jest to do czegośmy się zobowiązali. Zobowiązaliśmy się do odbudowania Polski złożonej z Polaków. Polska z 1772 nie odpowiadała temu; nie była złożona tylko z Polaków. Wchodziły w jej skład terytoria nie polskie, wówczas gdy polskie nie wchodziły. Toteż proponowana formuła byłaby niewłaściwa zarówno z powodu jej niewystarczalności jak i nadmierności. Dokładne wytyczenie granic nowej Polski jest zagadnieniem tak skomplikowanym, że usilnie proszę o niewprowadzanie go do warunków zawieszenia broni...”

„Usilna prośba” Balfoura została uwzględniona i podczas dalszych prac konferencji pokojowej nikt nie podnosił sprawy ewen-

tualnego „odbudowania” dawnej Rzplitej. Decydujące na konferencji mocarstwa mniej lub więcej konsekwentnie wypełniały swoje „zobowiązanie” odbudowania Polski złożonej z Polaków”, co w zasadzie odpowiadało polskiemu delegatowi na konferencję, Romanowi Dmowskiemu, który jednak pragnął, by uwzględniono przy tym również „potencjalnych Polaków”, to jest elementy na szybkie spolonizowanie których i ich wchłonięcie przez polski „organizm narodowy”, Dmowski liczył. Później przybyły na Konferencję Pokojową, drugi, czy raczej „pierwszy” polski delegat, Prezydent Rady Ministrów i minister Spraw Zagranicznych, Ignacy Paderewski, wprowadził w złożonym prezydentowi Wilsonowi w styczniu 1917 memoriale (*Zeszyty Historyczne* nr 26) postulował, by „odbudowana Polska” przybrała „formę Stanów Zjednoczonych Polski”, złożonych z czterech „królestw — polskiego, litewskiego, poleskiego i halickiego”, wniosku takiego w Paryżu nie wysuwał, *implicite* się godząc na „odbudowanie” Polski jako „państwa narodowego”.

Powstająca po pierwszej wojnie światowej Polska nie miała być zatem dawną Rzplitą, o odbudowanie której walczyło kilka pokoleń mocno „zintegrowanych” „patriotów i demokratów starej daty”, lecz czymś zupełnie nowym, w stylu dotąd w tej części Europy nieznanym. Historyczny paradoks sprawił, że jej budowa spoczywała w rękach nie teoretyka „nowoczesnego państwa narodowego”, lecz — jak niektórzy go nazywali — „pogrobowca” „patriotów i demokratów starej daty”. Skutkiem tego być może było, że międzywojenna Polska w ostatecznym rezultacie nie dorównała tym „nowoczesnym państwom narodowym”, gdzie rozwijane przez Dmowskiego — potencjalnie tylko — totalitarne teorie uległy dalszemu rozwojowi i — po postawieniu wszystkich kropek nad „i”: *Ein Führer ein Volk, ein Reich* — były z dużą konsekwencją stosowane w praktyce.

Józef Piłsudski nie miał pretensji do „nowoczesności” i nie chciał — czy nie potrafił — stworzyć i spopularyzować „teorii” państwa, które usiłował zbudować. Nie był uczonym „dyplomowanym” architektem-modernistą, lecz raczej „domorośłym” budowniczym-praktykiem, który chciał budować tak, jak to robili ojcowie, możliwie unikając jednak przy tym ich błędów. Gdy stosowana przez niego metoda „tworzenia faktów dokonanych” („z rewolwerem w kieszeni”), załamała się najprzód w Kownie, potem w Kijowie i zresztą została pogrzebana przez Grabskiego w Rydze (oddanie Rosji „wrzodu mińskiego”), Piłsudski zamknął się w sobie i... dostosował do „polskiej rzeczywistości”. Ostatecznie w Drugiej Rzplitej rządziła „sanacja” a panowała „ideologia narodowa”, zaś epigońskie próby przeciwstawiania jej „ideologii państwowej” z góry skazane były na niepowodzenie,

gdyż państwo w założeniu było „narodowe”. W rezultacie róg gmach architektonicznie dość dziwaczny, wznoszony „z endeckich ścian pod belwederskim dachem”.

Zamierzona „asymilacja” (polonizacja) „narodowych mniejszości” czyniła w nim niewielkie postępy, zaś „integracja” ogółu obywateli przedstawiała się jeszcze gorzej. Były żołnierz polski, obecnie szef rządu niezależnego Izraela, oświadcza, że jego noga nie stanie na ziemi, gdzie się urodził. Wielu obywateli polskich Białorusinów czy Ukraińców, znalazłszy się na „niełudzkiej ziemi”, ochoczo się garnęło do szeregów generała Andersa, gdzie — jak świadczy o tym cmentarz pod Monte Cassino — lojalnie wypełniali do końca swoje żołnierskie obowiązki. Wielu jednak „andersowców” po demobilizacji na Zachodzie wyrzekło się *panskiej Polski* i, przeważnie nieświadomie stosując się do teoretycznych wskazań Dmowskiego, gotowych było do indywidualnej czy zbiorowej „eksterminacyjnej walki” z Polakami.

Ziarno zasiane na początku XX wieku przez Romana Dmowskiego wydało plon obfity nie tylko wśród rdzennych „nowoczesnych Polaków”, lecz także wśród innych narodów niegdyś „zintegrowanych” przez dawną Rzplitę. I one potępiały swoich „patriotów i demokratów starej daty”, wyrzekały się historycznej tradycji i marzyły o wytworzeniu swoich jednorodnych i prężnych „organizmów narodowych”. Najdalej bodaj poszli „nowocześni Litwini”. Umiejętnie wykorzystali pomyslną koniunkturę w okresie pierwszej wojny światowej i zdołali zbudować państwo, które, występując jako organ „litewskiego organizmu narodowego” pozostawało w nieustannej walce z „narodowym organizmem polskim” zarówno o Wilno jak i o — wciąż używających języka polskiego — litewskich „patriotów i demokratów starej daty”.

Dawniej zwani „Rusinami”, „nowocześni” Ukraińcy i Białorusini byli w sytuacji gorszej niż Litwini. Proklamowane w latach 1918-20 ich narodowe republiki nie zdołały się utrzymać i zamieszkałe przez nich terytoria zostały podzielone pomiędzy Związkiem Sowieckim i Drugą Rzplitą. Pomimo niesprzyjających warunków, i oni nie ustawali w wysiłkach wytworzenia swoich „organizmów narodowych” walczących z innymi „organizmami” o utrzymanie i powiększenie swoich „zbiorowych ciał”. Pozornie miały po temu większe szanse po stronie wschodniej, gdzie utworzono sowieckie republiki ukraińską i białoruską. W rzeczywistości, jednak republiki te stały się pułapkami, do

których zwabiono z Zachodu znaczną ilość ukraińskich i białoruskich przywódców, by ich tam fizycznie zlikwidować jako „burżuazyjnych nacjonalistów”. Po stronie zachodniej, gdzie teoretycznie mieli być skazani na „polonizację”, ich denacjonalizacja w ciągu dwudziestolecia była bodaj mniejsza niż na Wschodzie, zaś ich przywódcy występujący przeciwko „polskiej okupacji” fizycznie likwidowani nie byli. Dowodem tego był były premier białoruskiego Rządu Narodowego w 1919 roku, Antoni Łuckiewicz; do września 1939 roku pozostawał on na stanowisku Dyrektora Muzeum Białoruskiego w Wilnie; po wejściu wojsk sowieckich został doraźnie wykorzystany w celach propagandy antypolskiej i niezwłocznie potem wywieziony na wschód, gdzie ślad po nim zaginął.

W konkluzji należy dojść do wniosku, że w okresie międzywojennym pozostała w spadku po dawnej Rzplitej integracja polityczna narodów, jakie ją niegdyś tworzyły, ulegała coraz większemu osłabieniu na rzecz coraz wyraźniej występujących „organizmów narodowych”, wykazujących dużą „prężność” w walkach pomiędzy sobą o utrzymanie i powiększenie swego „narodowego posiadania”. Okazało się to bardzo na rękę ich wielkim sąsiadom na Zachodzie i Wschodzie.

Na skutek perfidnej polityki hitlerowskich Niemiec, ich kilkuletnia okupacja straszliwsza była dla Polaków niż Litwinów czy Białorusinów. Po wojnie sytuacja uległa zmianie i gdy wszystkie narody dawnej Rzplitej znalazły się — wbrew ich woli — w jednym „obozie” za „żelazną kurtyną”, reżym w „zonie polskiej” okazał się łagodniejszy, niż w litewskiej, białoruskiej czy ukraińskiej. Formalnie niewłączony do ZSSR, PRL przestał wprawdzie być państwem niezależnym, ale pozostał narodowym, co więcej stał się bodaj bardziej „narodowym” niż nią była Druga Rzplita, a także bardziej niż ona „katolickim”. Jeśli to drugie nie było bodaj zamierzone, pierwsze odpowiadać mogło dalekowzrocznej polityce „starszego brata”, któremu mogło zależeć, by Polakom ostatecznie wywietrzały z głowy wszelkie wspomnienia i przeżytki dawnej wielokulturowej Rzplitej.

◆

Zasada „samostanowienia narodowego” i „państw jednolito- „narodowych” osiągnęła szczyt popularności w okresie Pierwszej Wojny Światowej, gdy głównym jej szermierzem był Prezydent Wilson. Jednakże już wówczas jego Sekretarz Stanu Robert Lansing ustosunkowywał się do tej zasady czy hasła nader sceptycznie. Chodziło mu o niezbyt dokładnie ustalone, szczególnie w

Stanach Zjednoczonych, pojęcie „narodu”. W notatkach z grudnia 1918 Lansing pisał:

„Gdy Prezydent mówi o 'samostanowieniu', co ma na względzie? Terytorium? czy jakąś społeczność? Bez praktycznego wskazania do czego zasada ma być stosowana, jej stosowanie zagraża bezpieczeństwu i stabilności”.

„To hasło jest wręcz naładowane dynamitem. Wzbudza nadzieje, które nigdy nie mogą zostać spełnione. Obawiam się, że będzie ono kosztować tysiące żyć ludzkich i zostanie w końcu zdyskredytowane jako marzenie idealisty, nie uświadamiającego niebezpieczeństwa, aż będzie za późno by móc kontrolować tych, którzy będą usiłowali wprowadzać je w życie. Jakież klęski niesie to hasło, jakie nieszczęścia spowoduje!”

W ogłoszonej następnie „Prywatnej opowieści o rokowaniach pokojowych” (*The Peace Negotiations. A Personal Narrative by Robert Lansing*, Boston, 1921) Lansing twierdził, iż Prezydent Wilson sam „zdyskredytował” zasadę „samostanowienia”, odmawiając jej praktycznego zastosowania do mniejszości narodowych w Rosji i udowadniając przez swe czyny, że „samostanowienie” jest czczym frazesem (*a mere phrase*), nad którym należy przejść do porządku, jako zwodniczym i niemożliwym do stosowania w praktyce”.

W Europie głucho było o zasadzie „samostanowienia narodowego” po drugiej wojnie światowej, zaś rzekome jej stosowanie przy likwidacji posiadłości kolonialnych w innych częściach świata wyglądało często na humoreskę. Ostatnio, jak o tym już była mowa, wydaje się zarysowywać tendencja do przekształcania się państw „narodowych” w „wielokulturowe”. Jeśli tendencja ta się utrzyma i rozwinie, okres państw narodowych w historii Europy czy świata byłby raczej krótkotrwały, podobnie jak był nim poprzedni okres państw „religijnych” (*Cujus regio, ejusdem religio*). Uznaniu, że współczesne państwa nie mogą być żadnego rodzaju „monolitami” — religijnymi, narodowymi, językowymi, czy kulturowymi („ideologicznymi”), lecz jednostkami terytorialnymi, zaludnionymi przez rzesze różnowyznaniowe, różnonarodowe, różnojęzykowe, itd., jednym słowem „wielokulturowymi”, sprzyja rozwój technicznych środków komunikacji. Jeśli niegdyś większość ludzi była dosłownie niemal „przywiązana” do miejsc swego urodzenia, dziś „fruwają” oni po całej kuli ziemskiej, niekiedy wielokrotnie zmieniając swą przynależność państwową, bez wyrzekania się przy tym dawnej rodzimej kultury.

Cóż z tego, że dzisiejszy PRL jest w przeszło 90 % zaludniony przez Polaków, skoro 25-30 % jednostek uważających siebie za Polaków przebywa poza jego granicami, domagając się z coraz większym powodzeniem uznania i zabezpieczenia ich prawa do

zachowania swej narodowej kultury. Logicznie i sprawiedliwie byłoby aby i w PRL — czy może dopiero w przyszłej wolnej i niezależnej Trzeciej Rzplitej — podobne zasady miały również zastosowanie; by nie była ona „narodowym monolitem”, lecz terytorialną jednostką, państwem wielokulturowym. Gdyby zaś i nasi sąsiedzi przyjęli podobne zasady, wiele dziś wydających się nie do rozwiązania problemów mogłoby być rozwiązanych, bez ewentualnego przelania potoków krwi.

Wiktor SUKIENNICKI

Paryż, w październiku 1979 r.

ZAPIS 10

NUMER SPECJALNY

TADEUSZ KONWICKI

MAŁA APOKALIPSA

Nowa powieść wybitnego prozaika

„— Chcemy ci coś zaproponować. W imieniu kolegów. Czuję jakiś mróz na plecach. Odstawiam bardzo wolno nie dopity kieliszek.

— Co chcecie zaproponować?

— Żebyś dziś o ósmej wieczorem spalił się pod gmachem centralnego komitetu partii...”

(fragment)

CENA 1 egz.: \$ 10,00, F. 40,00, w W. Brytanii £ 4.00.

DOSTĘPNE są jeszcze niektóre poprzednie numery *Zapisu*, również nr 1.

ZAMÓWIENIA wraz z wpłatą należy przysyłać na adres:

INDEX ON CENSORSHIP

21 RUSSELL STREET, LONDON WC2, ENGLAND.

Czeki i przekazy należy wystawiać na INDEX.

Co nowego w literaturze polskiej?

I

W całym okresie powojennym państwo było w kraju w zasadzie monopolistą w dziedzinie publikowania utworów literackich. Jak to ukazuje „Czarna księga cenzury PRL”, literatura niemal bez reszty podporządkowana była wytycznym „polityki kulturalnej” partii. Oczywiście — poza krajem istniały ośrodki niezależne, przede wszystkim paryska *Kultura* i Instytut Literacki, jednakże wpływ tych ośrodków był w kraju do niedawna stosunkowo niewielki. Działo się tak z dwóch przyczyn — do kraju przedostawało się bardzo mało publikacji emigracyjnych, te zaś, które się przedostawały, skazane były na odbiór pasywny, nie mogły być, poza nielicznymi wyjątkami (Gombrowicz, Miłosz) włączone do omówień krytycznoliterackich, funkcjonowały więc niejako w utajeniu.

W miarę narastania ciśnienia cenzury niektórzy, nieliczni autorzy poczynali publikacje swych książek w ośrodkach emigracyjnych. Tak zostały opublikowane takie utwory jak „Apelacja” Jerzego Andrzejewskiego, „Dwa listy” Sławomira Mrożka, „Cudowna melina” Orłosia, „Piękne kalalie” Madeja, tomiki wierszy Bierzina i Sułkowskiego. Jednakże były to publikacje sporadyczne, stanowiące na ogół wyraz całkowitej determinacji autorów, dla których publikowanie za granicą stało się jedyną możliwością ocalenia własnej pracy. Ocalenia, lecz wciąż jeszcze nie włączenia w aktywny odbiór publiczny.

Sytuacja uległa gwałtownej zmianie po wydarzeniach roku 1976, gdy wraz z innymi niezależnymi inicjatywami społecznymi rozpoczęła swą działalność Niezależna Oficyna Wydawnicza. Przedtem sporadycznie zdarzały się wypadki publikowania poza zasięgiem cenzury, zawsze w małych nakładach i zawsze jako wyraz

całkowitej determinacji: tak wydał w 1969 roku swój poemat prozą pt. „Text” Krzysztof Mrozowski, tak ukazał się złożony z wierszy zdjętych przez cenzurę tomik Juliana Kornhausera „Zabójstwo”, tak również debiutował tomikiem „Zła wiara” współuczestnik grupy poetyckiej „Teraz” Wit Jaworski. Jednakże rzeczywiste życie literackie uwolnione od monopolu państwowego rozwinęło się wraz z powstaniem NOW-ej po roku 1976. Przede wszystkim powstały wówczas dwa kwartalniki literackie *Zapis* i *Puls*, w których do chwili obecnej publikowało już ponad 100 autorów, m.in. tak znani pisarze jak Jerzy Andrzejewski, Stanisław Barańczak, Kazimierz Brandys, Tomasz Burek, Marek Nowakowski, Ryszard Krynicki, Wiktor Woroszyński, Jacek Bocheński, Jerzy Ficowski, Barbara Sadowska, Jacek Woźniakowski, Adam Zagajewski, Zbigniew Herbert, Kornel Filipowicz czy Tadeusz Konwicki.

Jednocześnie zaczynają publikować w niezależnych czasopiśmie krajowych pisarze emigracyjni: Gustaw Herling-Grudziński, Leszek Kołakowski, Czesław Miłosz czy Witold Wirpsza. Przepływ tekstów jest obustronny: za granicą publikować zaczynają na większą skalę pisarze krajowi — Stanisław Barańczak, Ryszard Krynicki, Wiktor Woroszyński, Kazimierz Brandys i inni. Instytut Literacki w Paryżu powołuje specjalną serię „Bez cenzury”, która stanowi widoczne świadectwo gwałtownej zmiany sytuacji.

Państwo (a raczej partia) w Polsce traci monopol kontroli nad rozwojem literatury narodowej. Jest to fakt o niesłychanie doniosłym znaczeniu, spod kontroli bowiem wydobywa się wreszcie najbardziej czuły wskaźnik narodowej świadomości: literatura, która od co najmniej dwóch wieków stanowi w Polsce wyraz społecznych dążeń i aspiracji odnalazła wreszcie drogę do przemawiania pełnym głosem. Niewątpliwie teraz dopiero ujawnia się jej rzeczywiste atuty i słabości. W chwili obecnej można już jednak mówić o powstaniu szeregu nowych, specyficznych dla wytworzonej sytuacji tekstów literackich, które zdają się wskazywać nowy i niezwykle interesujący kierunek przemian artystycznych.

II

Nim się jednak zajmę szczegółowym omówieniem zachodzących przemian, pragnę zwrócić uwagę na kilka faktów, które wyraźnie określają specyfikę polskiej literatury niezależnej. Do najważniejszych z nich należy niewątpliwie zatarcie podziału na literaturę krajową i emigracyjną. Po raz pierwszy po wojnie niepodzielność literatury narodowej jest nie tylko postulatem, ale żywym faktem. I niezależnie od tego czy obecna sytuacja utrzyma się jeszcze przez czas dłuższy i czy uda się utrwalić zdo-

być kilku ostatnich lat w tej dziedzinie, to aktualne doświadczenie długo jeszcze będzie bardzo ważnym punktem odniesienia dla polskich twórców literatury.

Drugą specyficzną cechą obecnej sytuacji w naszej literaturze jest zakwestionowanie podziału na literaturę oficjalną i nieoficjalną, drukowaną za zezwoleniem państwa i niezależnie od jego widzimisię. I pod tym względem literatura okazuje się niepodzielna: w *Zapisie* na przykład recenzentów nie obchodzi specjalnie oficyna, w której książka została wydrukowana.

Lecz sprawa zakwestionowania podziału na literaturę oficjalną i nieoficjalną nie jest jeszcze wystarczająco dobrze pojmowana przez niektóre kręgi emigracyjne i przyjaciół polskiej literatury na świecie. Zafascynowanie faktem przełomu monopolu władz w życiu literackim wciąż skłania wielu ludzi do przesadnego eksponowania wyłącznie tekstów publikowanych poza zasięgiem cenzury. Jest to postawa ze wszech miar nierozważna i mogąca w efekcie przynieść więcej szkód niż pożytku. Nie po to przecież przełamywane są sztuczne bariery dzielące tak długo polską literaturę, by je w tej chwili na nową modłę odtwarzać.

Zauważyłem też u wielu ludzi żyjących poza krajem (a i w Polsce również) zmienną skłonność do lekceważenia publikacji literackich funkcjonujących bez przeszkód na oficjalnym rynku czytelnictwa. Myślę, iż czas już sobie z całą ostrością uświadomić fakt, iż samo publikowanie utworów w prasie i wydawnictwach niezależnych nie podnosi automatycznie ich wartości tak samo, jak nie pomniejsza rangi pisarza to, iż publikuje wyłącznie w wydawnictwach oficjalnych. Jest to prawda, zdawałoby się, banalna, lecz jednak wciąż jeszcze nie wszyscy ją sobie w pełni uświadomili.

Chciałbym to szczególnie mocno podkreślić: znaleźliśmy się obecnie w sytuacji na swój sposób niezwykle trudnej i skomplikowanej. Jest to wciąż dla wielu sytuacja szoku. W rezultacie dojść może do tego, iż wielu z nas popadnie z jednej skrajności w drugą. I wcale nie jest to niebezpieczeństwo wydumane — gdzieś tam bowiem widać już efekty przyjęcia takiej postawy. To zrozumiałe — trudno do tego, co się obecnie dzieje nie mieć stosunku emocjonalnego. Z drugiej jednak strony pamiętać musimy o tym, że kultura, w tym również nasza literatura narodowa, to konstrukcja niezwykle delikatna i wrażliwa, konstrukcja, której nie można zinstrumentalizować w politycznej rozgrywce.

To o co naprawdę toczy się walka, to nie powstanie jakiejś „literatury pozacenzuralnej” (lub, co gorsza, „dysydenckiej”), lecz wytworzenie wreszcie normalnej sytuacji w naszym piśmiennictwie, a więc sytuacji, w której o wartości utworu będzie w pierwszym rzędzie decydować sam tekst, nie zaś okoliczności jego powstania

lub publikacji. Być może faktem o najbardziej doniosłym znaczeniu jest to, że niezależny ruch literacki rozpoczęli i kontynuują pisarze wybitni, o uznanym już nie tylko w kraju dorobku, a więc ludzie, o których trudno powiedzieć, że powołali np. *Zapis* dla wyrobienia sobie nazwisk. Oni też od początku narzucili wydawnictwom niezależnym stosunkowo wysoki poziom artystyczny. To chyba sprawa trudna do przecenienia: w literaturze polskiej rzeczywiście trudno by było — choć i takie próby od czasu do czasu miewają miejsce — przyznać utworowi zbyt wysoką ocenę ufundowaną przede wszystkim na postawie autora, nie zaś na zaletach samego tekstu. Choć też nie oszukujmy się nadto: na pewno całkowicie się od takich skłonności nie uchronimy.

III

Chciałbym tu przede wszystkim zwrócić uwagę na sporą ilość tekstów stanowiących w moim przekonaniu nowe i ważne zjawisko w naszej literaturze. Są to przede wszystkim utwory opublikowane w wydawnictwach niezależnych, choć — i to tutaj ważne — nie wyłącznie.

Jakie teksty mam tutaj na myśli? Przede wszystkim następujące relacje: „Co było w maju” Lecha Dymarskiego (*Krytyka*), „Dziennik i listy” Haliny Mikołajskiej (*Zapis*), „W kościele św. Marcina” Joanny Szczęsnej (*Zapis*), „Refleksje z kościoła św. Marcina” Jerzego Geresza (*Spotkania*), „Pudło” Leszka Szarugi (*Puls*), „Książeczkę wojskową” Antoniego Pawłaka (*Zapis*), „Codziennie 1 500 000” Kazimierza Orłosa (*Zapis*), więzienny reportaż Romana Wojciechowskiego (*Krytyka*), „Choróbka” Jana Strękowski (*Puls*), i parę innych tego typu tekstów publikowanych w *Głosie* czy *Biuletynie Informacyjnym* — chodzi przede wszystkim o teksty posiadające cechy reportażu.

Może nie po raz pierwszy po wojnie, ale na pewno po raz pierwszy w takim nasileniu ukazały się w Polsce utwory, które, według przyjętych zasad klasyfikacji, jest niezmierznie trudno literacko zasznufladkować. Utwory te łączą w sobie cechy reportażu, pamiętnika, klasycznej prozy fabularnej i eseju. Przy tym wszystkim są to teksty bardzo osobiste, zawierające własne, nie podporządkowane z góry powziętym założeniom (jak np. podobne w strukturze „Rozmowy z ojcem” Wojny czy „Pamiętnik moich książek” Bratnego) widzenie naszej społecznej rzeczywistości. W większości, to prawda, mamy tu do czynienia z sytuacjami nietypowymi, tym niemniej są to utwory niezwykle silnie nasycone konkretem, oddające znakomicie atmosferę życia duchowego w Polsce. To zresztą przy tej strukturze jest nieuniknione: zwracał już uwagę Barańczak, iż nawet książka Bratnego, doszczętnie

niemal zafałszowana, odsłania ową atmosferę niejako wbrew własnym założeniom. Jednocześnie prezentacja sytuacji nietypowych zmusza do wyostrego widzenia codziennej rzeczywistości. Jest to widzenie tym bardziej wyostrene, iż obserwatorami, bohaterami tych utworów są ludzie bez reszty zaangażowani w życie kraju, a zarazem też ludzie intelektualnie przygotowani do dokonania analizy sytuacji, w której żyją. Może najbardziej sugestywnymi przykładami są tutaj utwory Joanny Szczęsnej i Antoniego Pawłaka. Pierwszy z tych tekstów stanowi bardzo precyzyjną analizę nie tylko ogólnej sytuacji życia duchowego w Polsce, ale też racji, które powodują przyłączenie się do aktywnego udziału w działalności społecznej rozwijanej poza sferą kontroli państwa i partii. Drugi z tych tekstów poprzez drobiazgową analizę życia w wojsku prowadzi do ujawnienia struktur obejmujących inne sfery życia publicznego — nie przypadkiem bohater po zakończeniu służby uświadamia sobie, że jego obecnie uzyskana wolność jest wolnością pozorną, że cała rzeczywistość społeczna w kraju podporządkowana jest analogicznym mechanizmom tyle, że bardziej „rozrzedzonym” i przez to mniej dotkliwie niż w wojsku odczuwalnym.

I — co może tutaj jest najistotniejsze — wymienione utwory stanowią pierwszy raz na taką skalę podjętą w Polsce powojennej obronę autentyczności więzi międzyludzkich wypełnianych konsekwentnie przez władze politycznym „lepiszczem”. Są też one obroną spontaniczności działania. Wartością naczelną i nieredukowalną okazuje się tutaj jednostka ludzka, osoba. Jest to jednostka stawiająca w stan podejrzenia wszelkie ideologie, dążące do możliwie pełnej samorealizacji poprzez odnalezienie punktu odniesienia dla swych poczynań w niezbywalnym, transcendentnym systemie wartości, do którego należą w pierwszym rzędzie poczucie ludzkiej godności, suwerenność każdego człowieka, wierność sobie i prawdą, która w tym ujęciu okazuje się wartością nie tylko poznawczą, lecz również, a może i głównie — etyczną. Dopiero w odniesieniu do tych, tak trudnych do zakwalifikowania utworów należy oceniać takie teksty jak „Nierzeczywistość” Kazimierza Brandysa, „Kompleks polski” Tadeusza Konwickiego, „Miazgę” Jerzego Andrzejewskiego, „Literaturę” Wiktora Woroszyńskiego czy opowiadania Marka Nowakowskiego, Kazimierza Orłosa, prozę Jana Komolki itp. Jednakże wśród tych tekstów odnajdują swe miejsce takie utwory publikowane oficjalnie jak proza Janusza Andermana („Zabawa w głuchy telefon”, „Gra na zwłokę”), opowiadania Adama Zagajewskiego, znakomita powieść Łozińskiego („Paroksyzm”), Grześczaka „Odyseja, Odyseja” i inne próby opisu krajowej rzeczywistości społecznej. We wszystkich wymienionych utworach zwraca uwagę czytelnika bardzo osobisty — tutaj zresztą mistrzem jest Miron Białoszewski („Donosy rze-

czywistości", „Szumy zlepy, ciągi", „Zawał") — ton narracji w niektórych utworach potwierdzony tożsamością narratora, bohatera i autora (Białoszewski, Konwicki, Woroszyński — w tych wypadkach bohater obdarzony jest wprost nazwiskiem autora). Tutaj rzeczywistość społeczna przedstawiona zostaje w szerszej panoramie, pochwyczone są podstawowe znamiona codzienności, często też (Andrzejewski, Brandys) poddane zostają oglądowi korzenie polskiej współczesności.

I tutaj, jak w poprzednio omawianych tekstach, mamy do czynienia ze swoistą zbitką gatunków. Większość tych utworów rozpięta jest między klasyczną prozą narracyjną, reportażem, pamiętnikiem i esejem. Widzenie rzeczywistości i dziejów naszego kraju przez pryzmat własnej osobowości niesłychanie wzbogaca nie tylko wiedzę czytelnika, ale też ogólny obraz Polski, który po raz pierwszy od długiego czasu odtwarzany jest swobodnie, bez podporządkowywania się nakazom cenzury, w trosce nie tyle o „obiektywizm" (jest to od lat używany straszak polskiej „polityki kulturalnej": — a czy np. Żeromski w „Przedwiośni" był „obiektywny"?), co o zwykłą, uczciwą prawdę psychologiczną.

W większości wypadków są to wciąż obrazy sytuacji nietypowych, często skrajnych, lecz może dzięki temu właśnie wydobywane są i opisywane najbardziej charakterystyczne cechy systemu panującego w tej chwili w Polsce. Brak wciąż niewątpliwie opisu życia codziennego, obrazu powszedniego życia społeczeństwa. Sądzić jednak należy, że tego typu obserwacje znajdą niedługo swe miejsce w literaturze krajowej. Na razie, co jest niezwykle istotne, szczegółowemu prześwietleń ulega tutaj oficjalnie serwowany obraz rzeczywistości, a także obserwuje się, jak np. w „Literaturze" Woroszyńskiego czy „Niereczywistości" Brandysa dążenie do odtworzenia bez zafałszowań i przemilczeń historycznej świadomości społeczeństwa. Dla przykładu: w publikowanym na łamach *Zapisu* fragmencie powieści Zyty Oryszyn w sposób niezwykle sugestywny odtworzona została całkowicie przez oficjalną historiografię zafałszowana atmosfera życia młodzieży w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych. Ten fragment prozy jest zresztą interesujący nie tylko dla faktów, które opisuje, lecz również dla sposobu, w jaki ów obraz odtwarza — jest to niezwykle precyzyjna analiza sloganowego języka propagandy, który stanowi wspomniane już wyżej polityczne „lepiszcze" jakim zastępowane były (i wciąż jeszcze są) autentyczne więzi społeczne.

IV

Literatura polska po wojnie, nie licząc wyjątków, nie miała w prozie osiągnąć wybitnych; chodzi mi zwłaszcza o prozę odtwa-

rzającą obraz codziennej rzeczywistości społecznej, tzw. prozę współczesną. Mamy zupełnie niezłą prozę historyczną (Bocheński, Parnicki, Terlecki), dość interesujące obserwacje życia marginesu społecznego (wczesne utwory takich pisarzy jak Hłasko, Brycht, Nowakowski; z innej perspektywy — Głowacki, Iredyński), lecz wciąż dotkliwie brakuje (zwracali na to z impetem uwagę Kornhauser i Zagajewski w „Świecie nie przedstawionym") choćby średniej, nie mówiąc już o wielkiej, prozy określanej jako realistyczna, a podejmującej problemy, przed którymi na co dzień stoi mieszkanięc współczesnej Polski. Brak wciąż opisu życia codziennego, brakuje też obrazu bardzo istotnego w próbie odbudowania świadomości historycznej społeczeństwa polskiego — opisu Polski w pierwszej dekadzie powojennej. Jeden film Wajdy — „Człowiek z marmuru" — nie jest w stanie tej luki uzupełnić, zaś literatura zwana „rozrachunkową", choć stanowi niewątpliwie ważne ogniwo (np. „Wielki lament papierowej głowy" Andrzejewskiego czy ówczesne utwory Brandysa) jest wciąż jeszcze zbyt skąpo wypełniona realiami tamtej epoki. Właśnie w opisie powojennej codzienności Polski, a także w nawiązaniu do tych tradycji, które reprezentuje np. „Przedwiośnie" Żeromskiego, tkwi szansa nowej prozy.

Dopiero po przełamaniu oporu wobec drobiazgowego, konkretnego opisu zarówno codzienności jak dramatycznych alternatyw, które wyznaczały drogę życia duchowego po wojnie, możliwe się stanie przezwyciężenie obecnych ułomności prozy polskiej. Dopiero wówczas przestanie się zarzucać pisarzom popełnianie takich grzechów głównych jak „ucieczka od rzeczywistości" w historię (Bocheński) czy w fantastykę (Lem). Jest bowiem bez wątpienia faktem, że na polskim rynku czytelniczym istnieje głód prozy nazywanej tradycyjnie realistyczną. I jest również faktem, że proza taka nie powstawała dotąd na skutek działania wielopiętrowego mechanizmu cenzury. W chwili obecnej przełamana została główna bariera. Być może publikacja „Miazgi" Andrzejewskiego stanie się w tej sytuacji momentem przełomowym, jest to bowiem książka (pomijając legendę z nią związaną) mająca wciąż jeszcze, mimo opóźnienia, szansę stania się punktem wyjścia do rzetelnej i wszechstronnej dyskusji na temat sytuacji literatury i odbicia w niej społecznych przeobrażeń, które w ciągu już prawie czterdziestu lat nie znajdują odbicia w pisarstwie.

I właśnie formuła zespalania w jednym tekście literackim elementów prozy fabularnej, dziennika, reportażu oraz eseju wydaje się w chwili obecnej formułą najwłaściwszą, najbardziej artystycznie i poznawczo interesującą. Nie jest to zjawisko rodzące się w naszej literaturze z niczego — dość chyba interesująca byłaby dla wnikliwego krytyka analiza z tego punktu widzenia

prozy Mirona Białoszewskiego. Pojawiają się też od czasu do czasu książki pisarzy młodszej generacji spełniające częściowo przynajmniej powyższe warunki. Mam tu na myśli przede wszystkim wspomnianą już książkę Łozińskiego, Schuberta („Trenta tre”), Zagajewskiego („Ciepło, zimno”) czy interesujący, wspomniany już debiut prozatorski pisarza nieco starszego — Mariana Grześczaka ukazujący dość wnikliwie przemiany różnych środowisk w momencie poprzedzającym czerwcowy zryw w Poznaniu w 1956 roku. Można już dziś powiedzieć, że powoli — i mimo olbrzymich przeszkód — wyłania się w naszej literaturze konstelacja książek mogących stanowić punkt wyjścia dla kogoś, kto chciałby w tej literaturze odnaleźć punkt Polski współczesnej. Jest to jeszcze bez wątpienia obraz fragmentaryczny, pełen luk czy zaledwie zarysów, lecz jest. Przypuszczać można, że ewolucja nowej sytuacji w literaturze doprowadzi wreszcie do powstania „dzieła, na które czekamy”. Jest to w chwili obecnej szansa realna, i choć obserwuje się zwrot w kierunku literatury typu satyrycznego („Piękne kalalie” Madeja, „Cyryl” Wierzbickiego, „Dysiek” Sułkowskiego czy nowa, orwellowska powieść Konwickiego), to myślę, że nie jest to główna droga ewolucji prozy polskiej.

V

W ciągu ostatniego roku ukazało się kilka niezwykle ważnych książek krytycznoliterackich. Mam tu na myśli przede wszystkim Błońskiego „Odmarsz”, Przybylskiego „To jest klasycyzm”, Komara „Piekło Conrada”, Zagajewskiego „Drugi oddech” oraz Barańczaka „Etykę i poetykę”. Ponadto sporą aktywność przejawiają inni krytycy literaccy i eseiści: dość wspomnieć o dość ważnej książce Łubińskiego „Bić się czy się nie bić” czy szkicach Tomasza Burka. Nowa sytuacja, w jakiej znalazła się ostatnio literatura polska jest niewątpliwie czynnikiem zmuszającym do podjęcia problemów wyborów tradycji (nie tylko literackiej) prze wartościowania dotychczasowych ustaleń. Dowodem tego ostatniego może być książka Janion i Żmigrodzkiej „Romantyzm i historia” czy seria poświęcona problemom romantyzmu wydawana przez Wydawnictwo Literackie pod redakcją Janion. Przykłady narastającej aktywności w tej dziedzinie można mnożyć. Świadczy to o przełamywaniu w oficjalnym nawet życiu literackim istniejących od lat barier cenzuralnych hamujących spontaniczne i nie podporządkowane doraźnym wymogom ideologicznym myślenie o kulturze. Nawet w życiu oficjalnym daje się więc powoli zauważyć dążenie do utrwalenia dialogowej struktury życia kulturalnego. Co więcej — niedwuznaczne oświadczenia oficjalnej krytyki literackiej zdają się zmierzać do utrwalania dorobku powstającego

poza zasięgiem cenzury — przykładem niech tu będzie choćby apologia „Miazgi” Andrzejewskiego w książce Błońskiego. Co jest najbardziej charakterystyczne dla współczesnej krytyki i eseistyki? Przede wszystkim odejście od szkolarskiej analizy tekstów literatury, a więc rozpatrywanie ich sensów w kontekście ogólniejszych przemian kulturowych. Taki charakter mają np. tak odmienne książki jak „Etyka i poetyka” Barańczaka i „Odmarsz” Błońskiego. Autorzy obu tych tomów krytycznoliterackich starają się przedstawić swoisty przełom, jaki dokonał się w polskiej literaturze lat ostatnich.

Oczywiście — mamy tu wciąż jeszcze w większości wypadków do czynienia z językiem półzopowym, z językiem, który już dawno został odrzucony przez takich krytyków jak właśnie Barańczak, Burek, Szaruga, Zagajewski czy Dymarski. Tym niemniej właśnie książka Błońskiego stanowi jeden z najistotniejszych głosów w próbie opisu tego doświadczenia, które stało się obecnie istotą polskiego życia literackiego.

Warto też zwrócić uwagę na fakt, iż książki wymienione na wstępie tego podrozdziału — przy czym najbardziej z tego punktu widzenia interesujące wydają się tomy M. Komara i A. Zagajewskiego — stanowią zespół wypowiedzi utwierdzających klasyczny zespół wartości humanistycznych i tym samym przeciwstawiają się (mniej lub bardziej otwarcie) próbom całkowitej totalizacji życia kulturalnego i społecznego w Polsce. Wydaje się, że swoisty nawrót do personalizmu, uczynienie z osoby ludzkiej wartości nadrzędnej i nieredukowalnej, wyznaczają dość interesujący kierunek rozwoju polskiej eseistyki i krytyki literackiej. Trudno w chwili obecnej jednoznacznie określić szansę tych dążeń, tym niemniej ich pojawienie się w takim nasileniu oznacza zachowanie przez polską humanistykę, od lat ponad trzydziestu poddaną politycznej presji, owego minimum niezależności niezbędnego dla podjęcia wysiłku wyzwolenia życia kulturalnego z narzuconych mu przez totalitarne państwo ograniczeń. Pamiętać też należy, że jest to ledwie początek owej drogi. Czy uda się postawić na niej parę następnych kroków, to już osobna sprawa.

VI

Literatura polska nigdy do pokornych nie należała. Doświadczenie ostatnich blisko czterdziestu lat zdanie to potwierdza. Owa tradycja braku pokory wobec politycznego zwierzchnictwa i ograniczeń przez nie literaturze narzucanych była motorem przemian, jakie w okolicach roku 1956 (przy czym jest to data raczej umowna — proces wyzwolenia rozpoczął się wcześniej) wyznały kierunek rozwoju: chodzi mi przede wszystkim o spóźnione

czy wtórne debiuty Białoszewskiego, Czachorowskiego, Herberta, Karpowicza i Szymborskiej, o debiuty Grochowiaka, Harasymowicza, Czyża czy w prozie Hłaski, Nowakowskiego, Głowackiego, Iredyńskiego. Po impecie reakcji na stalinowski model życia literackiego około roku 1962 nastąpiło jego gwałtowne zahamowanie, kiedy to na dobre rozpoczęło się „przykręcanie śruby” w polityce kulturalnej.

Kolejne ożywienie następuje po głośnych debiutach „pokolenia 68” — Barańczaka, Karaska, Krynickiego, Kronholda, Zagajewskiego, Bierzina, Lipskiej i Kornhausera. Lecz trzeba pamiętać, że ich poezja, choć wyrosła z własnych doświadczeń egzystencjalnych (wydarzenia marcowe w 1968, masakra robotników Wybrzeża w 1970), była zakorzeniona w już istniejącej literaturze. W manifestie Barańczaka „Nieufni i zadufani” czytamy o „szkole bez uczniów” (Białoszewski, Karpowicz, Wirpsza, Balcerzan). Obecnie już można z powodzeniem wskazać kilku innych pisarzy, u których „pokolenie 68” terminowało: Różewicz, Herbert, Miłosz, Woroszyński, Szymborska, Słonimski... Na pewno można tę listę rozszerzyć, zaś polemiki, jakie przedstawiciele „pokolenia 68” toczyli ze swymi mistrzami, nigdy nie miały na celu negowania ich dorobku — chodziło raczej o przewyższenie istniejących samoograniczeń i o sposób przełamania barier stawianych literaturze przez politykę kulturalną. Nie przypadkiem też pierwsze pozycje wydane poza zasięgiem cenzury były dziełem tej właśnie generacji.

Nie jest także przypadkiem, że właśnie poezja stała się tą dziedziną, w której przełom literacki był najostrzej widoczny. Tutaj bowiem poruszamy się w sferze najwierniej odzwierciedlającej przemianę życia społecznego — w sferze języka. Nie był też przypadkiem fakt, że w początkach lat siedemdziesiątych prasa oficjalna przypuściła niewybredny atak przeciw poetom posługującym się metodą „lingwistyczną” (Białoszewski, Karpowicz, Wirpsza, Balcerzan, Barańczak, Krynicki). Stało się tak dlatego, że poezja ta zaczęła obnażać mechanizmy manipulacji społecznej dokonywanej w języku propagandy. Przeciwnikiem tej poezji stał się wówczas — o czym pisze Barańczak w swej ostatniej książce — język Gazety. Jeśli skojarzymy to z hasłem krzyżanym przez studentów w Marcu 1968 roku (PRASA KŁAMIE), widać, że chodziło od początku o przeciwstawienie się językowi kłamstwa. Właśnie poezja czyniła to najdobitniej.

W chwili obecnej widać już chyba wyraźnie, że w Polsce funkcjonują obok siebie dwa różne — choć czasami łądząco do siebie podobne — języki: język kłamstwa i język prawdy. Ten pierwszy jest językiem gazet, zebrań, akademii, narad partyjnych i produkcyjnych sprawozdań; ten drugi to język życia i literatury.

Pierwszy to język partyjno-państwowego monologu odrzucający jakąkolwiek możliwość porozumienia, stanowiący polityczne „lepiszcze” urzędowej propagandy; drugi jest językiem rozmowy, dialogu społecznego pozwalającego na nawiązanie autentycznych i spontanicznych więzi międzyludzkich. I tylko ten drugi język może być mową kultury: nie odrzuca bowiem żadnej części tradycji, nawiązuje do całej, niezafałszowanej spuścizny duchowej narodu. Tam właśnie, w tej nieokrojonej tradycji, w tej całości tkwią korzenie dzisiejszych przemian literatury polskiej. W tradycji i w jej osobistym, prywatnym przeżywaniu nie podporządkowanym żadnym wytycznym oficjalnej propagandy i historiozofii. Takie przeżycie tradycji jest też fundamentem własnego, osobistego przeżycia teraźniejszości, którego wyrazem staje się literatura.

Krzysztof ZAWRAT

PULS PUBLICATIONS

W lipcowym/sierpniowym nr. *Kultury* zamieściliśmy Apel *Pulsu*, nieregularnego pisma literackiego, wychodzącego w Łodzi, w sprawie zbiórki na umożliwienie wydania tego pisma na Zachodzie. Ponieważ kilka osób zwróciło się do nas z zapytaniem jak można przekazywać pieniądze na powyższy cel gdyż podany adres nie był dostatecznie jasny — po sprawdzeniu zawiadamiamy, że dary należy przekazywać na *PULS PUBLICATIONS* bądź bezpośrednio na ich konto bankowe Nr 0191421 w LLOYDS BANK, 18 WIGMORE STREET, LONDON W1H 9DE, WIELKA BRYTANIA, względnie wysłać pieniądze międzynarodowym przekazem pocztowym lub czeka wystawione na *Puls Publication* w listach, adresując:

*PULS PUBLICATION c/o LLOYDS BANK,
18 WIGMORE STREET, LONDON W1H 9DE.*

Co przyniósł dzień

(PAŹDZIERNIK 1972)

Jak małpa po drzewach, tak ja lubię skakać po szczytach swoich myśli, bo stamtąd lepiej widzę doliny i niższe grzbiety górskie. Nie dostrzegam co prawda kłopotów pojedynczych ludzi, chociaż właśnie one mnie interesują. Zdarza się jednak, że wtrąca się przypadek i każe mi wetknąć nos w jakieś codzienne wydarzenie — i natychmiast puszcza mi się krew z nosa. Tym wyżej go potem zadzieram, w głębokim przekonaniu, że moje racje są słuszne.

Przeczytałem w *Népszabadság*...

Albowiem czytanie gazet stanowi niemiły obowiązek. Ja sam nie zajmuję się polityką, ale polityka mną się zajmuje. Staram się o ile możliwości wyłączać z jej węższych kręgów, ale przecież muszę wiedzieć, dokąd wczoraj pojechał premier Lichtensteinu i dokąd zamierza jutro jechać. Może w odwiedziny do wiceministra spraw zagranicznych Filipin, żeby w przyjacielskiej atmosferze... abrakadabra... Albo na przykład rząd Malty założy protest wobec rządu greckiego... abrakadabra... Z różnych mglistych informacji zdołam może drogą dedukcji wyliczyć, ilu ludzi zginie w bliższej czy też dalszej przyszłości, ale ja osobiście nie znam się na tej matematyce i nie pragnę jej poznawać.

W *Népszabadság* z 17 września 1972 roku znalazłem wiadomość, że w jakiejś fabryce w Székesfehérvárze brygada pracy socjalistycznej zobowiązała się przepracować tysiąc trzysta godzin w czynnie społecznym, to znaczy darmo; a należne za tę pracę pieniądze przelano do kasy przedsiębiorstwa. Każdy z członków brygady miał przepracować czterdzieści godzin bez zapłaty. Dowiedziałem się także, że owa fabryka pracuje ze stratami, które

wyniosły jedenaście milionów forintów za pierwsze sześć miesięcy tego roku. Zbudziło się we mnie podejrzenie, że chyba jest jakiś związek między zobowiązaniem do bezpłatnej pracy a stratami.

Dziennikarz donosi o tych faktach i dodaje swoją ocenę. Czy wobec tego miałoby sens, żebym i ja podjął ten temat? Dziennik *Népszabadság* daje sobie radę i bez mojej pomocy, nawet bardzo mocno stoi na nogach. Mimo to coś mnie kusi, żeby podzielić się wrażeniami, jakie ten artykuł we mnie wzbudził — choć jestem bujającym w obłokach myślicielem — wrażeniami, które wybiegają nieco poza sam temat.

Autor artykułu przeprowadził wywiady z kilkoma pracownikami fabryki; jedna z robotnic, podobnie zresztą jak kierowniczka tego działu produkcji, nie wiedziały, na co będą przeznaczone zarobione przez nie pieniądze. Jedna z zapytanych powiedziała:

„Przyszłam dzisiaj do fabryki o dziesiątej rano, to znaczy cztery godziny przed normalną zmianą o drugiej. Te cztery godziny to właśnie praca społeczna. Przez cały tydzień będę pracowała od dziesiątej rano do dziesiątej wieczór — wolę to, niż pracę w wolną sobotę”.

W dalszym ciągu artykułu dziennikarz informuje, że owa pracownica jest zatrudniona przy urządzeniu ługującym, że tej wiosny rozeszła się z mężem, że ma roczną córeczkę, którą w czasie jej pracy ktoś się opiekuje za siedemset forintów miesięcznie, że jej zarobki wynoszą od tysiąca ośmiuset do dwóch tysięcy forintów miesięcznie, że w tej fabryce pracuje od pięciu lat. Na pytanie, czy wie na co są przeznaczone zarobki, których się brygada rzekła, odpowiedziała:

„Powiadają, że część idzie na pokrycie strat przedsiębiorstwa, ale słyszałam także, że na Wietnamczyków”.

No tak. Zarabia najwyżej dwa tysiące forintów, z czego siedemset musi oddać za opiekę nad dzieckiem. Za resztę musi żyć wraz z dzieckiem. I od tej kobiety fabryka otrzymuje w darze czterdzieści godzin pracy, to znaczy około czterystu forintów.

Inne przedsiębiorstwa postępują podobnie, autor artykułu wymienia na przykład fabrykę także w Székesfehérvárze, gdzie zorganizowano bezpłatną pracę pod hasłem „Tysiąc lat — tysiąc minut”, a więc zobowiązano robotników do siedemnastu godzin nieodpłatnej pracy.

Czy ktokolwiek o zdrowym rozumie uwierzy, że szczerza i płynąca z serca była odpowiedź robotnicy, gdy na pytanie dziennikarza odpowiedziała:

„Czy pani chętnie podjęła to zobowiązanie? To przecież całe cztery godziny dziennie!”

„Tak, wszyscy się tego chętnie podjęli...”

Coś mi się wydaje, że chyba jest związek między tym entuzjazmem dla bezpłatnej pracy, a oświadczeniem dyrektora tej fabryki, który powiedział:

„Każdy środek, mogący przyspieszyć budowę socjalizmu, jest dobry”.

Można chyba założyć, że jeśli nie w tej „skrytykowanej” fabryce, to w stu innych, pod naciskiem bezpośrednio działającym na skórę lub nieco inaczej — bardziej przenośnie lub psychologicznie — inne brygady już przyjęły albo dopiero przyjmą podobne zobowiązania? Zgodzą się oddawać darmo pot i siły na różne cele, choćby najbardziej szlachetne i godne uznania. Nacisk jednak, niezależnie od intencji, pozostaje naciskiem.

Czemu jednak w pierwszym rządzie obciążać tym świat robotniczy?

Porzucam artykuł w dzienniku *Népszabadság*, którego torem do tej chwili podążałem. Jeszcze raz pytam, czemu ten obowiązek pracy dobroczynnie uderza głównie w robotników? W klasę najgorzej zarabiającą, w tych dziewięćset tysięcy obywateli spośród dziesięciu milionów Węgrów? W tych, którzy są powołani do rządzenia krajem? Czemu mnie nikt nie powołuje do bezpłatnej pracy? Prawda, że płacę podatki, ale czy się podjąłem jakiejś pracy bez honorarium, czy takiej pracy podejmują się koledzy-pisarze albo malarze i rzeźbiarze? Jaką bezpłatną pracę wykonują lekarze, inżynierowie, profesorowie uniwersytetu, adwokaci? Albo reżyserzy filmowi, aktorzy i kompozytorzy muzyki lekkiej? Rzemieślnicy i nabijająca sobie kieszenie wszelka inicjatywa prywatna? A bogaci chłopcy spod Szeged i — poza małymi wyjątkami — w ogóle chłopcy? Czemu społeczeństwo żąda prezentów od wegetującej za tysiąc sto czy tysiąc trzysta forintów robotnicy i od innych mało zarabiających? Czemu domaga się ich od robotników, którzy od kraju dostają tylko czerstwy chleb — bo tylko niewielu jest wykwalifikowanych fachowców, którzy „fuchami” mogą sobie dorabiać?

Za każdą pracę należy się godziwa zapłata. Społeczeństwo socjalistyczne nie powinno przyjmować bezpłatnej pracy, nawet jeśli niektórzy dobrowolnie i chętnie się jej podejmują. Dobrowolna praca małych wspólnot wiejskich, wynikająca z porozumienia równych sobie uczestników nie może być w sposób sprawiedliwy realizowana w skali całego kraju. Takie działanie bowiem skłania do nadużyć władzę, która je organizuje, a podwładnych uczy hipokryzji. Jestem absolutnie pewien, że w razie niebezpieczeństwa zagrażającego państwu ludowemu, klasa robotni-

cza broniłaby swej własności z większą zaciętością, gdyby widziała w tym swój interes i gdyby wierzyła w sprawiedliwe rozłożenie ciężarów; ale nie żądamy od niej bohaterskiej postawy w dni powszednie, bo człowiek zdolny jest do bohaterstwa tylko w obliczu bezpośredniego niebezpieczeństwa. Nie można stale dźwigać w duszy napięcia, wynikającego ze świadomości składanej ofiary. Jesteśmy cywilami, zadowalajmy się odwagą cywilną! Sądzę, że powinniśmy odstąpić od systemu dobrowolnych zobowiązań, a jeśli z powodów charytatywnych czy politycznych potrzebna jest państwu nadwyżka zysków — niech jej nie ściąga w formie bezpłatnej pracy, ale niech na wszystkich obywateli nałoży odpowiedni podatek. Nie jestem specem od gospodarki narodowej, ale chyba pół procent dodatkowego podatku dochodowego wyrównałoby niedobór w kasie państwowej. I uspokoiłoby to na kilka minut sumienia uprzywilejowanych członków naszego społeczeństwa.

Tibor DÉRY

(Z węgierskiego przełożył M. K. P.)

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 299 — LESZEK KOŁAKOWSKI

GŁÓWNE NURTY MARKSIZMU

Powtanie — Rozwój — Rozkład

Tom III

Zawiera m.in. rozdziały: Pierwsza faza marksizmu sowieckiego. — Początki stalinizmu. — Spory teoretyczne w marksizmie sowieckim lat 20-tych. — Marksizm jako ideologia państwa sowieckiego. — Antonio Gramsci — rewizjonizm komunistyczny. — Georg Lukács — rozum na służbie dogmatu. — Lucien Goldmann. — Szkoła frankfurcka i teoria krytyczna. — Herbert Marcuse — marksizm jako utopia Nowej Lewicy. — Ernst Bloch — marksizm jako gnoza futurystyczna. — Rzut oka na przemiany marksizmu lat ostatnich.

Str. 536.

Cena F. 110,00.

Tom II-gi — zawierający 544 strony kosztuje F. 110,00.

NIE BÓJ SIĘ

Nie bój się,
diabeł czuwa:
podgląda, podsłuchuje
nasze najskrytsze lęki i marzenia,
żeby także i od nas

czegoś nowego się nauczyć.

ŚWIAT WOLI

Świat woli prostsze kalectwa:
niewiarę, bezdusznosc, brak serca.

NIEWIDZIALNE

Golę się: niewidzialne oczy
patrzą moimi oczyma,
niewidzialne serce

ma mnie w swoim ręku.

NAGLE

Moja córeczka, moja wielka nauczycielka
(która wspaniałomyślnie wybacza mi moje błędy,
bo już wie, że zmienia się nawet ortografia)
tryumfalnie woła do mnie ze swego pokoju: — Modliszki
pożerają swoje samce tylko w ludzkiej

niewoli.

WYSOKO ZASZEDŁEŚ

Wysoko zaszedłeś, mój ślimaczu,
na najwyższy liść czarnego bzu!

Ale pamiętaj: już koniec września.

Ryszard KRYNICKI

Wiersze

Ryszard KRYNICKI

„Księżyc świeci jednak i dla poety
i dla ludobójcy”.

Kazimierz Moczarski

NIE JESTEM GODZIEN

Panie, nie jestem godzien
Twojej kary.
Lecz jeśli ma być wymierzona
niechaj dosięgnie tylko mnie.
Przebac mi, że i teraz ciężko zgrzeszyłem,
myśląc, że i na mnie mógłbyś zwrócić
Swoje wszystko — i — nic

widzące spojrzenie.

73/79

WEWNĄTRZ

Spójrz, swoim prawdziwym blaskiem
witraż świeci dopiero

wewnątrz kościoła.

Archiwum polityczne

Trzeciej wojny światowej - ciąg dalszy

Artykuł „Trzecia wojna światowa” pisany był w chwili obejmowania rządów przez Cartera. Ukazał się w dwóch częściach — w marcowym i kwietniowym numerach *Kultury* 1978 r. Usiłowałem w nim wykazać, że ZSSR może doprowadzić do rozbicia systemu powojennych sojuszy, izolować i nawet pokonać Stany Zjednoczone bez konfrontacji zbrojnej między supermocarstwami.

W ciągu pierwszych dwudziestu lat po zakończeniu wojny Stany Zjednoczone miały przygniatającą przewagę militarną nad Rosją. Pomimo tego zasięg wpływów mocarstw zachodnich uległ poważnej erozji. W tym samym czasie sowiecka ekspansja czyniła stałe postępy. Polityka powstrzymania stwarzała przeciwnikowi przeszkody, które hamowały tempo, zmuszały do chwilowego zatrzymania a niekiedy nawet do cofnięcia się. Nigdy jednak lokalne porażki nie zdołały skłonić Związku Sowieckiego do zaniechania dalszych prób wykorzystania następnej nadarżającej się sposobności do rozszerzenia własnego stanu posiadania lub uszczuplenia zasięgu wpływów i sił USA.

Polityka powstrzymania mogła być stosowana z częściowym powodzeniem tak długo dopóki trwała amerykańska przewaga nuklearna nad Rosją. Sytuacja uległa radykalnemu odwróceniu z chwilą, gdy Związek Sowiecki osiągnął parytet czy nawet przewagę. Mocarstwa zachodnie nie mogą już zapobiegać próbom lokalnego podboju przez pośrednika uciekając się do groźby nuklearnego uderzenia wprost w promotora. Wizja totalnego samozniszczenia odstrasza nie tylko napastnika, ale i napadniętego.

Jak rozwijały się dalej wypadki od chwili napisania mego artykułu bez mała dwa lata temu? Szukając odpowiedzi przeglą-

dam prasę amerykańską z ostatnich tygodni. Zaczynam od artykułu Claytona Fritcheya w *Washington Post*. Stwierdza on na wstępie z ironią, że „podbój świata przez Rosję od dawna przepowiadany przez krytyków SALT II i gorliwych promotorów zwiększenia wydatków na zbrojenia został znowu odroczony”. Fritchey wyśmiewa Brzezińskiego, którego *arch of crisis* — łuk zagrożenia ciągnący się od Afganistanu poprzez Zatokę Perską aż po Jemen i Róg Afryki okazał się takim samym wytworem wyobraźni co Arka Noego. Rebelianci w Afganistanie zadali Sowietom klęskę opanowując większą część kraju. Przedtem jeszcze upadły sowieckie plany utworzenia podporządkowanej sobie koalicji łączącej Somalię, Etiopię i Jemen. Sowiety utraciły Somalię a razem z nią bazę wojskową Berbera, zbudowaną kosztem setek milionów dolarów u wylotu Morza Czerwonego. W Etiopii Rosja zaplątała się w wojnę domową. Nie udało się Moskwie opanować Północnego Jemenu. Największą klęską — twierdzi Fritchey — stała się już uprzednio utrata Egiptu i Sudanu, osłabienie wpływów sowieckich w Syrii i Iraku i narastający konflikt z reżymem Komeiniego w Iranie. Słowem nie ma się czego bać. Rosjanie jako imperialiści okazali się partaczami (*lousy imperialists*), którzy wyręczają Amerykanów psując wszystko własnymi rękami i swoją prostacką i niezgrabną polityką. Już Kissinger — pisze Fritchey — ostrzegał, by nie wyobrażać sobie Rosji jako olbrzyma wysokiego na 10 stóp. Niestety Brzeziński nie posłuchał tej rozsądnej rady i wciąż widzi przed sobą wymaginowanego sowieckiego giganta.

Zdaje się, że publiczność amerykańska chętniej słucha tzw. „liberałów” w rodzaju Fritcheya aniżeli coraz częstszych ostrzeżeń. Głosy bijące na alarm nie budzą na ogół żadnego widocznego rezonansu.

Rola Kuby

Dwa lata temu desant wojsk kubańskich w Angoli przy udziale sowieckich samolotów transportowych i transportowych okrętów stał się prototypem podboju przez pośrednika. Pozostawało pytanie gdzie i kiedy ten scenariusz zostanie powtórzony. Ostatnio *Washington Post* zaprodukował mapkę Ameryki Południowej, Afryki i Środkowego Wschodu z zaznaczeniem obecności wojsk kubańskich. A więc Kubańczycy mają dziś „doradców wojskowych” w trzech krajach zachodniej półkuli (Jamajka, Granada i Gujana) i w 14 krajach Afryki i Bliskiego Wschodu (Angola, Południowy Jemen, Irak, Syria, Algieria, Tanzania, Mozambik, Kongo-Brazzaville, Zaire, Angola, Gwinea, Equador,

Sierra Leone, Ghana). Kuba utrzymuje kontyngenty regularnego wojska w Angoli, Etiopii, Algierii, Syrii i w Południowym Jemenie.

Kraje, które przyjmują doradców kubańskich stają się klientami Moskwy. Mogą jednak — jak pokazał przykład Egiptu i Somali — zmienić front w każdej chwili. Natomiast obecność 20 tys. wojsk kubańskich w Angoli i 16 tys. w Etiopii zabezpiecza Sowiety przed podobną ewentualnością.

Kuba zaopatrywała w broń i szkoliła ruch partyzancki Sandanistów w Nigargui od roku 1962 i doczekała się ich zwycięstwa w roku 1979. W ten sam sposób wspierane są ruchy szykujące się do obalenia rządów w Salwadorze, Gwatemali i Hondurasie. Oczywiście broń oraz pomoc w innych postaciach nie pochodzi z własnych, kubańskich zasobów. Sowiety dostarczają Castro pośrednio i bezpośrednio 3 miliardy dolarów rocznie niezależnie od bezpłatnych dostaw ekwipunku wojskowego. Jak dotychczas strategia amerykańska nie znalazła środków przeciwdziałania ekspansji prowadzonej za parawanem kubańskiego pośrednika.

Nafta

Do niedawna Iran, Pakistan i Turcja — trzy kraje sprzymierzone ze Stanami Zjednoczonymi tworzyły flankę osłaniającą Zatokę Perską i zabezpieczającą wolnemu światu dopływ nafty. Obalenie Szacha oznaczało wytrącenie Iranu z amerykańskiej orbity wpływu i poważne osłabienie Turcji i Pakistanu. Saudi Arabia i małe kraje arabskie nad Zatoką Perską straciły policjanta strzegącego ich bezpieczeństwa. Były Sekretarz Stanu od spraw energii James Schlesinger i b. Podsekretarz Stanu George Ball próbują uprzytomnić opinii publicznej cały rozmiar niebezpieczeństw, jakie wypływają z tego stanu rzeczy.

Droga do podboju Europy Zachodniej — twierdzi Schlesinger prowadzi przez Zatokę Perską a ściślej biorąc przez cieśninę Ormus, której słowne koryto ma w najwęższym miejscu nie więcej niż 4-6 kilometrów szerokości. Przez ten wąski przesmyk przepływa 60 % zaopatrzenia Europy Zachodniej i Japonii. Zamknięcie tego kurka unieruchomiłoby w krótkim czasie cały przemysł a w razie wybuchu wojny siły zbrojne zarówno europejskich państw NATO jak i Japonii. Jeszcze niedawno potęga Stanów Zjednoczonych dominowała nad tym strategicznym rejonem. Zagrożenie krajów Zatoki Perskiej ani obecność w jej pobliżu wojsk sowieckich nie byłyby tolerowane. Obecnie sytuacja uległa odwróceniu. Cały mechanizm gospodarczy i wojskowy

Ameryki i jej sojuszników jest uzależniony od niepewnych, wewnętrźnie podminowanych, politycznie zmiennych krajów arabskich. Nic także nie wróży stałości rządowi Komeiniego w Persji. Dopływ 3,4 milionów beczek nafty dziennie z Iranu może być każdej chwili przerwany przez ponowny wybuch walk wewnętrznych, strajki lub sabotaże. Rurociągi były już dwukrotnie niszczone przez sabotażystów arabskich podlegających z trzech stron równocześnie: przez radiową propagandę sowiecką, Irak i PLO. W rejonie pól naftowych zamieszkuje pół miliona Arabów. Sowiety przy pomocy jawnej agitacji i ukrytych operacji montują gorączkowo front lewicy pod egidą partii komunistycznej Tudeh, wymierzony tym razem przeciw Komeiniemu. Propaganda sowiecka podburza równocześnie Kurdów, Arabów i Azerbejdżanów.

Przewrót w Persji ujawniając bezsilność Ameryki podważył zaufanie do amerykańskiej tarczy obronnej rządów Saudi Arabii, Kuweitu, emiratów i sułtanatów nad Zatoką Perską. Kraje te dostarczające łącznie 14,3 milionów beczek nafty dziennie poczuły się nagle otoczone i zagrożone. Obecność doradców sowieckich i kubańskich w Jemenie Południowym i zagrożenie Jemenu Północnego budzi szczególny niepokój jego sąsiada — Saudi Arabii (ok. miliona robotników z Północnego Jemenu pracuje na polach naftowych w Saudi Arabii). Wiadomość niemieckiego tygodnika *Die Welt* o sowieckim moście powietrznym, którym Rosjanie mieli rzekomo przerzucić do Adenu 40 tys. wojska spotkała się z zaprzeczeniem ze strony oficjalnych czynników amerykańskich. Przyznały one jednocześnie, że Rosja ma możliwości przerzucenia w ciągu 36 godzin poważnych sił w rejon Zatoki Perskiej. Natomiast prasa amerykańska cytując jako źródło wywiad Izraela podała, że elementy siedmiu dywizji spadochronowych stacjonowanych w południowej Rosji i w Bułgarii przerzucone zostały drogą powietrzną do Etiopii i Południowego Jemenu.

Etiopia ze swoją 220 tys. armią i 20 tys. kubańskim korpusem ekspedycyjnym stanowi dla Rosji zdobycz kompensującą z nadwyżką utratę — być może czasową — Somali i sowieckiej bazy strategicznej w Berbera. Etiopia łącznie z Południowym Jemenem może zaryglować cieśninę Bab-el-Mandeb a więc dostęp do Morza Czerwonego i Kanału Sueskiego.

Sytuacja na północnej flance łuku zagrożenia również nie przedstawia się tak różowo jak o tym pisze Fritchey. Od chwili, gdy Hafizullah Amin zajął miejsce Nur Mehameta Taraki — sowiecka jednostka spadochronowa uplasowana nad granicą Afganistanu znajduje się w stanie pogotowia. Rosjanie są przygotowani do interwencji wojskowej na wypadek, gdyby obecność na

miejsu 3 tys. sowieckich doradców okazała się niewystarczająca dla utrzymania Amina przy władzy. Inwazja byłaby z punktu widzenia bardzo kosztowna mobilizując przeciw Rosji świat muzułmański w szczególności Iran i Pakistan. Sowiety traktują więc jawną interwencję wojskową jako ostateczność, której będą się starały uniknąć.

Oceniając całokształt sytuacji w rejonie Zatoki Perskiej George Ball ostrzega, że według wszelkiego prawdopodobieństwa w ciągu następnych dwóch lat wydarzenia polityczne albo wojskowe mogą zakłócić lub przerwać całkowicie dopływ ropy naftowej z głównych źródeł na Środkowym Wschodzie. Schlesinger zaś wskazuje na konsekwencje:

„Utrata dostępu do zasobów ropy naftowej w Zatoce Perskiej musiałaby w sposób nieunikniony doprowadzić do rozwiązania przymierzy zmieniając oblicze wolnego świata uformowane po drugiej wojnie światowej. Praktycznie biorąc nasi sojusznicy nie mieliby innego wyboru. Widzieliśmy w czasie wojny Jom Kippur w 1973 roku w jaki sposób krótkotrwałe embargo wywołało nagłe przesunięcie w polityce większości państw Zachodniej Europy. Gdyby Sowietom udało się opanować ten rejon — Japonia i Zachodnia Europa nie miałyby innego wyboru jak akomodację a tym samym rozwiązanie sojuszków istniejących od dwóch pokoleń” (James Schlessinger, *The Washington Quarterly* nr 3, 1979 r.).

Afrykańskie surowce strategiczne

Brak stabilności polityczno-wojskowej nie ogranicza się do rejonu Zatoki Perskiej. Obraz nie byłby pełny, gdyby pominąć Afrykę. Związek Sowiecki ma już dziś w Afryce czterech klientów: Angolę, Etiopię, Mozambik, Kongo-Brazaville. Prof. Bohdan Szuprowicz z Nowego Jorku, rzeczoznawca stosunków handlowych z Afryką w artykule ogłoszonym w prasie australijskiej pt. „Rosyjskie dążenia do opanowania materiałów strategicznych” zwraca uwagę, że południowo-zachodnia część Czarnego Łądu jest głównym źródłem zaopatrzenia wolnego świata w kobalt, chrom, platynę, diamenty, wanad V (vanadium), germanium i uran. Poza Afryką tylko Rosja Sowiecka rozporządza wielkimi zasobami tych minerałów i jak dotychczas jest w tym zakresie samowystarczalna. Szuprowicz zwraca uwagę, że dalsze rozszerzenie sowieckich wpływów w Afryce może ułatwić Moskwie utworzenie kartelu producentów podstawowych surowców strategicznych. Kartel taki, o wiele groźniejszy niż OPEC, byłby w stanie

— mając za sobą poparcie Rosji — dyktować warunki odbiorcom w Ameryce i Europie Zachodniej.

Stosunek sił

Cały dotychczasowy system przymierzy oparty był na elemencie psychologicznym: na przekonaniu, że Stany Zjednoczone rozporządzają przewagą sił i mają wolę ich użycia nie tylko w obronie własnej, ale i sprzymierzeńców. I nie tylko w obronie terytorium, ale także ich żywotnych interesów. Wiara w amerykański parasol obronny ulega zachwianiu nie tylko pod wpływem bezsilności, jaką Stany Zjednoczone okazują w obliczu postępów ekspansji sowieckiej, ale także pod wpływem faktów dotyczących gotowości zbrojnej Ameryki ujawnianych nieomal codziennie przez prasę.

Sowieci stają się mocarstwem o globalnym zasięgu swoich wpływów dzięki nieustannej rozbudowie możliwości szybkiego przemieszczania dobrze uzbrojonych sił wojskowych w każdy najbardziej odległy punkt na świecie. Tymczasem dowódcy amerykańskich sił lotniczych nie ukrywają, że nie rozporządzają ilością samolotów transportowych, które pozwoliłyby przerzucić w ciągu jednej doby dostateczne siły na przykład w rejon Zatoki Perskiej. Nie jest to zresztą sprawą samych tylko maszyn. Coraz mniej jest baz pozwalających na lądowanie po drodze i uzupełnienie paliwa. Jedynym samolotem, który mógłby jednym skokiem znaleźć się na Środkowym Wschodzie z ładunkiem czołgów, artylerii i ludzi jest 76 Lockheed C5. Niestety skrzydła tego modelu okazały się tak kruche, że Pentagon wydać musi miliony dolarów na ich umocnienie. Inne transportowce dalekiego zasięgu jak Lockheed C130 i C141 nie mogą uzupełniać paliwa w powietrzu — muszą więc lądować po drodze. Nielepsza jest sytuacja transportowców morskich. Stany mają dostateczną ilość okrętów-amfibii dla przeprowadzenia desantu 40 tys. wojska albo na Atlantyku albo na Pacyfiku, lecz za mało, by przeprowadzić równocześnie większe operacje desantowe na obu oceanach. Według admiralicii Stany Zjednoczone miały w 1969 roku 153 okręty-amfibie a Związek Sowiecki — 103. Po upływie 10 lat — w 1979 roku Amerykanie mają już tylko 65 amfibii a Związek Sowiecki 100. W tym samym czasie amerykańska flota tankowców i wojennych okrętów transportowych spadła ze 112 do 61 podczas, gdy Sowiety podniosły ilość własnych jednostek z 56 do 147.

Nie wystarczą zresztą tylko środki transportu. Potrzeba przede wszystkim samego wojska. Decyzja Nixona zniesienia obo-

wiązku powszechnej służby wojskowej, podyktowana względami wyborczymi — okazała się fatalna w skutkach. Prasa zdradza bez skrępowań największe tajemnice wojskowe więc i to prze-dostało się na łamy dzienników, że armia nie rozporządza dostateczną ilością wojska odpowiadającą potrzebom w pierwszej fazie działań wojennych. Do tej konkluzji doprowadziły w ub. roku manewry *Nifty Nugget*. Miały one wykazać jak szybko Stany Zjednoczone potrafią zareagować na sowiecki atak na Europę Zachodnią. Okazało się, że po upływie 30 dni od chwili wybuchu konfliktu armia będzie miała tylko 25 % wyszkolonych żołnierzy potrzebnych do obsługi artylerii i czołgów. Jak oświadczył senator Sam Nunn brak sił ludzkich jest tak poważny, że armia nie byłaby dziś w stanie sprostać kryzysowi. Plany Pentagonu na wypadek wojny przewidują wprowadzenie do akcji rezerwy 100 tys. ludzi w ciągu 60 dni. W rzeczywistości zmobilizowanie takiej rezerwy wymagać będzie co najmniej 6 miesięcy. Stany Zjednoczone będą więc zmuszone wprowadzić szybko do akcji wszystkie rozporządzalne siły nie pozostawiając wyszkolonych rezerw.

Nie lepiej wygląda sytuacja na morzach. Flota amerykańska miała w roku 1969 — 950 jednostek, obecnie — 398. Co najmniej 600 potrzeba, by zapewnić obronę szlaków morskich na obu oceanach. Marynarka domaga się nowego lotniskowca w tym roku i dwóch w ciągu następnych pięciu lat, oraz budowy 25 okrętów wojennych rocznie — czyli 100 w ciągu następnych pięciu lat. Przyznane kredyty przewidują budowę tylko 46 do roku 1985. Oszczędności budżetowe sprawiają, że w czasie dorocznych manewrów w Niemczech załoga czołgu może wystrzelić tylko jedną salwę. Najbardziej nowoczesne samoloty myśliwskie trzymane są na ziemi ponieważ brak kredytów na części zapasowe.

Pozostaje broń nuklearna pochłaniająca znaczną część jeśli nie większość budżetu wojskowego. Krytycy SALT II zarzucają rządowi że układ oparty jest na fałszywych założeniach. Ponieważ napastnikiem wykorzystującym zaskoczenie mogą być tylko Sowiety więc równowaga sił wyrażająca się w samych liczbach nie wystarczy. Aby sprostać zaskoczeniu i przetrwać pierwsze uderzenie USA muszą mieć od początku zdecydowaną przewagę. Scenariusz ogłoszony przez inżyniera Departamentu Marynarki Nicholasa Santelli opiera się na przewidywanej ocenie sowieckiego potencjału w roku 1984. Jeśli Sowiety użyją w pierwszym natarciu tylko jedną piątą swoich nuklearnych łodzi podwodnych — będą mogły wystrzelić 200 głowic balistycznych zaopatrzonych w wiązkę pocisków lecących nisko nad ziemią. Bazy lotnictwa strategicznego ostrzeżone będą najwyżej na osiem minut

zanim pociski dolecą do celu. W tych warunkach nie więcej niż 40-50 % amerykańskich bombowców nuklearnych zdoła wystartować. Po drodze do celów w ZSSR będą musiały przedrzeć się przez gęsty parasol przeciwlotniczy, który w roku 1984 obejmie prawdopodobnie sowieckie bombowce Backfire wyposażone w najnowocześniejsze pociski pozwalające na zestrzelenie maszyn amerykańskich zanim jeszcze znajdą się w zasięgu pocisków ziemia-powietrze. Zapas sowieckich pocisków nuklearnych SS 18 pozwoli zrzucić trzy głowice na każdą wyrzutnię amerykańską. Nawet po wystrzeleniu tej pierwszej salwy Sowietaom pozostanie znaczny zapas ciężkich pocisków balistycznych przechowywanych obecnie w ukryciu. (SALT II reguluje ilość wyrzutni a nie pocisków). Amerykańska odpowiedź na pierwszy atak napotka na szereg trudności. Pierwsza faza, kiedy pocisk prze w górę jest najbardziej krytyczny. Nawet odległa detonacja nuklearna może zepchnąć pocisk z toru. Sowieckie łodzie podwodne mogą wystrzeliwać pociski, które eksplodować będą wysoko ponad polami minowymi. Powstrzyma to wystrzelenie minut-manów do chwili, gdy nadlecą bardziej precyzyjne pociski sowieckie. Ponadto, jak twierdzi były szef połączonych sztabów gen Maxwell Taylor, strona amerykańska nie będzie wiedziała, które sowieckie wyrzutnie są już puste, a które jeszcze nie załadowane. Oddając salwę skierowaną zarówno do pustych jak i pełnych wyrzutni — Amerykanie będą musieli stracić znaczną ilość pocisków. Wysunięte do przodu bazy lotnicze NATO zostaną ostrzeżone na 15 minut przed dotarciem sowieckich pocisków do celu, lecz nieprzyjaciel będzie mógł neutralizować je gazem paralizującym ośrodku nerwowe. W roku 1984 Rosja będzie dysponowała flotą satelitów umożliwiających precyzyjne umiejscowienie lotniskowców oraz zniszczenie ich pociskami balistycznymi, których kurs będzie można poprawiać w powietrzu również przy pomocy satelitów.

Rok 1984

Rzeczoznawcy oceniają, że Sowiety osiągną szczytowy punkt swojej przewagi w pierwszym pięcioleciu następnej dekady, prawdopodobnie w roku 1984. W tym samym okresie konflikty społeczne w samych Stanach mogą ulec zaostrzeniu, jeśli nie uda się zahamować inflacji (podsycanej przez rosnące ceny benzyny) i uniknąć recesji. Bijący na alarm publicyści obawiają się w tym krytycznym momencie nie tyle wojny nuklearnej ile dalszej utraty wpływów — erozji stanu posiadania i dezintegracji sojuszków.

Stany Zjednoczone pozbawione sprzymierzeńców i dopływu surowców nie byłyby w stanie utrzymać się jako obłożona twierdza.

Te pesymistyczne przewidywania są rzecz jasna jednostronne, bo ukazują tylko jedną część równania. Jeśli Ameryka przynagłona kryzysem energetycznym rozwinie szeroko akcję poszukiwania zastępczych źródeł energii — a na to się zanosí — sytuacja gospodarcza a z nią być może wojskowa ulegać będą poprawie lecz dopiero w drugiej połowie lat osiemdziesiątych. W tym samym czasie zacząć przynosić wyniki obecne wysiłki naprawienia i nadgonienia fatalnych redukcji i ograniczeń zbrojeń w okresie po-wietnamskim. Z drugiej strony sytuacja gospodarcza w samym ZSSR ulegać będzie pogorszeniu i może w drugiej połowie następnej dekady doprowadzić do poważnego kryzysu, jeśli nie katastrofy. Olbrzymi ciężar zbrojeń sowieckich pochłaniających 15 % dochodu narodowego musi także odbijać się na sowieckiej gospodarce. W tym czasie Sowiety przestaną być krajem surowcowo samowystarczalnym. Być może zmuszone będą do importu m.in. znacznych ilości ropy naftowej. Ludzie na Kremlu z pewnością zdają sobie sprawę, że po roku 1985 czas pracować będzie przeciwko nim. Właśnie dlatego najbliższe pięciolecie może się okazać najbardziej niebezpieczne. Trudno przewidzieć co w tym pięcioleciu może się wydarzyć. Według oceny wybitnych lekarzy specjalistów, którzy mieli możliwość obserwowania Breżniewa z bliska w czasie jego wizyt na Zachodzie ma on tylko 50 % szans na przeżycie nadchodzącej zimy i prawie żadnych na przetrzymanie zimy 1980/81. Przeciętny wiek nie tylko członków Politbiura, ale całego KC wynosi 70 lat. Czy odejście Breżniewa będzie oznaczało tylko mało znaczącą zmianę personalną czy też odsunięcie od władzy całej gerontokracji? Jak może do tego dojść? Czy następcy nastawieni będą na reformy gospodarczo-ustrojowe czy też wybiorą wykorzystanie w pełni słabości przeciwnika i dążenie do hegemonii kosztem własnej ludności? Próba znalezienia odpowiedzi na te i inne pytania prowadzi tylko do domysłów. A jednak od tej drugiej strony równania zależeć będą losy świata i w najbardziej dosłownym znaczeniu — każdego z nas.



Przelewając na papier te pesymistyczne przewidywania byłem w konflikcie ze samym sobą. *Kultura* dociera szeroko do inteligencji w kraju. Wiem z własnych wojennych doświadczeń, że opór nawet w czysto moralnym tego słowa znaczeniu jest funkcją nadziei. Czy warto więc osłabiać nadzieję nie wesołymi perspektywami bliskiej przyszłości? Niestety te same doświadczenia wojenne mówią mi jak niebezpieczne jest dla społeczeństwa życie

w złudzeniach i oderwaniu od rzeczywistości. Patrząc trzeźwo musimy liczyć się z tym, że wypadki przynieść mogą nie tylko wzrost napięć w stosunkach międzynarodowych, ale także radykalne przesunięcie powojennego układu, jaki wyłonił się w Europie i w świecie w wyniku drugiej wojny światowej.

Jan NOWAK

Waszyngton, 6 października 1979.

Korespondencja z Rzymu

„SEKRETY” WATYKANU

Pod koniec sierpnia i w ciągu września prasa międzynarodowa podniosła wrzawę wokół finansów watykańskich. Padły rozmaite cyfry milionowego deficytu, ale równocześnie zwiększonych wpływów z tzw. świętopietrza (po angielsku *Peter's Pen*, po włosku *Obolo di San Pietro*). Świętopietrze czyli ofiary wiernych zbierane zgodnie z tradycją w święto Piotra i Pawła (29 czerwca) oraz inne dary lub zapisy testamentowe przekazywane do dyspozycji papieża, nie wchodzi w skład budżetu. Papież przeznacza je na cele charytatywne i na pokrycie nadzwyczajnych wydatków (podróże). W ostatnich latach szły również częściowo na pokrycie deficytu budżetowego. Niektóre gazety zapowiedziały, że Jan Paweł II zamierza podjąć „rewolucyjną decyzję” podania do wiadomości publicznej budżetu i bilansu Stolicy Apostolskiej, co do tej pory było otoczone tajemnicą.

Do tej sprawy, złożonej i niejasnej dla profanów (prasa międzynarodowa jeszcze bardziej ją zamąciła), należy podchodzić z umiarem i znajomością rzeczy. Nie przestrzegają tej zasady goniący za sensacją dziennikarze — stąd nieścisłości i nieporozumienia dotyczące terminów, pojęć i prawdziwych wymiarów problemu. Trzeba przede wszystkim rozróżniać dwa aspekty: *temporale* (doraźny, materialny) i *spirituale*; co innego Miasto Watykańskie (*Stato della Città del Vaticano* — rząd państwowy), co innego Stolica Apostolska czyli rząd Kościoła Powszechnego. Kto próbuje zaglądać do tych spraw „przez dziurkę od klucza”, traktując je jak *thriller* (polski neologizm: dreszczowiec), nie ułatwia nikomu rozeznania i orientacji. Z drugiej strony pozbawione podstaw jest również stanowisko pewnego kompleksu jakim obarczeni są ci katolicy, którzy uważają, że nie wypada tych spraw poruszać. Chodzi bowiem rzekomo o sprawy delikatnej bardzo natury i namaszczone kościelnym sekretem. Wasz korespondent uległ zapewne nieświadomie temu kompleksowi.

Zaczął bowiem interesować się tym aspektem rzeczywistości watykańskiej dopiero w kwietniu tego roku, kiedy dotarła doń informacja, że Jan Paweł II, zaniepokojony sytuacją w sektorze administracyjno-finansowym, wydał polecenie dokładnego zbadania tej sprawy i przedłożenia mu przejrzystego budżetu. Było jasne, że papież chce najpierw zorientować się w tej zupełnie dlań nieznannej problematyce zanim poweźmie konkretne decyzje zmierzające do reorganizacji tego sektora.

„Gdyby pieniądź miał religię, byłby izraelitą, ale nie ma jej na szczęście i dlatego może być szanowany przez wszystkich”. Tę wypowiedź kard. Mocenni'ego, który zawiadywał finansami za pontyfikatu Leona XIII, cytuje B. Lai, wybitny włoski „watykanista” w swej doskonałej książce „Finanse i finansjerzy watykańscy pomiędzy XIX-tym i XX-tym wiekiem”. Książkę tę, bogato udokumentowaną (wybór dokumentów z archiwów watykańskich i patrycjuszowskich rodzin rzymskich) zrecenzowało z uznaniem pismo jezuitów *Civiltà Cattolica*. Bez znajomości precedensów historycznych nikt nie jest w stanie zrozumieć zwyczajów, mentalności i mechanizmów panujących w Kurii Rzymskiej. Odnosi się to również do dziedziny tak przyziemnej jak finanse. Pasjonująca lektura tej książki jest bardzo pouczająca, daje wgląd w finanse Watykanu w czasie czterech pontyfikatów: Piusa IX, Leona XIII, Piusa X i Benedykta XV (od zjednoczenia Włoch do 1916 roku). W polityce finansowej tego okresu główną rolę odgrywali kardynałowie Antonelli i Mocenni oraz prafat Folchi i bankier Ernesto Pacelli (kuzyn ojca Piusa XII). Z nazwiskiem Pacelliego związane są pierwsze spekulacje budowlane i burzliwe dzieje Banco di Roma, którego był prezesem (aż do plajty na skutek zaangażowania się w wojnie libijskiej). Antonelli nawiązał ścisłe stosunki z bankiem Rothschildów i zapewnił Watykanowi korzystne związki z Ameryką. Papież w tym okresie, natychmiast po swej elekcji, dokonywali przeglądu stanu finansowego, chcąc przekonać się czy ich poprzednicy prowadzili oszczędną gospodarkę i jaki pozostawili bilans zamknięcia. Autor książki rekonstruuje niektóre epizody niepozbowione humorystycznych szczegółów dla współczesnego czytelnika. I tak np. Leon XIII zrobił swemu następcy kawał: polecił przed śmiercią sekretarzowi przekazać żelazną szkatułę pełną banknotów jednemu z zaufanych kardynałów w celu przekonania swego następcy „jak trudno jest rządzić bez pieniędzy, a więc zachęcić go by ich zazdrośnie strzegł”. Kasa dotarła dopiero następnego dnia po wyborze do jego sukcesora Piusa X, który, po otrząśnięciu się z przerażenia, że będzie zmuszony zacząć pontyfikat bez gotówki, zabrał szkatułę do sypialni, gdzie „pewna część tych milionów pozostała przez jedną noc pod jego łóżkiem ponieważ nie mieściły się w kasie”. Autor książki wylicza transakcje, zyski i straty bankierów i totumfackich papieskich. Nie ogranicza się do tego. Pokazuje mianowicie jak wraz z zupadkiem ziemskiej władzy papieży (tj. likwidacją Państwa Papieskiego w 1870 roku) Watykan wchodzi w nowoczesny świat ekonomii i finansów. Kar-

dynał Antonelli i Ernesto Pacelli położyli podwaliny pod nową formę organizacji kapitalistycznej. Wtedy to powstał Instytut Dziej Religijnych (*Istituto per le Opere di Religione*) czyli bank watykański powiązany z międzynarodową siecią bankową. Od czasu *conciliazione* pomiędzy Italią a Stolicą Apostolską zaczyna się spłot polityki i finansów z obopólnymi korzyściami i koncepcjami. Państwo papieskie przestało wprawdzie istnieć, utraciło bowiem swe terytorium i uległo redukcji do Miasta Watykanu, nadal jednak działało jako państwo suwerenne przy nie bezinteresownej aprobacie włoskiej monarchii, a później republiki. Eskalacja ekonomiczna, poczynszy od 1870 roku, ma źródło paradoksalne. Stolica Apostolska mogła liczyć na solidarność katolików na całym świecie, którzy poprzez hojne ofiary chcieli jej zrekompensować utratę papieskiego terytorium państwowego, sięgającego aż po Toskanię i Umbrię. Z tej to właśnie fali emocjonalnej zrodził się sukces „świętopietrza”. Po konwencji finansowej, podpisanej z Państwem włoskim w roku 1929, Stolica Apostolska otrzymała 80 milionów dolarów (ówczesnej wartości) w gotówce i papierach wartościowych. Dzięki tym funduszom wybudowano wiele domów znajdujących się do dziś dnia w gestii Administracji Majątku Stolicy Apostolskiej. Wartość tych nieruchomości obecnie znacznie wzrosła, choć nie przynoszą one znacznych dochodów. Rozpoczęto wtedy różne operacje finansowe, niektóre udane — jak zakup złota (już wówczas stanowiło dobrą lokatę na skutek dewaluacji dolara) — inne kończyły się fiaskiem jak np. zakup obligacji Kanału Sueskiego. „Ogólnie biorąc — twierdzi B. Lai — przedstawiciele hierarchii kościelnej nie byli nigdy wielkimi menadżerami i pozostają na łasce dobrych i złych doradców”.

Jak przedstawiają się dziś finanse Watykanu? Jak wygląda kwestia budżetowa? Dotychczasowe trudności z ogłoszeniem budżetu polegają nie tyle na jakimś urazie tajności, ile na wadliwej strukturze sektora finansowego, braku organu centralnego wyposażonego w skuteczne funkcje kontrolne, przesadnej autonomii poszczególnych dykasterii i na nieprzejrzystości niektórych pozycji budżetowych. Reforma Kurii Rzymskiej, dokonana przez Pawła VI w 1967 roku — zdaniem ekspertów — nie powiodła się w tej dziedzinie. Wiele rzeczy pozostało na papierze. Na czele wprowadzonej wtedy struktury stoi Prefektura d/s gospodarczych (rodzaj ministerstwa finansów), której podlegają Administracja Majątku Stolicy Apostolskiej (skrót włoski APSA) i Gubernatorstwo Państwa Miasta Watykanu. Poza gestią Prefektury znajduje się „świętopietrze”, zawiadywane przez Substytut Sekretarza Stanu i Instytut Dziej Religijnych (bank watykański). Prefektura zgodnie ze statutem kontroluje budżet i sporządza bilans; napotyka jednak na trudności w sprawowaniu tej kontroli. Może czyni, „obserwacje”, ale nie dysponuje należytych środkami dla rzeczywistej kontroli. Kompetencje różnych organizmów (także wyodrębnionego banku), są płynne, niedostatecznie zdefiniowane. W 1969 roku Paweł VI nosił się

z zamiarem ujawnienia sytuacji majątkowej i ogłoszenia budżetu. Nie doszło to jednak do skutku. Papież miał jakoby stwierdzić: „czy ludzie uwierzą w dane jakie ogłosimy?”. Na nic też zdały się jego próby ograniczenia wydatków i uzależnienia ich od posiadania najpierw danych odnoszących się do wpływów z jakich mają być pokryte. Administracja Majątku Stolicy Apostolskiej stanowi rodzaj *holdingu*, kontrolującego kilkadziesiąt instytucji odrębnych jednostek, m.in. zarząd nieruchomości (ok. 300), dziennik *Osservatore Romano*, różne dykasterie mające nieraz własne przychody. I tu jest wyjątek: Kongregacja Krzewienia Wiary, która stanowi jedyny przypadek ogłaszania przychodów z dorocznych zbiorów na misje. Od Gubernatorstwa zależą natomiast m.in.: *Annona* czyli wielkie magazyny artykułów przemysłowych i żywnościowych (sprzedawanych obywatelom i pracownikom watykańskim po cenach zwolnionych od opłat celnych), emisja znaczków pocztowych i pamiątkowych medali, muzea, radio watykańskie. W przeciwieństwie do APSA, Gubernatorstwo nie wykazuje deficytu (głównie dzięki sprzedaży znaczków i opłatom za bilety wstępu do muzeów). Bank watykański (I.O.R.) posiada według statutu z 1941 roku niezależną osobowość prawną. Osobowość polega na tym, że instytut ten stanowi jakby bank prywatny w Państwie Miasta Watykanu. Mogą w nim deponować pieniądze kurie diecezjalne, zakony religijne, kapłani świeccy obywatele watykańscy, jak również uprzywilejowani obywatele zagraniczni (Włosi są również traktowani jako cudzoziemcy); wkłady są wolne od opłat fiskalnych. Bank posiada papiery wartościowe różnych wielkich koncernów, włoskich i zagranicznych oraz pakiety udziałów akcyjnych (w żadnym jednak wypadku nie reprezentujących większości udziałów). Od pewnego czasu, jak stwierdza pewien ekspert kościelny, istnieje tendencja do demobilizacji inwestycji kapitałowych we Włoszech i przesuwania ich do innych krajów. Udziały akcyjne i depozyty bankowe dotyczą głównie następujących krajów: USA, Szwajcarii, Niemiec, Japonii, Francji i Kanady. Tak jak operacje każdego banku, również i I.O.R. jest uzależniony od międzynarodowej koniunktury. Nie wszystkie operacje miały szczęśliwy wynik. Bank watykański poniósł kilka lat temu poważne straty na skutek niefortunnych spekulacji na depozytach i obligacjach powierzonych bankom sycylijszemu Sindony, boha-tera głośnej plajty i afery we Włoszech, a później w USA. Gros aktywności finansowej Watykanu przechodzącej przez ten bank jest chroniona tajemnicą; tajny jest także jego bilans.

Niepomyślna koniunktura gospodarcza na świecie odbiła się na stanie finansów watykańskich. I stąd od kilku lat poważny deficyt. Według szacunków, zbliżonych do rzeczywistości, deficyt ten wyniósł w 1978 roku ok. 11 milionów dolarów, w tym roku zaś dojdzie podobno do ok. 15 mln. dolarów. Zadłużenie jednak oficjalnie nie istnieje. Watykan jest jedynym państwem na świecie posiadającym deficyt bez długów. I tu dochodzimy do kluczowej kwestii: niedobory są pokrywane z jedynej rezer-

wy płynnej jaką stanowi „świętopietrze”. Te przychody — przypomnijmy — przeznaczone do wyłącznej dyspozycji papieża, są bowiem kierowane *ad personam* — odgrywają w finansach watykańskich zasadniczą rolę. Hojność wiernych — ofiary zbierane na całym świecie (poza blokiem sowieckim i „trzecim światem”), dary osób fizycznych i prawnych, zapisy testamentowe — jest wprost proporcjonalna do zaufania pokładanego w Stolicę Apostolską. Dużo zależy od klimatu psychologicznego i stopnia nastężenia duchowego w danej spoce. B. Lai tłumaczy to zjawisko następująco: „mieliśmy w dziejach papieża którzy przyciągali tę hojność, jak Pius IX lub Pius X i takich jak Leon XIII, czy Paweł VI, którzy nie mieli powodzenia. Postać papieża, jego wygląd zewnętrzny, osobowość, miara popularności i *credibility*, jego ‘ideologia’ — determinują hojność ludzką (bywają wypadki, że nie tylko wiernych w ścisłym tego słowa znaczeniu). Kryzys walorów religijnych i polemiki powodują kurczenie się tych darów”. Świętopietrze jest więc ściśle związane z rozmiarami *consensusu* społecznego i programem danego pontyfikatu. Wysokość świadczeń z tytułu świętopietrza nie jest znana i w tym przypadku dzieje się słusznie. Papież otrzymuje bowiem te dary do własnego rozporządzenia. Cyfry podawane przez prasę: 12-15 milionów dolarów za Jana XXIII, a potem spadek do 9, 7, a nawet 4, za Pawła VI (ta ostatnia cyfra jest powszechnie kwestionowana), nie są ścisłe, jak i ich wiarygodność jest relatywna.

Urok osobisty Jana Pawła II, jego „reaktywność” na aspiracje przeciętnego człowieka, jego zarysowany już w głównych liniach program pontyfikatu — stwarzają optymistyczne przesłanki dla *consensusu* wiernych (i zwiększonego napływu darów). Nie ma wątpliwości i obaw — mówi B. Lai, obeznany od niemal 30 lat z problematyką watykańską — by dialog, tak jak go pojmuje Jan Paweł II, prowadził do kompromisu z marksistami i reżymami komunistycznymi (podejrzenia takie istniały za pontyfikatu Pawła VI). Pierwszą doraźną sprawą jaką Jan Paweł II musi rozwiązać, zanim przystąpi do zaprojektowania strukturalnych zmian w działalności Kurii Rzymskiej, stanowi sprawa materialnych i prawnych warunków świeckiego personelu. Pracownicy ci wystąpili na piśmie, z zażaleniami do „wielkiego papieża”, prosząc go o dobroduszość, tzn. podwyższenie poborów. Pozbawieni ochrony prawnej postanowili ukonstytuować „komitet” reprezentujący ich interesy, jako surogat organizacji syndykalnej. Komitet ten, który będzie zarejestrowany we włoskim trybunale, nie będzie miał jednak mocy prawnej na terenie Watykanu. Regulamin Państwa Miasta Watykanu zakazuje bowiem tworzenia związków zawodowych. Pracownicy świeccy (ok. 3 tysięcy) mają uposażenia nieco niższe niż te same kategorie w państwie włoskim. Co prawda korzystają z kompensacji w postaci artykułów nabywanych po tańszej cenie, ale narzekają że ceny w watykańskim domu towarowym też poszły w górę (poza benzyną, która kosztuje 330 lirów, we Włoszech — 600 lirów za litr). Ponadto, w przeciwieństwie do personelu

duchownego, nie korzystają z udogodnień mieszkaniowych i wyżywieniowych, a są przecież obciążeni rodzinami. Rzecznik prasowy Watykanu odpowiadając na te skargi powiedział m.in., że Jan Paweł II „od początku pontyfikatu zdaje sobie sprawę z tej sytuacji, zatroszczył się o nią i powołał komisję do zbadania sprawy. Możliwości Stolicy Apostolskiej są jednak ograniczone i ta sprawa musi być rozpatrzona w ramach aktualnych trudności gospodarczych, międzynarodowych, włącznie z włoskimi”.

Zadanie uporządkowania sektora finansowego jakie czeka papieża, a z czym wiąże się kwestia ogłoszenia budżetu, jest bardzo trudne. „Największa trudność polega na tym żeby ten budżet uczynić wiarygodnym” — wyjaśnia B.Lai. Jan Paweł II jest w stanie do tego doprowadzić, ale to wymaga czasu. Trzeba nadać nowy profil organizacji finansowej, co papież zamierza uczynić. B.Lai jest dość sceptyczny, uważa, że skończy się na tym, że papież będzie zmuszony „przystosować się” do schematów Kurialnych, „nie da rady” — twierdzi. Nie zgadzam się z włoskim przyjacielem mimo jego bezsprzecznej kompetencji w tej materii. Zgoda, potrzeba czasu by tchnąć nowego ducha w biurokratyczne zakamarki. Jan Paweł II da sobie chyba także i z tym radę. We wrześniu ub. roku asystował jako metropolita krakowski w sali parafialnej polskiego kościoła Św. Stanisława w Rzymie na odczycie historyka prof. Wosia o dziejach fundacji kard. Hozjusza z okazji 400-lecia jej powstania (metropolici krakowscy są opiekunami tej fundacji, tj. hospicjum i kościoła). Prelegent referował m.in. jak kardynał Hozjusz, dzięki radom i pomocy pewnego zdolnego rzymskiego prałata zdołał zebrać znaczne fundusze na rzecz metropolii krakowskiej. Ówczesny kardynał Wojtyła, przemawiając po zakończeniu tej prelekcji, westchnął w pewnej chwili i uśmiechając się (odkryłem wtedy że ma duże poczucie humoru) powiedział: „Jakby to było dobrze gdyby moja diecezja miała takiego dobrodzieja” (cytuje z pamięci). Życzymy mu by na Stolicy Piotrowej mógł oglądać stały i wzbierający przyływ darów pieniężnych. Stolica Apostolska bowiem, w przeciwieństwie do krakowskiego grodu, musi posługiwać się tzw. „środkami bogatymi”, tak niezbędnymi na różne dobre cele, a dziś tym bardziej na realizację długofalowych zamysłów słowiańskiego papieża.

Dominik MORAWSKI

Pisane 11 października 1979 r.

P.S. 16 bm. przypada pierwsza rocznica *conclave* i dokonanej elekcji Karola Wojtyły, papieża Jana Pawła II. Na początku listopada odbędzie się zwołany przez papieża konsystorz, na którym zechce zapewne przekonsultować członków Św. Kolegium kardynalskiego na temat dalszego programu pontyfikatu i głównych swych zamiarów, zmierzających m.in. do realizacji nowych form kolegalności episkopalnej. Bilans pierwszego roku pontyfikatu odkładamy do następnego numeru.

D. M.

Kraj

Teorie, wytyczne i spory

I

„Raport o stanie Rzeczypospolitej i drogach do jej naprawy”, opracowany przez komitet redakcyjny konwersatorium Doświadczenie i Przyszłość (DiP), jest najpełniejszą dotychczas dokumentacją nienowej tezy, że kryzys ekonomiczny, który w tej chwili przeżywamy, ma korzenie polityczne i nie da się przezwyciężyć bez głębokich reform ustrojowych. Raport krąży w odpisach i doczeka się z pewnością druku — oczywiście poza-cenzuralnego lub zagranicznego. Ponieważ jest nadal przedmiotem konsultacji DiP'u i ponieważ jest jasne, że jego autorzy nie chcą występować jako grupa opozycyjna, ze szczegółowym omówieniem warto poczekać.

Zasygnalizuję tylko trzy godne uwagi aspekty tego niebywałego dokumentu, opartego na 50 odpowiedziach na ankietę, rozсланą wśród naukowców i publicystów: zawiera on pierwszą na taką skalę przeprowadzoną i przedstawioną w języku współczesnej socjologii analizę funkcjonowania administracji polityczno-państwowej i polityki społecznej w PRL; jego autorzy najwyraźniej nie mają ambicji zespołowego włączania się do rozgrywek polityczno-ideowych, są po prostu grupą rzeczoznawców; są całkowicie zgodni co do tego, że jeżeli nie przedsięwziemy, i to szybko, radykalnych środków naprawy — katastrofa gospodarcza i społeczna (czy to w postaci załamania się, czy nieodwracalnego schyłku) jest nieuchronna.

Świadomość tego ostatniego staje się powszechna — ale niemal równie powszechne jest przekonanie, iż „radykalna zmiana funkcjonowania społeczno-politycznego modelu jest absolutnie konieczna i zarazem całkowicie niemożliwa”, jak piszą autorzy

„Raportu”. I za swój cel naczelny uważają oni przeciwstawienie się tej obojętniejszej myśli i działanie postawie. Przedkładają więc władzom „Raport” jako materiał do zastanowienia, uzupełniony szeroko zakrojonym (i, jak sądzę, naiwnym) projektem zmian ustrojowych.

Poczucie „niemożliwości” przemian płynie z gorzkiego doświadczenia i ze świadomości, że ani partia nie chce rezygnować z władzy, ani ZSRR z dominacji. Dlatego też zagadnienie, do kogo adresować postulaty praktyczne i programy dalekodystan-sowe obchodzi wszystkie ugrupowania tzw. „opozycji demokra-tycznej”. Nie rozwiązywano go jednomyślnie — na szczęście, bo w kwestii tak zasadniczej powinno się wykorzystywać wszystkie możliwości i wszystkich adresatów. Np. środowisko KOR'u w zasadzie apelowało do społeczeństwa, ale sama koncepcja „dia-logu z władzą” stawia je w pozycji zwracającego się do partii i rządu.

Czym innym jest jednak wysuwanie postulatów pod adresem władz, a czym innym zalecanie, aby opozycja inspirowała udziele-nie poparcia jednej z partyjnych frakcji, tj. pośrednio włączyła się do walki o władzę — nie dla siebie, nie dla demokratycznej większości, ale dla jakiejś partyjnej grupy. Z taką propozycją wystąpił niedawno Jacek Kuroń¹. Zarówno ze względu na szcze-gólną treść, jak i ze względu na osobę autora, wyjątkowo zasłu-żonego organizatora niezależnych działań społecznych, propozycja wymaga starannego rozważenia.

Odtwórzmy tok wywodu Kurońa (nie wszędzie jasnego i jednoznacznego). 1. Grozi nam w bliskim czasie wybuch „gnie-wu społecznego”, wywołany obniżaniem się stopy życiowej i powszechnym zanikiem wiary w zdolność istniejącego aparatu władzy do skutecznego kierowania życiem publicznym. 2. Wy-buch taki byłby szkodliwy, bo grozi krwawymi represjami, a na-wet ewentualną interwencją sowiecką, zaś osiągnięcie „sukce-su” (?) jest wątpliwe. 3. Samoorganizowanie się społeczeństwa w „niezależne ruchy społeczne” postępuje wolniej, niż narastanie gniewu. 4. Samoorganizowanie się jest środkiem, powstrzymu-jącym eksplozję. 5. „Opozycja”² może wybuchowi zapobiec dzie-ki swojemu wielkiemu autorytetowi. 6. Autorytet „opozycji” jest większy, niż jej możliwości organizacyjne. 7. Dlatego też

1. Sytuacja kraju a program opozycji”, *Biuletyn Informacyjny*, 1979, Nr 3, str. 15-19.

2. Kuroń nie określa, co rozumie przez „opozycję”. Warto więc przy-toczyć jego definicję z *Zasad ideowych*: „Za opozycję polityczną uważam tu tych wszystkich ludzi, którzy świadomie i czynnie przeciwstawiają się totalitaryzmowi walcząc o suwerenność Narodu i Państwa Polskiego”. *Zasa-dy ideowe*, Instytut Literacki, Paryż, 1978, str. 15.

opozycja winna inspirować nacisk społeczeństwa na władzę, ujaw-niany w ramach oficjalnych struktur organizacyjnych i politycz-nych, z PZPR włącznie. 8. Masowość takich nacisków, „ruchów rewindykacyjnych”, dyskusji, zapobiegnie eksplozji. 9. Inicjo-wany nacisk stanie się wówczas „społeczną siłą tego ugrupowa-nia w kierownictwie partii, którego program najpełniej realizuje żądania społeczne”. 10. Program ten ma zyskać poparcie nie samej „demokratycznej opozycji”, ale inspirowanego przez nią „szerokiego ruchu społecznych żądań”. 11. Opozycja musi za-chować do takiego programu stosunek krytyczny, oceniając go z punktu widzenia ostatecznych celów, którymi są demokracja parlamentarna i niepodległość. 12. Naiwny jest zarzut, że takie działanie będzie włączaniem się w rozgrywki partyjnych frakcji, bo całe życie publiczne w PRL jest przedmiotem klikowych roz-grywek w kierownictwie partyjnym. „Jeśli chcemy uzyskać ustę-pstwo władz, to liczymy na to, że zorganizowany przez nas nacisk społeczny jakieś ugrupowanie w kierownictwie zechce wykorzys-tać do swoich celów”. 13. „Ruch społecznego nacisku” musi dążyć „do naprawy systemu, a nie do jego zmiany”. Natomiast „opozycja” nie akceptuje systemu, nie może więc wysunąć pro-gramu jego naprawy. 14. Można więc albo wysunąć (nie jest jasne, kto to ma zrobić) żądania minimalne, dotyczące ujawnienia stanu gospodarki i planu wyprowadzenia jej z kryzysu. 15. Albo też przedstawić taki „program naprawy ustroju”, który „byłby zarazem programem minimum opozycji”. Na ten program zło-żyłyby się trzy grupy postulatów, dotyczących swobody zrzeszeń, społeczno-gospodarczych warunków przezwyciężenia kryzysu, oraz przestrzegania praworządności. 16. Gdyby ruch rewindykacji przyjął program minimum opozycji, „miałby większą kontrolę (!) nad frakcją, która chciałaby pozyskać jego poparcie i większe szanse usamodzielnienia się” (zapewne usamodzielnienia się w sensie wyodrębnienia i ukonstytuowania poza zastanymi struk-turami).

Myśli, streszczone w pkt. 1, 2 i 7 były już wielokrotnie wypo-wiadane; nienowe są również postulaty, wyliczone w p. 15 (np. wszystkie wymienione są w Programie PPN z maja 1976). Słusz-ne jest stwierdzenie, że społeczeństwo zorganizowane niezależnie od władzy, posiadające swoich rzeczników, jest mniej podatne na ryzyko gwałtownych eksplozji. Warto jednak pamiętać i o tym, że system komunistyczny jest z natury mało podatny na zmiany stopniowe i autokorekturę; reformy są w nim podej-mowane zazwyczaj wyłącznie jako skutek konwulsji. Dlatego jest sprawą co najmniej dyskusyjną, czy bez wybuchów albo ich groź-by system w ogóle zechce i potrafi się przekształcać.

Punkty 4 i 6 nie budzą moich wątpliwości. Natomiast za-

równy 5 jak i 8 uważam za wyraz przeceniania wpływów i możliwości „opozycji”: sędzę, że nie może ona ani wywołać rozruchów, ani im zapobiec, a masowe naciski na władzę zapobiegają eksplozji tylko w wypadku szybkich i wyraźnych ustępstw. Ale dla przywódców ZSRR, mocodawców PZPR, ustępstwa takie są bardziej niepokojące, niż otwarty konflikt między władzami a większością społeczeństwa.

Przesadny optymizm Kuronia w ocenie możliwości opozycji byłby tylko zrozumiałym i wybaczalnym w jego sytuacji wyrazem wiary w bezpośrednią skuteczność własnej roboty organizacyjnej, gdyby nie łączył się z równie przesadnym optymizmem w ocenie postaw naszego społeczeństwa. Raz po raz przypominając o groźbie sowieckich czołgów zdaje się on zapominać, że na drodze przemian w naszym kraju stoją przeszkody bliższe w postaci milionów ludzi, którzy z różnych powodów są zainteresowani w utrzymywaniu takich czy innych składników obecnej rzeczywistości, i nawet jeżeli inne jej składniki chcieliby zmienić, na wszelki wypadek wolą trwanie tego, co jest.

Ugrupowania i jednostki, wspólnie określone przez Kuronia nieco zbyt szumnym, moim zdaniem, terminem „opozycja”, nie posiadają, o ile wiadomo, ani spójnej więzi organizacyjnej (sam Kuroń przeciwko takiej strukturze występował), ani nawet konsultatywnej. Dlatego też dziwi zestawienie z pozycją PPS w roku 1905: sytuacje są nieporównywalne. PPS była spójną, podległą centralnemu ośrodkowi dyspozycyjnemu organizacją — a dzisiejsza „opozycja” jest ruchem luźnym, nieskoordynowanym, często skłóconym wewnątrz. Autorytet PPS był autorytetem politycznym; autorytet „opozycji” jest głównie autorytetem moralno-ideowym. I próba użycia takiego autorytetu niesie ze sobą podwójne ryzyko: jego „zgrania” i utraty — oraz nieefektywności, wynikającej z niedopasowania środka do celu. Autorytet moralno-ideowy zasadza się bowiem m.in. na bezkompromisowości i na utrzymaniu dystansu wobec rozgrywek o władzę.

Zalecenie, aby do nacisku na partię i rząd wykorzystywać istniejące struktury polityczne i organizacyjne, nie ma w sobie nic nowego; było wypowiadane przez wszystkie bodaj nieoficjalne ugrupowania. Opiera się ono na niewątpliwie słusznym założeniu, że do przybliżenia celów ostatecznych należy wykorzystywać wszystkie dostępne możliwości. Natomiast za niesłuszny uważam postulat-obietnicę świadomego poparcia jednej z frakcji partyjnych w jej walce o władzę.

To prawda, że klikowość jest zwyczajną formą życia partii; ale jest to forma patologiczna i nie ma powodu jej popierać. „Klikowy” styl dyskusji i rozgrywek wewnątrzpartyjnych polega na tym, że powiązania personalne okazują się istotniejsze od

innych; jeżeli nawet frakcja czy klika jest powiązana wspólnotą programową — co zdarza się coraz rzadziej i coraz bardziej marginesowo — to ważniejsze od tych powiązań są układy osobiste, popieranie swojaków przeciwko konkurentom. Ponieważ zaś kliki żyją własnym życiem, którego bieg bardziej niż jakiegokolwiek inne czynniki wyznacza układ sił na partyjnej górze, nie zdarza się, aby podział między nimi pokrywał się z podziałem na tendencje zgodne i niezgodne z interesami narodu.

Żadna z frakcji nie ma szans w rozgrywce, jeżeli nie zapewni sobie poparcia w Moskwie, przynajmniej poparcia jednej z tamtejszych z kolei klik; frakcje są więc odpowiedzialne przed mocodawcami. Natomiast niewiele mają wspólnego rozgrywki frakcyjne z wewnątrzpartyjną demokratyzacją, ani też z otwarciem stałych kanałów informacyjnych między partią a resztą społeczeństwa — a te dwa procesy są niezbędnym warunkiem rzeczywistego i trwałego (nie zaś dorywczego, jak w chwilach otwartej rewolty) wpływania na sfery rządzące.

Zresztą gdy w grę wchodzi interes partii jako całości, konflikty między frakcjami ulegają z zasady wyciszeniu: frakcje walczą przecież o *władzę*, a wiadomo, że dopuszczenie do głosu czynników pozapartyjnych oznacza utratę władzy dla wszystkich partyjnych konkurentów. Dlatego też można w rozgrywkach klikowych widzieć formę dostosowywania się partii do zmienionych okoliczności — taką formę, która stosunkowo niewielkim kosztem pozwala utrzymać ciągłość władzy. Zmienia się bowiem raczej niewielka liczba centralnie ustawionych graczy; większość aparatu albo pozostaje na stanowiskach, albo przechodzi na podobne. Społeczeństwu zaś wmawia się, często skutecznie, że wszystkiemu była winna klika iksów; zastąpienie jej nową ekipą ygreków (którzy *nota-bene* znani byli dotychczas jako wierni iksowie) załatwi wszystkie bolączki.

Przypomnienie rozgrywek frakcyjnych minionego ćwierćwiecza powinno zniechęcić do mieszania się do tej zabawy. Półki frakcje ubiegają się o poparcie członków i bierną przynajmniej aprobatę społeczeństwa, póty obiecują i dają prezenty. Społeczeństwo łagodzi nacisk, czekając na spełnienie przyrzeczeń; nowa ekipa wykorzystuje czas głównie do umocnienia własnej pozycji i ani myśli spełniać niewygodnych obietnic. Zastanówmy się, kogo należało poprzeć np. w roku 1968? Utrwalił się pogląd, że frakcja Moczara była strasliwym zagrożeniem; czy naprawdę gorszym, niż trwanie u władzy Gomułki, którego klika firmowała interwencję w Czechosłowacji a później nie cofnęła się przed masakrą na Wybrzeżu? Nie należy brać dosłownie ani obietnic ani pogróżek, czynionych w ogniu walki frakcyjnej; klęska „par-

tyzantów" niewiele poprawiła styl partyjnej propagandy, natomiast cenzura zaostriżyła się znacznie, jeśli idzie o sprawy narodowe i stosunki polsko-rosyjskie. A jaki naprawdę odnieśliśmy pożytek z rozgromienia frakcji „franciszkanów”?

Przykład ZSRR i demoludów uczy, że na istotniejsze ustępstwa liczyć można tylko w sytuacjach, kiedy ekipa rządząca nie czuje się pewnie — albo ze względu na trudności ogólne, albo z uwagi na trwającą konkurencję frakcyjną. Doprowadzenie do sukcesu jednej z frakcji jest więc działaniem potencjalnie ograniczającym swobody społeczeństwa, działaniem na szkodę celów, które sobie opozycja stawia. Wreszcie, popierając jedną z konkurujących klik, pośrednio lub bezpośrednio, „opozycja” wystawia się na niebezpieczeństwo, że udzielone przez nią poparcie będzie wykorzystane dla celów frakcji a zarazem dla wciągnięcia w układy i skompromitowania opozycji.

Stosunek „opozycji” do „ruchu nacisku” jest dla mnie szczególnie niejasnym składnikiem zaleceń Kuronia. Jak ma przebiegać linia podziału? Jeżeli „opozycja” ma sama nie dążyć do reform a tylko sugerować ruchy rewindykacyjne — znaczy to zapewne, że jej członkowie mają osobiście nie brać w tych ruchach udziału, nawet jeżeli są sami włączeni w różne „oficjalne struktury”. Ale jeżeli tak, to skazani byłiby na dwuznaczną rolę kibiców-naganiaczy. Jeżeli zaś takiego podziału nie będzie, to może rozróżnienie rozumieć należy jako dwoistość ról, pełnionych przez tych samych ludzi? To jednak czyniłoby rozgraniczenie tylko zabiegiem terminologicznym. Nie jest też jasne, w jaki sposób opozycja, mająca tak nikłe możliwości porozumiewania się z szerszymi grupami ludności, miałaby na bieżąco instruować „ruch nacisku”, któremu w dodatku przydzielona jest zawrotnie trudna funkcja „kontroli nad frakcją”, przez ten ruch popieraną?

Cóż więc robić, jeżeli nie popierać jednej z walczących klik? Otóż moim zdaniem władza czyni poważniejsze ustępstwa wtedy, kiedy jest *w całości* poddana naciskowi społecznemu i kiedy dla zelżenia nacisku nie wystarczają same zmiany personalne i taktyczne. Tak było w roku 1956, w mniejszym stopniu w 1970/1971; tak stało się — tylko na odcinku cen — w czerwcu 1976. Były to, zwłaszcza w roku 1956, momenty defensywy całego aparatu władzy, nie tylko rządzącej ekipy; trwające rozgrywki frakcyjne stanowiły wówczas tylko jeden ze sposobów reagowania partii na ów nacisk. Również reformy w Jugosławii i na Węgrzech nie wynikły z rozgrywek klikowych, ale z nacisku sytuacji na całość sfery rządzącej.

Za wytworzoną sytuację odpowiedzialna jest nie taka czy inna klika lub ekipa, ale system, którego wszystkie klik i kolejne ekipy są składnikami. Powinniśmy więc przeciwstawiać się

szukaniu kozłów ofiarnych i kreowaniu nowych ojców narodu, naciskając na reformy strukturalne, nie na zmiany personalne i taktyczne. Nie należy też firmować, bezpośrednio ani pośrednio, niczego, co nie dawałoby względnej pewności osiągnięcia celów ostatecznych.

Przedstawionego tu stanowiska nie należy rozumieć jako wyrazu postawy „im gorzej, tym lepiej”. Każdy z nas ma obowiązek starać się, na własnym odcinku, przeciwstawiać się rozkładowi i trwonieniu narodowego dobra. Zadaniem „opozycji politycznej” jest jednak myślenie i działanie w kategoriach długoterminowych, wychowywanie i przygotowywanie ludzi do zmian podstawowych. Jeżeli wyobrazimy sobie obecny kryzys w postaci psucia się zęba, obywatelskim zadaniem nas wszystkich jest zmniejszanie cierpień i zapobieganie rozszerzaniu się stanu zapalnego; rolą opozycji jest niedopuszczenie, aby zaplombowano ząb przed usunięciem zgnilizny.

Przypuszczam optymistycznie, że Kuroń zgodzi się z większością wypowiedzianych tu uwag i uzna wysunięte zastrzeżenia za wynik nieporozumień, spowodowanych niejasnościami i dwuznacznościami w jego tekście. Ale szacunek do faktów każe mi też powiedzieć, że artykuł Kuronia daje się z łatwością odczytać jako z lekka zawołowane zaproszenie do współpracy między partyjnymi „pragmatykami” a tą częścią „opozycji”, którą Kuroń reprezentuje. I wiem, że niejeden czytelnik tak go zrozumiał.

II

W swoich wystąpieniach polemicznych i programowych Jacek Kuroń powołuje się często na swoje teorie, wyłożone w artykułach, zebranych w tomie *Zasady ideowe*. Tom ten nie stał się dotychczas, o ile wiem, przedmiotem wnikliwszego omówienia; zawarte w nim artykuły wywołały natomiast wiele nieporozumień. Warto się zastanowić dlaczego.

Nie chciałbym, aby poniższe uwagi krytyczne zostały zrozumiane jako podyktowane chęcią dyskredytowania Kuronia. Przeciwnie, wynikły z zamiaru dopomożenia w podniesieniu poziomu naszych rozważań polityczno-ideowych. Kuroń jest zbyt poważnym i zasłużonym działaczem, aby stosować do niego taryfę ulgową, dobrą dla początkujących amatorów. Zbyt znaczną odgrywa rolę, aby go pomijać milczeniem. Zresztą sprawy, o których pisze, dotyczą często nas wszystkich: nie są to oderwane problemy intelektualne, ale bezpośrednio praktyczne.

Kuroń tłumaczy się we wstępie do *Zasad Ideowych*, że nowe „poszukiwania” w myśli politycznej zmuszają do używania no-

wego języka, co z kolei powodować musi trudność w zrozumieniu wyrażanych przezeń poglądów. Sądzę jednak, że przyczyny trudności w rozumieniu tekstu a także wrażenia jałowości, jakie sprawia ta lektura, są inne — a mianowicie abstrakcyjność i anachronizmy aparatu pojęciowego, werbalizm, tj. traktowanie formułek słownych jako rzeczywistych rozwiązań postawionych zagadnień, oraz powierzchowność, nasuwająca podejrzenie, że autor niekiedy nie zdaje sobie sprawy, z jak złożoną problematyką ma do czynienia.

Koronnym przykładem abstrakcyjności myślenia jest sposób, w jaki Kuroń pisze o współczesnym społeczeństwie polskim. Jest ono ujmowane wyłącznie w kategoriach teoretycznej możliwości podejmowania decyzji politycznych i ekonomicznych. Ponieważ, zdaniem Kuronia, w PRL władza partyjno-państwowa zmonopolizowała te decyzje, „niesuwerenne” społeczeństwo jest przezeń traktowane jako monolit, zjednoczony faktem swego podporządkowania. Ponieważ zaś władza oceniona jest jednoznacznie negatywnie, przeciwstawione jej społeczeństwo nabiera jako całość cech wyłącznie pozytywnych. Społeczeństwo PRL, jak się nam jawi w tekstach Kuronia, to zbiorowisko ludzi dobrej woli, zdolnych do samorządności i społecznego współdziałania, spontanicznie skłonnych do pracy i ofiarności; jego jedyną wadą jest właśnie ubezwłasnowolnienie. Jest co prawda poddawane ogłupiającej propagandzie, demoralizowane i sowietyzowane — ale te wszystkie procesy jak gdyby nie zostawiały na nim żadnego śladu; w każdym razie ślady takie i schorzenia nie są w ogóle przedmiotem uwagi autora. W rozważaniach o aktualnej sytuacji społeczno-politycznej i o planach na przyszłość pomija on rozpad tradycyjnych więzi społecznych, zanik autorytetów, upadek szacunku do pracy, szalejącą nieufność, pijaństwo, powszechne przyzwyczajenie do grabieży mienia publicznego, rozpowszechnienie się postaw materialistycznych i aspołecznych. Pomija też fakt rozwarstwienia tego społeczeństwa, jego uwikłania w oficjalne struktury, przynależność jednej piątej dorosłych Polaków do partii.

Również „system społeczno-polityczny panujący w Polsce” charakteryzuje Kuroń w sposób abstrakcyjno-modelowy, daleko odbiegający od rzeczywistości (*Zasady ideowe*, str. 13). Pełna kontrola „centralnej władzy państwowej” nad pracą zawodową i wolnym czasem obywateli, nad całą gospodarką kraju, instytucjami naukowymi, klubami sportowymi itd. jest może marzeniem Biura Politycznego, ale naprawdę między centralnie podejmowanymi decyzjami a tym, co się w Polsce, a zwłaszcza dalej od stolicy dzieje — istnieją wielkie luzy, nawet sprzeczności. Gangi resortowe i terenowe uzurpują sobie znaczną część władzy gos-

podarczej i wpływają na rozdział funduszy, a pozaoficjalny obrót pieniędzy stanowi znaczną część obrotu ogólnego.

W podobnie abstrakcyjny sposób używa Kuroń takich pojęć jak „przemoc”, przez którą rozumie wszystkie (może poza autoperswazją — tekst jest niejasny, str. 70) formy rozstrzygania konfliktów „między jednostką ludzką a jej zbiorowością”. Za najpowszechniejszy rodzaj przemocy uważa „przemoc stosowaną przez państwo”, które narzuca członkom społeczeństwa cele i zasady współpracy zbiorowej. „W jakim więc stopniu organizacja państwowa te swoje funkcje pełni, w takim stopniu ogranicza suwerenność obywateli, jest złem, choć jak dotąd koniecznym” (str. 71). Brzmi to niestety jak cytat z jakiegoś anarchistycznego dogmatyka (powoływanie się tu na Ewangelię, która słowami Chrystusa nakazuje szanować władzę państwową, jest tu nieporozumieniem). Zdziwiałoby, że autor, działacz na rzecz praw człowieka, nie wspomina wcale o *prawie*, które bywa przecież niezależne od państwa i któremu aparat państwowy winien podlegać; ono też w stopniu znacznie większym niż władza państwowa reguluje stosunki między jednostkami oraz wzajemne zobowiązania między jednostkami a zbiorowością. Charakterystyczne, że wymieniając istniejące w systemie demokracji parlamentarnej trzy władze: ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą (str. 19), Kuroń charakteryzuje podstawy działania i kompetencje tylko dwu pierwszych; trzecia nie mieści się właściwie w jego systemie pojęciowym. Być może jednak i prawo jest formą „przemocy”. Istnieje jednak, zarówno w odczuciu obywateli jak i w skali stosowanych restrykcji, olbrzymia i zasadnicza różnica między „przemocą” w społeczeństwie praworządnym i demokratycznym a przemocą w autokracji; umieszczanie obu w jednej kategorii jest przejawem doktrynerstwa.

Nieostrożne używanie pojęć ogólnych łatwo doprowadza do rozbratu z faktami. Kuroń pisze np. o „zagrożeniu dla suwerenności jednostki” wynikającym z „przymusu niezbędnego dla realizacji sprawiedliwości społecznej”, wyjaśniając m.in., że „większa konsumpcja zbiorowa to mniejsza indywidualna” (str. 59). Otóż po pierwsze konsumpcja zbiorowa da się oddzielić od indywidualnej tylko w teorii (bo np. budowa dróg dla zbiorowości umożliwia rozwój i nowe formy konsumpcji indywidualnej), a po drugie wzrost nakładów na cele publiczne jest typowym zabiegiem pobudzającym gospodarkę kraju i zwiększającym zarobki, a więc i możliwość indywidualnej konsumpcji. Zależność negatywna, którą Kuroń wymienia jako regułę, występuje jedynie wówczas, kiedy zwiększa się produkcję nie-konsumpcyjną (głównie zbrojeniową) nie podnosząc zarazem płac; dzieje się tak tylko w systemach totalitarnych i podczas stanu wyjątkowego,

a więc w sytuacjach, kiedy realizacja sprawiedliwości społecznej jest zawieszona.

W słowie wstępnym od autora Kuroń zapowiada pracę pionierską, ale ludzi w ten sposób siebie i czytelników: jego książeczka jest niewspółczesna w aparaturze pojęciowej i stylu myślenia. Czytelnik, zainteresowany koncepcjami społeczno-moralnymi humanistycznego socjalizmu (bo tak należałoby określić ideologię, którą Kuroń chce wyrażać), zrobi lepiej, sięgając po napisany w roku 1943 szkic Stanisława Ossowskiego *Ku nowym formom życia społecznego*, gdzie kluczowe problemy podejmowane przez Kuronia przedstawione są jaśniej i precyzyjnie. Autorem, przystępującym do wyłożenia „własnych słusznych poglądów na wszystko” — jak to z samokrytycznym humorem określa Leszek Kołakowski — wypada (za przykładem Kołakowskiego) zapoznać się z tym co inni na te same tematy napisali. Przyda się to i dla wyrobienia autorskiej pokory, i dla ułatwienia kontaktu z czytelnikiem. Ileż tematów, dziś żywo dyskutowanych, zarysowuje np. skromna książeczka Feliksa Grossa *Socjalizm humanistyczny*, wydana w Nowym Jorku w roku 1946!

W *Zasadach ideowych* brak jest jakichkolwiek nawiązań do poprzedników. Utrudnia to zrozumienie, co właściwie znaczą górnolotne komunały, tak częste w tekście: „Jestem przekonany, że każdy człowiek chce w swoim suwerennym tworzonej życiu realizować uniwersalne i nadrzędne wobec każdej sytuacji, a więc transcendentne wartości: Dobro, Miłość, Prawdę, Piękno. Jestem przekonany, że realizować w życiu społecznym dobro, suwerenność i twórczość każdego człowieka jako wartość nadrzędną, to służyć Dobru, Miłości, Prawdzie, Pięknu” (str. 51). Taki język był zrozumiały sto pięćdziesiąt lat temu, ale nie dziś.

Kiedy przychodzi do konkretnych decyzji, okazuje się, że wyłożone zasady nie dają wskazówek, czy i kiedy interes jednostki przekładać nad interes społeczny lub odwrotnie: „tradycyjny program lewicy jest z tego punktu widzenia wewnętrznie sprzeczny”, pisze Kuroń (str. 70). Sądzę, że to wadliwe ujęcie sprawy. Nie sprzeczność, ale teoretyczna niemożność, i wcale nie znamienita akurat dla lewicy, ale dla wszystkich systemów wartości, które chcą uznać i pełną podmiotowość jednostki i niezbędność jej grupowego współżycia. Skoro bowiem każda osoba ludzka jest niepowtarzalną wartością, wszelkie wartości zbiorowe są niewymierne. Tak czy inaczej, jeżeli Kuroń stwierdza, że wyznawany przezeń system wartości jest wewnętrznie sprzeczny właśnie w dziedzinie obowiązków jednostki wobec zbiorowości, to cały spór z „państwowcami”, który traktuje jako fundamentalny i któremu poświęca tyle miejsca, daje się przedstawić jako spór

o konkretne przesłanki decyzji, podejmowanych na gruncie tego samego systemu (por. str. 64-70).

Autor *Zasad ideowych* lubi formuły dialektyczne. Na przykład: „Różne dążenia, które muszą być wspólnie realizowane, są dążeniami przeciwnymi” (str. 51). Dlaczego? Dyrektor fabryki chce uzyskać premię, żeby kupić nowy samochód; robotnik — żeby odnowić mieszkanie; różne dążenia są, współdziałanie jest, ale gdzie przeciwność? Swoją system wartości nadrzędnych przedstawia Kuroń jako jeden z możliwych, ale zarazem charakteryzuje go jako jedynie słuszny: inne okazują się nie-ludzkie (str. 52, 53, 57).

Z ogólników i formuł sprzecznościowych powstaje teoria pojętna i wieloznaczna. Na jej elastyczność wskazuje sam autor, kiedy na str. 13 stwierdza, że choć w ciągu 20 lat zmienił zdanie „co do najważniejszych form i metod... realizacji wartości nadrzędnych”, to samym wartościom „pozostał wierny”. 20 lat przed napisaniem tych słów autor był aktywnym członkiem PZPR.

Najbardziej swobodnie przez Kuronia używanym pojęciem jest chyba „dobro”. Przecistawiane jest ono „suwerenności” i „twórczości” każdego człowieka, jest z nimi „sprzeczne” (str. 51). Tak więc ani suwerenność ani twórczość dobrami nie są. Jako przykłady dóbr wymienia „dobra materialne” oraz „to wszystko, co pracą pokoleń wytworzyliśmy: i dom, i kultura, i krajobraz”; to, co wytworzone, nie jest więc twórczością, a suwerenność i twórczość nie są składnikami kultury. „Suwerenność” jest traktowana równie werbalistycznie: „W suwerennym dążeniu do maksymalizacji dóbr materialnych człowiek poddaje się przez osiem godzin dziennie przymusowi fabryki czy urzędu” (str. 51). Czy większość ludzi nie pracuje przede wszystkim po to, aby sobie i najbliższym zapewnić egzystencję? I dlaczegoż to „bezpłatna pomoc lekarska, emerytury, prawo do pracy” mają być „formami ograniczania suwerenności jednostki w imię jej bezspornego dobra”? (str. 51-52). Kto mi każe korzystać z emerytury i pomocy lekarskiej? (A jeśli autorowi chodziło o przymus ubezpieczeń zdrowotnych i emerytalnych, to co tu robi „prawo do pracy”?). Pojęcie „twórczości” jest używane podobnie dowolnie. Dowiadujemy się wreszcie, że ani religia, ani rodzina, ani wolność słowa czy sumienia nie należą do „dóbr” (str. 55) i są, *ex-definitione*, z dobrem sprzeczne. Wątpliwy jest pożytek takich terminologicznych łamańców, i niekiedy sam Kuroń pisze po prostu o „dobru człowieka” w sensie ogólniejszym i bardziej zgodnym ze zdrowym rozsądkiem (str. 65).

Można by na wszystkie banały i wszystkie niejasności machnąć ręką, gdybyśmy mieli do czynienia z popularnymi artykułami.

Ale Kuroń nazywa swoje teksty „rozprawami” (str. 7), ma ambi-
cje teoretyka-nowatora i sugeruje naukową solidność podstaw
swoich rozważań. Pisze np., że: „Wartości same w sobie w
zasadzie nie podlegają dyskusji, są przedmiotem dążeń lub racją
moralno-ideową działania i w związku z tym ani nie wymagają
uzasadnienia, ani nie mogą być uzasadniane” (str. 46). Pogląd
taki jest i naukowo przestarzały i ideowo bardzo niebezpieczny.
Opinię, że wartości nie mogą być przedmiotem racjonalnej dysku-
sji (ponieważ są tylko wyrazem nastawień emocjonalnych) wy-
powiadali w latach trzydziestych neopozytywiści; dziś nikt jej
już nie podtrzymuje. O wartościach lub najogólniejszych zasa-
dach dyskutować można nawet, jeżeli się je uważa za przyjmo-
wane bez dowodu aksjomaty; i gdyby nawet przyjąć, że nie
da się wartości uzasadnić, można uzasadnić fakt, że się tę właś-
nie a nie inną wartość za zasadę naczelną wybrało. Ideowe
ryzyko polega zaś na tym, że wykluczając możliwość dysku-
towania o wartościach rezygnujemy z porozumiewania się na temat
tego, co najistotniejsze — i skazujemy się na irracjonalną walkę.
Kuroń nie wydaje się zmartwiony taką persektywą (str. 50), ale
jego stanowisko sprowadza się tym samym do deklaracji: bę-
dziemy dyskutować tylko z tymi, którzy i tak się z nami zasad-
niczo zgadzają. Ale co z innymi? Stanowisko takie skazuje na
seksciarstwo i agresywność.

Wątpliwości, budzone przez lekturę *Zasad ideowych* —
a wysunąłem tu tylko przykładowo kilka z nich — dotyczą nie
tylko sposobu myślenia autora, ale również jego poglądów.
I znowu poprzestane na paru przykładach.

Na str. 29 Kuroń stwierdza, że w roku 1971 „ekipa Gierka
udzieliła publicznej lekcji społecznej destrukcji: 'Nie należy
z nami pertraktować, trzeba nas zmuszać'”. Dalej pisze, że
jedynym sposobem przezwyciężenia obecnego kryzysu są pertrak-
tacje między władzami a społeczeństwem; jeżeli władze do takich
pertraktacji przystąpią, „obowiązkiem opozycji politycznej byłoby
je w tym względzie poprzeć”. Mniejsza nawet o sprzeczność,
ale czy przed poparciem nie należy sformułować warunków takich
pertraktacji — aby nie powtórzyły się sytuacje z lat 1956-57 i
1970-71? To znaczy gwarancji, których społeczeństwo musi
z góry żądać? Nie jest to sprawa teoretycznych rozważań, ale
problem praktyczny: jak można (i czy można) przezwyciężyć
powszechną i uzasadnioną nieufność?

Wytaczając na stronach 40-43 swoje argumenty przeciwko
działaniu konspiracyjnemu Kuroń dyskretnie żongluje terminami,
mیلcząc różniąc między „niejawnością a konspiracją”. Przy-
znaje, że „jawna” opozycja musi bardzo wiele (i to, dodajmy,
zasadniczych i niezbędnych dla jej funkcjonowania) działań doko-

nywać niejawnie — ale potępia wszelką konspirację, tak jak
gdyby granica między jednym a drugim nie była umowna i płyn-
na. Twierdząc, że ludzie, którzy nie decydują się na działalność
jawną czynią tak dlatego, że chcą „minimalizować ryzyko” (str.
41), Kuroń pomawia o tchórzostwo tych wszystkich, którzy dzia-
łają niejawnie nie ze strachu, ale dlatego, że są przekonani, iż
w ten sposób będą skuteczniej służyć celom wolnościowym,
zachowują bowiem możliwość działania zarazem w ramach oficjal-
nych struktur i poza nimi. Z pomocy takich ludzi korzystał wie-
lokrotnie np. KOR, na którego praktykę Kuroń stale się powo-
łuje. Ogłaszał też KOR anonimowe opracowania (o sytuacji
gospodarczej, o stanie szpitalnictwa), których autorzy najwidocz-
niej nie wystąpiliby wcale, gdyby musieli ujawnić swoje nazwiska.

Ten ostatni przykład obala pierwszy z czterech argumentów
Kuronia przeciw „konspiracji”: mianowicie że odciąga ona ludzi
od działania jawnego. Argument drugi (str. 43) brzmi, że działa-
nie tajne musi mieć zasięg bardzo ograniczony. Czy naprawdę
„musi”? Daj Boże, by dzisiejsza jawna opozycja osiągnęła jedną
dziesiątą liczebności nie-wojskowej konspiracji czasów wojny...
Argumentu trzeciego („konspiracja samym swoim istnieniem sta-
nowi uznanie łamania przez władze praw człowieka i obywatela,
zawęzła niezależność społeczeństwa do tego co tajne”) przyznaję
nie rozumiem. Zdaje się on implikować, że istniejące w PRL
ustawy i wymiar sprawiedliwości są zgodne z takim prawem,
jakie opozycja uznaje. I dlaczegożby działanie niejawne obok
działania jawnego miało cokolwiek „zawęzać”? Wreszcie argu-
ment czwarty brzmi, że „konspiracja stwarza złudzenie minimali-
zacji ryzyka”. Myślę, że jest odwrotnie i dalsze słowa Kuronia
o konieczności „zachowania tajemnicy” itd. wskazują, że sam
zdaje sobie z tego sprawę. To właśnie działanie jawne wprowa-
dza często w stan niebezpiecznej bezstroski. Ile już przez to
„wpadło” powielaczy, papieru, druków...

Wiele twierdzeń autora na temat krajów „demokracji parla-
mentarnej” jest oczywiście błędne. Nie jest prawdą, że „we
wszystkich demokratycznych krajach przemysłowych państwo w
porozumieniu z kooperacjami (?) wypracowuje ogólne, a w nie-
których dziedzinach szczegółowe wskaźniki pełniące funkcje planu
gospodarczego” (str. 60). Istnieją pewne tendencje w tym kie-
runku, ale nie wszędzie i nie stale. Nie jest też prawdą, że
„kontrola społeczna nad tymi wszystkimi poczynaniami sprowa-
dza się w zasadzie do nacisku na maksymalizację konsumpcji
indywidualnej i zbiorowej” (*tamże*). Autor zapomniął o nacis-
kach na ochronę środowiska, wpływających w wielu krajach
decydująco na formy rozwoju przemysłu a zwłaszcza energetyki;
pomiął też fakt, że zwiększanie wydatków na obronę jest często

wynikiem nacisku wyborców. Nie jest również prawdą, że „rynek konsumenta w państwie dobrobytu jest instytucją prawdziwej powszechnej demokracji” (str. 61). Niektórzy krytycy współczesnego społeczeństwa wielkoprzemysłowego dowodzą nawet, że rynek konsumenta jest w znacznej mierze pozorowany; w każdym razie jest on w wielkim stopniu formowany przez producentów (znany proces „stwarzania potrzeb” przez reklamę i wprowadzanie coraz to nowych wyrobów).

Z drugiej strony olbrzymim uproszczeniem jest sąd, że decyzje rozwojowe należą w tych krajach niemal wyłącznie „do menadżerów państwowych, wojskowych, gospodarczych” (*tamże*). Przede wszystkim w państwach demokratycznych „menadżerowie państwowi” a także wojskowi są w zasadzie wykonawcami zleceń ciała ustawodawczego. Wiadomo też, że owi „menadżerowie państwowi” kontrolują i działają czasem ograniczając na gospodarczych (np. przez ustalanie standardów produkcyjnych); jeżeli przypomniemy sobie jeszcze rolę sądów, pilnujących przestrzegania ustaw antymonopolowych i ochrony środowiska — okaże się, że owe decyzje rozwojowe nie zapadają przy użyciu tylko technologicznych kryteriów, jak twierdzi Kuroń (*tamże*).

Wyjaśniając, dlaczego jest zwolennikiem demokracji parlamentarnej, Kuroń stwierdza, że „po pierwsze... dążenie większości, to większa część tego, co stanowi ideał” (str. 65). Te proste słowa nasuwają wątpliwość, czy ich autor uświadamia sobie ryzyko, że całkiem legalna większość może wypowiedzieć się za czymś, co stanowi zaprzeczenie tego, co uważamy za ideał. I znowu przypomnieć mu trzeba o prawie, które powinno zapobiegać narzucaniu przez większość decyzji, krzywdzących dla mniejszości.

III

Lektura *Zasad ideowych* jest zajęciem raczej niewdzięcznym; ale znacznie bardziej niewdzięczne jest wdawanie się w dyskusję z ich autorem — chociaż Kuroń o dyskusję apeluje. Wyznaję, że pisząc artykuł „Ile jest dróg?” (*Kultura* nr 6, 1978 r.) popełniłem błąd, przesadnie licząc na dobrą wolę zrozumienia moich krótkich uwag i nie dokumentując ich obszerniejszymi wypisami z rozpraw Kuronia. Chyba też niepotrzebnie posłużyłem się jako przykładem negatywnym sporem między Kuroniem a Moczułskim, sporem obrosłym w zakulisowe powikłania i prowadzonym przez obu uczestników z zaciętrzewieniem godnym lepszej sprawy. Byłem skłonny stawiać Kuroniowi większe wymagania, niż jego demagogicznemu adwersarzowi; chodziło mi zresztą tylko o to, by nie tracił energii na kłótnie.

Na moją próbę ogólnej interpretacji jego stanowiska ideologicznego Kuroń odpowiedział („Drogi i podziały”, *Kultura* nr 1-2, 1979 r.), że najwidoczniej nie czytałem tekstu o którym piszę, bo moje wobec niego zastrzeżenia pokrywają się z tezami *Zasad ideowych*. Ma to być ironia, ale — pomijając już bardzo dowolne streszczenie mojej wypowiedzi — rzecz polega na tym, że między ogólnikowymi deklaracjami a szczegółowymi postulatami i stwierdzeniami Kuronia występują wielkie luzy. Kuroń postępuje tak, jak autor, który na wytknięcie błędów rzeczowych odpowiada: „przecież już na pierwszej stronie stwierdzam, że będę pisał tylko prawdę”. Nie chodziło mi o sloganowe ogólniki, ale o empiryczny sens rozpoznania i zaleceń ideowych. Wysuwałem też konkretne przykłady zachowań zbiorowych, wpływających z podobnych jak sformułowane przez Kuronia przesłanek. Wskazywałem też na trudność, jaką dla programu samoorganizacji społeczeństwa przedstawia niska kultura polityczna i rozpad społecznego zaufania. I to był temat dyskusji — ale Kuroń go nie podjął.

Lojalność polemiczną Kuronia najlepiej zresztą ilustruje sposób cytowania przez niego mojego tekstu. Zastanawiając się, dlaczego Kuroń, deklarując niezbędność władzy (ba, „przemocy”) państwowej dla normowania zbiorowego współżycia, kładzie tak jednostronny nacisk na prawa jednostek i samorządność (która wymaga przecież wysokiego wyrobienia obywatelskiego), wysuwałem przypuszczenie, że „hasło samorządności, patetyczne deklaracje na temat praw człowieka i przeciwstawianie ich interesom wspólnot i organizacji mają dla Kuronia sens przede wszystkim aktualny”. Twierdziłem dalej, że hasła te, teoretycznie jednostronne, mają w naszej sytuacji wieloletniego panowania władzy totalitarnej cenną funkcję wychowawczą. Kuroń cytuje moje zdanie następująco: „hasło samorządności, patetyczne deklaracje na temat praw człowieka i przeciwstawianie ich interesom wspólnoty mają, być może, dla Kuronia sens wyłącznie aktualny”. Dalej przekręcając sens mojego wyводу, twierdzi że uważam same „prawa człowieka” za program taktyczny i bardzo się na to oburza. Czyżby nie tylko zapomniał o własnej teorii konieczności akcentowania rozmaitych celów i wartości (*Zasady ideowe*, str. 52), ale i nie rozumiał różnicy między priorytetem a wyłącznością?

Kuroń pomija zasadniczą treść mojego szkicu, którego celem było ukazanie, że jest możliwy taki rozwój wydarzeń międzynarodowych, który da szansę wyzwolenia się Polski spod sowieckiej dominacji, ale ponieważ nie wiadomo, kiedy i jak to nastąpi, należy różnymi sposobami przygotowywać się do tej ewentualności. Najwidoczniej odnosi się do tych rozważań niechętnie;

świadczą o tym wzmianki o „budzących litość” deklaracjach o niepodległości i o „mędrkowaniu o globalnej polityce Stanów Zjednoczonych, Chin i Związku Radzieckiego”.

Nie rozumiem intencji tych uszczypliwości. Czyją to „litość” mają budzić nasze niepodległościowe aspiracje? Budziły wiele litości w wieku XIX-tym, ale to jakoś Polaków nie zniechęciło. Kuroń sam przecież deklaruje się jako niepodległościowiec i trudno, by nie zdawał sobie sprawy, że bez sprzyjających okoliczności zewnętrznych uwolnienie się od kurateli ZSRR jest wykluczone; warto więc chyba dyskutować z tymi, którzy sądzą, że takie sprzyjające możliwości są nieprawdopodobne. Takie przekonanie, jak pisałem, jest częstą przyczyną totalnego pesymizmu i bierności. Lekceważenie, z jakim Kuroń traktuje rozważania o możliwościach rozwoju wydarzeń międzynarodowych, wystawia go niestety na zarzut, że postulat odzyskania niepodległości traktuje czysto deklaratywnie, interesują go zaś tylko zmiany, dające się przeprowadzić przy zachowaniu zależności PRL od ZSRR. Byłoby to zgodne z wielokrotnymi oświadczeniami działaczy „lewicowej” opozycji dla prasy zagranicznej³, ale niezgodne z zapewnieniami samego Kurońa⁴.

Wskazywanie na prawdopodobieństwo sprzyjającego nam rozwoju wydarzeń międzynarodowych nie zwalnia nas od obowiązku pracy nad osiągnięciem celów pośrednich; przeciwnie, podkreśla ten obowiązek — i tak pisałem w swoim artykule. Kuroń natomiast przeprowadza ostrą klasyfikację na tych, którzy liczą *tylko* na czynniki zewnętrzne — i tych którzy, jak on, chcą już teraz organizować działania społeczne. Pierwsi, nie nazwani, są ponoć „przeciwnikami organizowania się społeczeństwa w działanie zwane opozycyjnym” (str. 173); „zdarzają się” (!) wśród nich i tacy, którzy są „skłonni pewne przynajmniej działania opozycyjne popierać”. Ale alternatywa jest zupełnie sztuczna, bo można i zdawać sobie sprawę, że sami nie namówimy ZSRR, by nam zwrócił niepodległość, i już teraz duchowe warunki niepodległości przygotowywać. Niektórzy robią to nieprzerwanie od 35 lat. A sztuczne klasyfikacje są tylko szukaniem okazji do zwady.

Na przykład z jakiejś przyczyny Kuroń postanowił powadzić się z PPN. Określa je bliżej jako „publicystę lub publicystów podpisujących się Polskie Porozumienie Niepodległościowe”, stwierdza, że postuluje ono działalność „wyłącznie intelektualną”

3. Wypowiedzi przytacza A. Bromke, „The Opposition in Poland”, *Problems of Communism*, Sept.-Oct. 1978, str. 45-46; otatnio np. *Observer*, 3. V. 1979.

4. J. Kuroń, „W stronę demokracji”, *Krytyka* nr 3, str. 14.

i oderwaną od życia społeczeństwa, oraz wydaje ocenę, że działalność taka skazana jest „na wyjątkową wprost nieskuteczność” (str. 173-174). Mniejsza już o to, że jednym z mężów zaufania PPN jest należący również do KOR’u Leszek Kołakowski; Kuroń widocznie mu nie ufa, skoro suponuje, że za literami PPN kryje się może jeden publicysta. Czyżby jednak naprawdę nie zauważył, że PPN, który zaczął działać na kilka miesięcy przed związaniem się KOR’u, we wszystkich mówiących o aktualnej sytuacji opracowaniach wypowiedział się z aprobatą o KOR’ze i innych podobnych inicjatywach? Czy sprawy rodziny, stanu moralnego społeczeństwa, stosunków między Kościołem a państwem, postępowania Służby Bezpieczeństwa (wymieniam tematy paru opracowań PPN) to rzeczywiście nie są „problemy, którymi żyje społeczeństwo”? I gdzie jest reguła ogólna, wedle której działalność PPN, mierzona celami, które sobie stawia, a więc m.in. liczbą przedrukowanych (w wielu językach) tekstów, jest „wyjątkowo” nieskuteczna? I komu, poza naszymi wspólnymi przeciwnikami, potrzebne są takie insynuacje i cenzurki?

Wróćmy jednak do tematu. Kuroń polemizuje ze mną w trzech sprawach: 1. odpowiedzialność „lewicy” za panujący w PRL system; 2. drogi prowadzące do niepodległej i demokratycznej Polski; 3. różnice polityczne i ideowe w ruchach, zwanych opozycyjnymi.

1. Kuroń broni wypowiedzianej w *Zasadach ideowych* tezy, że po 1945 roku „większość lewicy... poparła nowy system słowem i czynem”. Nazywa to „twierdzeniem empirycznym”, z którym „nie ma sensu polemizować przy pomocy przykładów”. I dalej: „Na podstawie wyrywkowych danych sądzę, że ponad 50 % członków Stronnictwa Ludowego weszło do ZSL zaś w odniesieniu do przedwojennego PPS i PZPR liczba ta przekracza 70 %”. A więc nie „twierdzenie empiryczne”, ale hipoteza, oparta na tajemniczych „danych wyrywkowych”; czyżby ktośkolwiek przeprowadził ewidencję żyjących w roku 1948 członków przedwojennej PPS?

Cały problem „odpowiedzialności lewicy” postawiony jest fałszywie. Odpowiedzialność za ustrój mogą ponosić tylko ci, którzy go świadomie budowali — nie zaś ci, którzy po wojnie przystąpili do odbudowy zniszczonego kraju, wypełniając *nota bene* polecenia władz Państwa Podziemnego. Niektórzy sądzili, że będą to robić skuteczniej jako członkowie partii i stronnictw; inni (dotyczy to wielu ludowców) zostali do tych stronnictw zagnani przymusem.

Ale i o to mniejsza. Istotne jest, że Kuroń, obciążając „lewicę” odpowiedzialnością za totalizm, bije się w sztuczne piersi. Taka „lewica”, którą chce skonstruować, nigdy nie istniała.

PPS więcej od KPP i PPR dzieliło, niż łączyło: dzieliła zasadnicza (przecież i według deklaracji Kuronia!) sprawa stosunku do demokracji i totalitaryzmu. Wspólna tradycja czy *ethos*, do których mieliby należeć Niedziałkowski i Bierut, Arciszewski i Wasilewska, Lieberman i Lampe, Żuławski i Nowotko — jest mi-tem, wytworzonym na użytek komunistów.

Przyczyną zbrodni, którymi Kuroń obciąża sumienie polskiej „lewicy”, było przede wszystkim wysługiwanie się obcemu mocarstwu. Sami komuniści byli za słabi na takie wyczyny. A szukając w *ethosie* polskich komunistów „przesłanek totalitaryzmu” warto wymienić tę przez Kuronia pominiętą: zarozumiałość, która sprawiła, że czuli się w prawie narzucać narodowi niechcianą ideologię.

Nie rozumiem wreszcie, dlaczego dla „polskiej myśli programowej” to pytanie — „czy *ethos* lewicy zawiera przesłanki totalitaryzmu” — miałoby być „bez przesady najważniejsze”? Pomijając już fakt, że problem omawiany był w setkach publikacji (wspomina o nim i Ossowski) — ważny jest wyłącznie dla poczuwających się do solidarności z tradycjami politycznymi, które rzeczywiście przyczyniły się do zrodzenia totalitaryzmu. Dla innych to pytanie teoretyczne, mniej ważne od pytań: czy w Polsce demokratycznie rządzonej da się wytworzyć szacunek dla własności zbiorowej? czy da się ją skierować na tory przemian socjaldemokratycznych?

2. Kuroń zarzuca mi, że nie wypowiedziałem się „jakie to warianty programowe” widzę dla działania polskiej opozycji. Ale wszystkie wymienione przez niego warianty (str. 171-172) mieszczą się wśród możliwości wyliczonych przeze mnie (str. 19). Istotna różnica między nami jest taka, że Kuroń, mimo zapewnień o pluralizmie, jest zwolennikiem jedynej słusznej drogi — a nie wielości dróg, które mogą doprowadzić do tego samego celu: „W tej chwili jedna jest tylko droga... samoorganizacja społeczeństwa polskiego w różnych ruchach i ich jawnych samorządnych instytucjach” (str. 178).

Ta forma działania (niewątpliwie godna poparcia) byłaby jedynie słuszną, gdybyśmy mieli pewność, że system władzy będzie się szybko ale bez konwulsji rozpadał, że jego rozpadnięcie się będzie równoczesne z osłabieniem ZSRR, i że następnie sam ZSRR ulegnie dość szybko takim przemianom, które spowodują rezygnację z dominowania nad Polską. Nie jest taki rozwój wydarzeń niemożliwy — ale nie jest też zbyt prawdopodobny. Dlatego trzeba się przygotować i na inne ewentualności.

Proponowana przez Kuronia jako jedyna forma działania jest w tej chwili dostępna praktycznie dla tych, którzy mogą jakoś funkcjonować poza oficjalnymi strukturami ekonomiczno-organi-

zacyjnymi. Jak mieliby się samoorganizować np. pracownicy resortu zdrowia, albo wymiaru sprawiedliwości, inżynierowie, leśnicy? Czy wojskowi też mają jawnie oponować przeciwko oficjalnej linii? Przypomnijmy, że nawet w tak samorządnej organizacji, jak Związek Literatów Polskich (na którego przykład Kuroń się powołuje w *Zasadach Ideowych*), udaremniiono wybór na wiceprezesa i członka Prezydium ZG ludzi, znanych z opozycyjnych wystąpień. Nie jest to bynajmniej argumentacja przeciwko jawnej działalności; jest to argumentacja przeciwko uznaniu tej formy za jedynie słuszną.

Uzupełniając myśli, wyrażone w szkicu „Ile jest dróg?": uważam, że tak ze względu na różnorodność sytuacji życiowych, temperamentów, zainteresowań i możliwości, jak i z uwagi na brak możliwości przewidzenia rozwoju wydarzeń międzynarodowych (a krajowych też), potrzebna jest możliwie duża liczba różnych form działania niepodległościowo-demokratycznego. Jawne „ruchy społeczne” odgrywają wielką rolę jako szkoła współdziałania; zbiorowe manifestacje w dni świąt narodowych obniżają próg strachu i demonstrowują siłę ludzi swobodnie myślących. Kto uważa takie działania za najbardziej celowe, może patrzeć na inne, jawne i niejawne, jako na budujące głębokie zaplecze „opozycji”. Różnorodność form aktywności powinna tworzyć w Polsce *continuum* wspierających się i uzupełniających odmian ruchu oporu.

3. Domysł, że chciałbym „przewycięzać konflikty przez nie-dopuszczanie do ich ujawniania” (str. 179) jest jeszcze jednym przykładem wynajdywania przez Kuronia okazji do sporu. Niczego nawet podobnego nie napisałem. Twierdziłem natomiast i nadal podtrzymuję, że między sprzymierzeńcami w walce z totalitaryzmem dyskusje polityczne powinny mieć za cel szukanie podobieństw, nie różnic, znajdowanie tego, co łączy, nie tego, co dzieli.

Kuroniowa koncepcja „współpracy w konfliktach” trąci dialektyką i stanowi swoistą apoteozę pieniactwa. Czy współpraca ideowa nie powinna polegać na podejmowaniu, z różnych pozycji, tej samej problematyki? Na informowaniu o własnych przemyśleniach, lekturach, badaniach nad postawami społecznymi? Na wzajemnym uczeniu się, odrabianiu zaległości w wiedzy politycznej, na współtworzeniu rozbitej świadomości narodu? Owa „współpraca”, którą Kuroń postuluje, polega w praktyce na wynajdywaniu różnic w poglądach i tryumfalnym wykazywaniu: „różnimy się, ale to ja mam rację”. Smutne są tego tradycje historyczne, owa spuścizna „dwu Polaków i trzech stronnictw”. Czas by z tego wyrosnąć. Czas przemyśleć doświadczenia własne i cudze i zauważyć, że w okresach zagrożenia narodowego naj-

lepsze skutki przynosiło zawsze przytłumienie indywidualnych ambicji i skierowanie wysiłku na znalezienie i utrzymanie ideowej wspólnoty.

Lekceważące słowa Kuronia o nurcie niepodległościowym, który byłby „niczym więcej jak jednolitym frontem wszystkich Polaków-patriotów” (str. 181) dowodzą, że nie uświadamia sobie, jak ogromną rolę może odegrać taki jednolity front — ani też jak wielu ludzi nadal poza taką świadomą wspólnotą pozostaje, ze strachu, niewiedzy, małoduszności.



Powyższe uwagi nie są atakiem na działalność społeczną Kuronia; nie są próbą wykazywania, że obrana przezeń droga jest błędna; nie są wyrazem lekceważenia dla jego cennych pomysłów praktycznych (konceptja ruchów społecznych, samoorganizacji, itd.); nie wypływają z chęci wtrącania się i dokuczania. Podyktowała je ta sama myśl, którą wypowiedziałem w zakończeniu swojego artykułu: nie przeszkadzajmy sobie w dążeniu różnymi drogami do wspólnego celu.

SOCJUSZ

Radio Wolna Europa

W ciągu ostatnich lat program RWE stał się w Polsce szerzej, powszechniej słuchany niż dotąd. Olbrzymią przeszkodę stanowi wciąż jego zagłuszanie, ale należy pamiętać o tym, że wiadomości RWE rozchodzą się nie tylko drogą radiową, często są dalej przekazywane ustnie, zwłaszcza gdy dotyczą spraw polskich. Są też pasma, na których zagłuszanie prawie nie istnieje. Dotyczy to pasm najkrótszych.

W związku ze stałym powiększaniem się ilości słuchaczy i rolą informacyjną RWE konieczna jest krytyczna — nawet przesadzona, redakcji to nie zaszkodzi, najwyżej da coś do myślenia — analiza tego programu. Jako wieloletnia systematyczna słuchaczka tej rozgłośni spróbuję poniżej przedstawić próbę takiej analizy. Przedtem jednak chciałabym wypowiedzieć parę uwag wstępnych.



Jest faktem, że wieloletnia propaganda władz PRL zwalczą-

jąca RWE odniosła pewien skutek. Olbrzymia większość społeczeństwa uważa działalność tej rozgłośni za rodzaj szpiegostwa czy dywersji. Udowodnienie komuś kontaktów z RWE jest w odczuciu społecznym udowodnieniem działalności wywiadowczej. Na pewno wpływ na ten stan rzeczy ma fakt finansowania swego czasu RWE przez CIA (obecnie finansuje ją Kongres USA), a także nadawanie programów z terenu RFN.

Sprawa nie jest prosta. Moim zdaniem należy założyć, że działalność polegająca na zbieraniu i opracowywaniu informacji prowadzona przez RWE wykorzystywana jest przez wiele różnych instytucji na Zachodzie. Nie oznacza to jeszcze działalności szpiegowskiej — w końcu instytucje powołane do badania rzeczywistości, nastrojów społecznych itp. funkcjonują zarówno u nas, jak na Zachodzie, z tą tylko różnicą, że u nas działalność podobnych instytucji jest utajniona, podczas gdy na Zachodzie z efektów ich działalności może korzystać praktycznie rzecz biorąc każdy. W związku z ogólnym utajnieniem danych o życiu w naszym bloku, a także o stosunkach międzynarodowych (cenzura, odcięcie od prasy zachodniej itp.) udaje się propagandzie wytworzyć atmosferę swego rodzaju tajemniczości wokół działania RWE. A w końcu przecież nikomu rozsądnemu nie przyjdzie do głowy posądzenie Polskiego Radia o działalność szpiegowską na podstawie osławionego programu „Tu jedynka” demaskującego — na podstawie danych zbieranych pilnie z prasy zachodniej — nieprawdliwości życia w kapitalizmie.



Niewątpliwie największą ilość słuchaczy skupiają przy radioodbiornikach programy informacyjne. Są to przede wszystkim dzienniki radiowe oraz audycja „Fakty, wydarzenia, opinie”. Oba te programy redagowane są rzeczowo — trzeba przyznać, że w ciągu ostatnich lat język RWE bardzo się zmienił, stonowaniu poddane zostały emocje, fakty referowane są wszechstronnie, na ogół z dobrą znajomością rzeczy, często też, jak w ważnym „Przeglądzie prasy zachodniej” konfrontowane są odmienne stanowiska. Coraz też częściej autorzy „Faktów, wydarzeń, opinii” oraz innych audycji korzystają z materiałów zamieszczanych w niezależnej prasie krajowej. Jednakże dość często prasa ta dociera ze znacznym opóźnieniem i choć redakcja dobiera materiały, które w dalszym ciągu posiadają walor aktualności, to należy się zastanowić nad możliwością szybszego docierania RWE do pism niezależnych — tym bardziej, że często przekazywane są one na Zachód bardzo szybko po wydaniu. Jest sprawą niezwykle ważną, by stworzyć jakiś ośrodek dyspozycyjny, który stanowiłby mógł swoiste centrum informacyjne dla wszystkich ośrodków emigracyjnych na Zachodzie. Uniknie się w ten sposób zbyt dużych opóźnień, a także powtórzeń — pieniądze na ten cel winny pochodzić z różnych źródeł, a organizacja pracy takiego centrum informacyjnego powinna zmierzać do właści-

wego, oszczędnego tych pieniędzy wydatkowania. Można, jak myślę, przeznaczyć na ten cel również określony procent z honorariów autorów krajowych, których teksty są wykorzystywane na Zachodzie.

Podstawowy zarzut dotyczący sposobu wykorzystania materiałów z prasy niezależnej sformułowałabym następująco: brak w RWE opracowań syntetycznych tych informacji. W audycjach po prostu ogranicza się do prezentacji poszczególnych tekstów, do których już się później nie wraca. Szkoda, albowiem opracowywanie takich syntez (np. syntetyczne omówienie dotychczasowych oświadczeń KSS „KOR” czy PPN) z perspektywy Zachodu dużo jest łatwiejsze z tego powodu, że w kraju żyje się przede wszystkim sprawami najbardziej aktualnymi. Prezentacja takich syntez powinna mieć oczywiście miejsce w innych audycjach niż wymienione dotychczas.



Osobnej uwagi wymaga audycja „Na czerwonym indeksie”. Jest to audycja bardzo ważna, tym niemniej zbyt mało dynamiczna. I tutaj, podobnie jak w prezentacji materiałów z prasy niezależnej, potrzebne by były raczej opracowania syntetyczne niż bierne wykorzystywanie tekstów. Nie dotyczy to w równym stopniu wszystkich materiałów, ale sądzę, że ze względu na wagę tego typu przekazów należałoby czytanie np. całości „Archipelagu Gułag” Sołżenicyna zastąpić przez opracowanie tego dokumentu, a do czytania przeznaczyć jedynie wybrane fragmenty. Zbyt wiele tekstów zasługuje na przedstawienie ich słuchaczowi krajowemu, by można było blokować sporą część czasu antenowego na odczytywanie całości. Przy tej metodzie można zresztą przedstawić słuchaczom teksty nie tłumaczone na język polski, a w kraju niedostępne.

Przy tym wskazane by było rozszerzenie zakresu prezentowanych w tej audycji tekstów na opracowania nie tylko literackie i historyczne, lecz również socjologiczne, politologiczne czy filozoficzne. Przedstawianie tego typu prac wymaga obiektywizmu, rzeczowości, wypunktowania tez podstawowych oraz zilustrowania ich odpowiednimi fragmentami tekstu. Ten typ audycji można by było traktować jako materiał pomocniczy dla audycji oświatowych RWE, jak też dla programu szkoleniowego Towarzystwa Kursów Naukowych w kraju.



Program oświatowy RWE pozostawia bardzo wiele do życzenia i wyraźnie nie nadąża w tej chwili za procesem przemian w Polsce, zwłaszcza zaś za niezależnymi inicjatywami naukowo-oświatowymi typu TKN. Przy czym trzeba brać pod uwagę, że poza działalnością zorganizowaną w TKN rozwinął się w Polsce ostatnio dość żywy nurt samokształceniowy w nieformalnych grupach towarzyskich czy środowiskowych. Częściowo w takich

grupach wykorzystywane są materiały TKN (kasety z nagraniami). Rzecz jasna — ruch ten obejmuje najbardziej zafałszowane dziedziny humanistyki. Istnieje też duże zróżnicowanie poziomów — od niemal podstawowego, po dość już wysublimowane seminaria specjalistyczne.

Pomoc radia w upowszechnianiu podstawowych problemów oraz tematów samokształceniowych okazać by się mogła nieoceniona. Tymczasem, jak zauważyłam, RWE pozostaje jakby na uboczu powstających obecnie inicjatyw. Bez wątpienia bardzo ważną pomocą w kształtowaniu świadomości społecznej są programy historyczne — zwłaszcza wielką rolę odegrały tu audycje nieodżałowanego Pawła Zarembki. Tym niemniej nawet w tej dziedzinie wiele jest wciąż do zrobienia. Dla przykładu — myślę tu o takich systematycznie prowadzonych audycjach, jak historia Polski w latach 1944-1956 czy nawet okresu późniejszego, gomułkowszczyzny. Jest to zadanie tym pilniejsze, że świadomość historyczna młodego pokolenia, zwłaszcza dotycząca dziejów najnowszych, jest zatrwajająco uboga.

Warto też od nowa przemyśleć model audycji „rocznicowych”. W dużej mierze takie odwoływanie się do dat historycznych zmienia programy w okolicznościowe laurki — dla przykładu: rocznica Konstytucji 3-go Maja. Taka odświeżona doraźność w dużym stopniu obniża atrakcyjność programów historycznych. Na pewno dla zdynamizowania tego typu audycji byłoby rzeczą ważną podjęcie współpracy z młodym pokoleniem emigracji. Dotyczy to zarówno historii, jak socjologii, ekonomii, politologii, filozofii. W chwili obecnej pozostaje na wychodźstwie spora grupa ludzi, którzy jeśli nawet nie mogą bezpośrednio pracować dla radia, to przynajmniej są w stanie z nim współpracować w charakterze doradców. Jest to sprawa ogromnej wagi tym bardziej, że tego typu audycje nagrywane na kasety magnetofonowe mogą spełnić niezwykle doniosłą rolę we współtworzeniu niezależnych inicjatyw samokształceniowych. Chodzi tu przede wszystkim o przekazywanie w przystępnym dla przeciętnego maturzysty języku najnowszych zdobyczy humanistyki światowej. Co prawda tego typu programy pojawiają się od czasu do czasu na antenie RWE, tym niemniej trudno tu mówić o jakiejś systematyczności — rzecz dzieje się od przypadku do przypadku, tymczasem luki we współczesnej wiedzy humanistycznej w Polsce są ogromne.

To samo dotyczy wiedzy politycznej, umiejętności myślenia politycznego, orientacji w obecnej sytuacji Polski. Informacje i komentarze na ten temat są w programie RWE rozproszone i nie dość klarownie opracowane. Odnosi się to zarówno do najnowszej historii powszechnej, jak i do analizy obecnych tendencji w polityce światowej, a zwłaszcza europejskiej.



Dużo lepiej, przejrzysiej i bardziej spójnie wyglądają audycje

kulturalne. Cykl „Przy kawiarnianym stoliku”, recenzje z utworów literatury krajowej (zwłaszcza recenzje Danilewicz-Zielińskiej), prezentacja dorobku poszczególnych pisarzy emigracyjnych, a także zawartości niezależnej krajowej prasy literackiej — wszystko to daje obraz dość bogaty, tym bardziej, że dorobek Polaków często konfrontowany jest z osiągnięciami artystów zagranicznych. To samo dotyczy innych dziedzin sztuki — muzyki, malarstwa, dramatu itp.

Ale i w tej dziedzinie wiele jest do zrobienia. Tym bardziej, że ostatnio niezależny ruch kulturalny w Polsce coraz wyraźniej zmierza do przełamania bariery dzielącej kulturę krajową od emigracyjnej, a także podkreśla ścisłe związki kultury polskiej z europejską. Sprawy te wymagają, moim zdaniem, silniejszego niż dotąd wyeksponowania w programach RWE.

Konieczne jest żywsze i częstsze niż dotychczas ukazywanie dorobku czołowych intelektualistów i pisarzy polskich przebywających obecnie na emigracji, szybkie reagowanie na nowe pozycje wydawane na emigracji i w niezależnych oficynach krajowych. Radio jest najlepszym, najdoskonalszym, wysokonakładowym środkiem upowszechniania dorobku kulturalnego. Ważne jest przy tym również szybkie reagowanie na głosy zagranicy dotyczące prezentacji kultury polskiej, podkreślanie związków z krajem. Dotyczy to na przykład recepcji takich twórców jak Miłosz, Gombrowicz, Odojewski, T. Nowakowski, Kołakowski. Jest to praca na pewno trudna i czasochłonna, tym niemniej właśnie RWE jest specjalnie predestynowana do jej wykonywania. Przy tym tego rodzaju programy powinny być cyklicznie powtarzane.

Takie określanie miejsca i roli kultury polskiej w kulturze światowej na pewno przyczyni się do przełamania forsowanego i eksponowanego przez władze kompleksu zaściankowości, w którym wychowywane jest młode pokolenie. Oczywiście, należy tu również unikać zbytniej przesady, tej, która nakazuje władzom, pozornie tylko w sprzeczności z poprzednim zdaniem, wzniecać wrzawę wokół sukcesów wybrańców. Rzeczowe, ale pełne relacje dotyczące światowych losów polskiej kultury powinny mieć na celu w miarę precyzyjne określenie miejsca Polski na kulturalnej mapie świata.

Olbrzymie znaczenie mają wszelkie audycje poświęcone problemom świata pracy i przeznaczone dla środowisk robotniczych i chłopskich. W większości jednak wypadków są to audycje dozażne, wycinkowe, robione — mimo stałych „rubryk” — od przypadku do przypadku.

W moim przekonaniu konieczne jest tu opracowanie wszechstronnego programu, który po pierwsze — przypominałby w systematycznym wykładzie tradycje polskiego ruchu robotniczego i ludowego; po drugie — dokonywałby rzeczowej analizy aktualnej sytuacji środowisk robotniczych i chłopskich, jasno

określał prawa i przywileje pracownicze, wyjaśniał niedostatki prawa pracy w Polsce; trzecie — przedstawiałyby sytuację ludzi pracy w rozwiniętych krajach Zachodu; po czwarte — dokonywałyby analizy aktualnych inicjatyw niezależnych zarówno w środowiskach chłopskich jak robotniczych, upowszechniały działalność KSS „KOR” itp.; po piąte wreszcie — zajmował się sprawami bieżącymi. Program taki powinien mieć charakter cykliczny, powinien też być formułowany w języku prostym i precyzyjnym — wzorcem mógłby tu być język wydawanego niezależnie *Robotnika*.

To samo dotyczy ogólnych uwag charakteryzujących systemy demokracji zachodnich. Konieczne jest precyzyjne i wsparte konkretnymi przedstawienie zasad życia społeczeństw zachodnich ze szczególnym naciskiem położonym na rolę niezależnych inicjatyw obywatelskich i funkcję mechanizmów kontroli społecznej we wszystkich dziedzinach życia. Wiedza społeczna na ten temat jest w Polsce niezwykle uboga, zaś działalność oficjalnej propagandy nie tylko fałszuje tę wiedzę, lecz powoduje całkowitą dezorientację. RWE może w dużej mierze przyczynić się do zmiany tej sytuacji pod warunkiem, że program dotyczący tych zagadnień będzie zakładał oddziaływanie długofalowe i że nie będzie unikał wskazywania również spraw negatywnych. Nie chodzi tu bowiem o wskazywanie „wyższości” kapitalizmu nad ustrojem sowieckim, lecz o rzeczowy wykład na temat życia społecznego na Zachodzie. Przy czym wskazane jest również ukazywanie zasadniczych różnic — np. przy omawianiu zakazu pracy dla ekstremistów z RFN należałoby nie tylko wskazać na rzeczywisty zakres tej ustawy, lecz również zestawzić to legalne prawo z funkcjonowaniem nielegalnej „nomenklatury” partyjnej w bloku wschodnim.

Programy RWE zawsze poświęcały sporo miejsca problemom życia religijnego, zaś po wyborze Jana Pawła II informacje na ten temat wzrosły w sposób widoczny. Nic w tym dziwnego — rozgłosznią zaspakaja tu bardzo rozbudzone potrzeby społeczne, których w inny sposób zaspokoić nie można.

Jest rzeczą zrozumiałą, że w nowej sytuacji na plan pierwszy wysunęły się zagadnienia aktualne, wiadomości bezpośrednio dotyczące życia papieża i recepcji jego posunięć. Tym niemniej rzeczą niezwykle ważną jest przedstawienie nowej polityki Watykanu w kategoriach przystępnych dla przeciętnego katolika w Polsce. Przy czym rzecz nie polega tylko na prostym wytłumaczeniu znaczenia słów papieskich, lecz przede wszystkim na ich uprzyśtępieniu, wyjaśnieniu ich sensu nie tylko dla Polski, lecz również dla świata. Jest to tym bardziej potrzebne, że w oświadczeniach Jana Pawła II wielkie znaczenie ma ujmowanie zagadnień politycznych w kategoriach moralnych.

Poza zwykłą sprawozdawczością byłoby rzeczą wskazaną skoncentrowanie się na etycznych problemach wiary, co wobec

ogólnego obniżenia poziomu moralnego społeczeństwa polskiego jest zadaniem pilnym i wymagającym nieustannej troski. Właśnie teraz, gdy wybór polskiego papieża tak bardzo ożywił ruch religijny w Polsce należy skupić się na tych problemach. Nie twierdzę, że RWE nie zwraca uwagi na te sprawy, ale wydaje mi się, że w chwili obecnej jest stosowna pora, by zająć się nimi systematycznie.



Ważną funkcją RWE jest prezentowanie słuchaczom krajowym problemów życia Polonii. Realizowane jest to na dwa sposoby — w audycji „Polonia amerykańska mówi do kraju” oraz w omówieniach polskiej prasy emigracyjnej. Na pewno ściśle związanie z Polonią amerykańską jest tu istotne, jest to bowiem największe skupisko polonijne na Zachodzie. Ale brak informacji o innych skupiskach — we Francji, Wielkiej Brytanii, RFN czy Szwecji. Wiadomości na ten temat podawane są rzadko i często przypadkowe. Również niewiele wiadomości dociera na temat cieniów życia emigracyjnego. Przegląd prasy emigracyjnej oraz innych wydawnictw w języku polskim też pozostawia wiele do życzenia.

Bez wątpienia zbyt mało wiadomości podaje RWE na temat życia w poszczególnych republikach ZSRR — byłoby wskazane rozbudowanie pod tym kątem audycji „U naszych sąsiadów”. Jest to zagadnienie tym istotniejsze, że los tych narodów — zwłaszcza w republikach europejskich — ściśle związany jest z losem narodu polskiego czego wyraz odnaleźć można w paryskiej *Kulturze* systematycznie publikującej kroniki z życia tych narodów. Wagi tego tematu nie sposób przecenić — tworzenie świadomości wspólnoty zwłaszcza teraz, gdy w bloku moskiewskim narasta niezależny ruch społeczny, pozwala odnaleźć właściwą perspektywę widzenia „sprawy polskiej”. Jednocześnie też pamiętać trzeba, że ułożenie stosunków z sąsiadami stanowi dla Polski potrzebę palącą, zaś rola RWE w tej dziedzinie może być bardzo duża. Sądzę, że sprawom tym rozgłosnia poświęca zbyt mało miejsca.



W końcu chciałabym zająć się zespołem audycji, które w moim przekonaniu zupełnie nie potrzebnie blokują czas antenowy, nawet jeżeli ich redakcyjny poziom jest dość wysoki. Przede wszystkim mam tu na myśli audycję muzyczną o godz. 18.10. Jest to pozycja, której istnienia w RWE nie umiem sobie w żaden sposób wytłumaczyć. Już choćby sam fakt zagłuszania RWE powinien być silnym argumentem przemawiającym przeciw temu programowi. Po drugie w tej dziedzinie RWE nie może w żadnym wypadku konkurować z analogicznymi programami radia krajowego. Po trzecie wreszcie większość słuchaczy kieruje się ku RWE dla zaspokojenia potrzeby informacji politycznej. Również nie wydaje mi się potrzebna audycja „Wędrowki po

Europie”, niewątpliwie interesująco redagowana, tym niemniej w tego typu rozgłosni stanowiąca niepotrzebny balast. To samo dotyczy wiadomości sportowych i motoryzacyjnych.

Czas przeznaczony na te programy można wykorzystać dużo efektywniej, choćby po prostu na szersze prezentowanie niskonakładowej i trudno dostępnej, zwłaszcza w ośrodkach prowincjonalnych, niezależnej prasy krajowej. Absolutnie wystarczy tu audycja „Przy otwartym mikrofonie”, w której wszelkie tego typu informacje i komentarze można bez trudu pomieścić. W końcu RWE nie jest zwykłą rozgłosnią radiową, w której można realizować normalny, wszechstronny program. Ambicje tego rodzaju byłyby tu nie na miejscu.

Jadwiga KWIATKOWSKA

Przegląd prasy niezależnej

Był czas kiedy na emigracji podchodzono z niesłychanym nabożeństwem do każdego przychodzącego z Polski świstka papieru, napisanego na maszynie, a tym bardziej powielanego, zawierającego jakikolwiek krytyczny tekst. Dziś zalew docierających do nas niezależnych publikacji krajowych jest tak wielki, że nie tylko nikt nie jest w stanie tego wszystkiego czytać, ale nawet specjaliści zaczynają gubić się w rejestrowaniu kolejnych czasopism, broszur i książek. Wydawnictwa emigracyjne, dawniej gotowe przedrukowywać wszystkie wysmuglowane z Polski teksty, obecnie przebiegają jak w ulęgałkach, drukując jedynie drobny ułamek krajowej produkcji piśmienniczej, uznany za godny rozpowszechnienia na Zachodzie. Jest to miara, jedną z wielu miar, ożywienia duchowego w Polsce. Omawiając poszczególne niecenzurowane czasopisma, cytując wyjątki z artykułów w nich zamieszczanych, nie można w niniejszych przeglądach w pełni oddać sprawiedliwości dokonującym się procesom. Rzadko jest na przykład okazja by mówić o Niezależnej Oficynie Wydawniczej (NOWA) instytucji już teraz trwale zapisanej w historii kultury polskiej.

Czwarty tegoroczny numer *Biuletynu Informacyjnego* (datowany maj/czerwiec 1979) w skromnej notatce zamieszczonej w dziale „Bez Debitu” zwraca uwagę na mały jubileusz:

„13 maja br. w drugą niedzielę Kiermaszu Książki pod Pałacem Kultury, rozdawano tam elegancki folder, informujący o działalności Niezależnej Oficyny Wydawniczej. Dni Oświaty, Kul-

tury, Książki i Prasy uczciła też NOWA wydaniem pięćdziesiątej publikacji: 'Wspomnień Polskich' Witolda Gombrowicza".

Folder ten, a właściwie zgięta na trzy części powielana ulotka, ozdobiona jest na froncie reprodukcjami kilkunastu okładek książek wydanych ostatnio przez NOWĄ oraz charakterystycznym symbolem graficznym wydawnictwa: prostokątem z nazwą firmy i literką „n”. Wewnątrz ulotki wydrukowano dłuższy cytat ze znanego przemówienia Andrzeja Brauna na ubiegłorocznym zjeździe Związku Literatów Polskich w Katowicach krytycznie oceniającego stan polskiej kultury. Autorzy ulotki piszą dalej:

„Taka sytuacja polskiej literatury trwa już od 30 lat i najwyższy już czas aby starać się ją zmienić. Dlatego utworzyliśmy Niezależną Oficynę Wydawniczą.

Wpierw zdobyliśmy powielacz spirytusowy, taki jakiego dzieci we Francji, Włoszech, Szwecji używają do powielania swoich rodzinnych i szkolnych gazetek. Powielacz-zabawka, który można kupić w każdym większym domu towarowym na Zachodzie, wzbudził nasz zachwyt. Po raz pierwszy w historii Polski Ludowej zaczęły się regularnie ukazywać druki bez zezwolenia, pieczęci, podpisów, bez cenzury. Początkowo wydawaliśmy niewielkiej objętości 'Komunikaty Komitetu Obrony Robotników' i 'Biuletyn Informacyjny', później, od września 1977 r. wydawnictwa z nadrukiem NIEZALEŻNA OFICyna WYDAWNICZA.

Warto w tym miejscu podać niepełny zapewne rejestr dwuletniej działalności tego wydawnictwa.

— PROZA

Kazimierz Brandys
Bohumil Hrabal
Tadeusz Konwicki
Paweł Jasienica
George Orwell
Piotr Wierzbicki
Witold Wirpsza

NIERZECZYWISTOŚĆ
ZBYT GŁOŚNA SAMOTNOŚĆ
KOMPLEKS POLSKI (Zapis nr 3)
ROZWAŻANIA O WOJNIE DOMOWEJ
FOLWARK ZWIERZĘCY
CYRK
POLAKU, KIM JESTEŚ

— POEZJA

Stanisław Barańczak
Josił Brodski
Zdzisław Jaskuła
Czesław Miłosz

JA WIEM, ŻE TO NIE SŁUSZNE
WIERZSE I POEMATY
DWA POEMATY
TRAKTAT POETYCKI,
TRAKTAT MORALNY
MIASTO BEZ IMIENIA
KRÓL POPIEL I INNE WIERZSE
CZARNY POLONEZ
JESTEŚ I INNE WIERZSE

— FELIETONY, ESEJE

Andrzej Kijowski
Adam Michnik

NIEDRUKOWANE
CIEŃ ZAPOMNIANYCH PRZOD-
KÓW
ZNIEWOLONY UMYŚŁ

Czesław Miłosz

Maria Ossowska

O PEWNYCH PRZEMIANACH ETYKI
WALKI

Józef Piłsudski
Jan Strzelecki

BIBUŁA
ZAPISKI 1950-1953

— SPOŁECZNO-POLITYCZNE

Władysław Bieńkowski
Jacek Kuroń

SOCJALIZM PO 60 LATACH
ZASADY IDEOWE, MYŚLI O PROGRA-
MIE

Antonin H. Liehm
Marek Tarniewski
Marek Tarniewski
Zbiór wypowiedzi

UWAGI O STRUKTURZE
NOWA UMOWA SPOŁECZNA
POCHODZENIE SYSTEMU
DZIAŁANIE I PRZYSZŁOŚĆ
EUROKOMUNIZM
UWAGI O SYTUACJI GOSPODARCZEJ
KRAJU

ANTYSEMITYZM
NOCNE ROZMOWY Z JOSEFEM
SMRKOVSKIM

Zeszyt TKN

JĘZYK PROPAGANDY

— HISTORIA, WSPOMNIENIA

Józef Czapski

WSPOMNIENIA STAROBIELSKIE
DWIE ROZMOWY, MOSKWA (steno-
gram rozmów polsko-chińskich)
ZBRODNI KATYŃSKA W ŚWIELE
DOKUMENTÓW

— DOKUMENTY

Z KSIĘGI ZAPISÓW GŁÓWNEGO URZĘDU KONTROLI PRASY
PUBLIKACJI I WIDOWISK. — DZIENNIK USTAW PRL nr 38
(1977), Pakty Praw Człowieka i Obywatela. — OPRACOWANIA
ZESPOŁÓW PROBLEMÓWYCH POLSKIEGO POROZUMIENIA NIE-
PODLEGŁOŚCIOWEGO.

* * *

TOW. SZMACIAK czyli WSZYSTKO DOBRE
CO SIĘ DOBRZE KOŃCZY
ŚPIEWNIK DOMOWY I ULICZNY
ŚPIEWNIK WARCHOŁA

Nakładem NIEZALEŻNEJ OFICyny WYDAWNICZEJ ukazują się
kwartalniki literackie ZAPIS i PULS.

NIEZALEŻNA OFICyna WYDAWNICZA dąży do tego, aby wolne słowo
nie stawało przed barierą państwowego monopolu wydawniczo-informacyjnego.

NIEZALEŻNA OFICyna WYDAWNICZA nie reprezentuje żadnego kie-
runku politycznego, chce służyć różnorodnym inicjatywom twórczym.

NIEZALEŻNA OFICyna WYDAWNICZA spełni swoje zadanie, jeśli
społeczeństwo udzieli jej poparcia, jej powodzenie zależy od dostarczanych
nam tekstów, pomocy w kolportażu, zdobywaniu materiałów i sprzętu poli-
graficznego, pomocy finansowej.

OD NAS SAMYCH ZALEŻY LOS WOLNEGO SŁOWA W POLSCE.

Druk:

WOLNA WAŁKOWO-BĘBNOWA DRUKARNIA POŁOWA
Warszawa, kwiecień 1979.
Nr zlecenia 41/79.

ników wojskowych naciskom policji politycznej należy do najnowszych zdobywczy socjalizmu, za co Pan również ponosi odpowiedzialność.

Panie Ministrze, jako generał i zwierzchnik Polskich Sił Zbrojnych powinien Pan poczytywać to sobie za dyshonor.

Łączę należne wyrazy,

Jacek BIEREZIN

LISTA CZŁONKÓW TOWARZYSTWA KURSÓW NAUKOWYCH

Stefan Amsterdamski — filozof, dr hab.; Stanisław Barańczak — historyk literatury, dr; Marek Barański — historyk, dr; Władysław Bartoszewski — historyk; Władysław Bienkowski — socjolog, dr; Jacek Bocheński — pisarz; Kazimierz Brandys — pisarz, Marian Brandys — pisarz; Alina Brodzka — historyk literatury, dr hab.; Janina Butkowska — teoretyk literatury, dr; Hanna Buczyńska — filozof, dr hab.; Tomasz Burek — krytyk literacki; Andrzej Celiński — socjolog; Mirosława Chamcówna — pedagog, dr hab. prof.; Bogdan Cywiński — publicysta, dr; Izydora Dąbska — filozof, dr hab. prof.; Roman Duda — matematyk, dr hab. prof.; Maria Dziewicka — ekonomista, dr; Kornel Filipowicz — pisarz; Wacław Gajewski — biolog, dr hab. prof., członek PAN; Bronisław Geremek — historyk, dr hab.; Bolesław Glejgewicht — matematyk, dr hab.; Michał Głowiński — teoretyk literatury, dr hab. prof.; Antoni Gołubiew — pisarz; Konrad Górski — historyk literatury, dr hab. prof., członek PAN; Joanna Guze — historyk sztuki, tłumacz; Stanisław Hartman — matematyk, dr hab. prof.; Ks. Aleksander Hauke-Ligowski op. — historyk; Aleksander Jabłoński — fizyk, dr hab. prof., członek PAN; Maria Janioń — historyk literatury, dr hab. prof.; Aldona Jawłowska — socjolog, dr; Jerzy Jedlicki — historyk, dr hab.; Jakub Karpiński — socjolog, dr; Adam Kersten — historyk, dr hab. prof.; Jan Kielanowski — biolog, dr prof., członek PAN; Andrzej Kijowski — pisarz; Józef Konorski — inż. dr prof.; Tadeusz Konwicki — pisarz; Tadeusz Kowalik — ekonomista; Stanisław Krasnowolski — fizyk, dr; Marcin Król — historyk, dr hab.; Waldemar Kuczyński — ekonomista; Władysław Kunicki-Goldfinger — dr hab. prof., członek PAN; Edward Lipiński — ekonomista, dr hab. prof., członek PAN; Jan Józef Lipski — historyk literatury, dr; Edward Łukawer — ekonomista, dr hab.; Hanna Malewska — pisarka; Marian Małowist — dr hab. prof.; Tadeusz Mazowiecki — publicysta; Adam Michnik — historyk; Halina Mikołajska — aktorka; Stanisław Mycielski — kompozytor, muzykolog, prof.; Irena Nowakowa — socjolog, dr; Wojciech Ostrowski — ekonomista; Seweryn Pollak — poeta, tłumacz, historyk literatury; Stanisław Rodziński — malarz, prof.; Barbara Skarga — filozof, dr hab. prof.; Irena Sławińska — teoretyk literatury, dr hab. prof.; Adam Stanowski — socjolog, dr; Krystyna Starczewska — psycholog, dr; Julian Strykowski — pisarz; Jan Józef Szczepański — pisarz; Zdzisław Szpakowski — historyk, dr; Wiesława Szymborska — poetka; Paweł Śpiewak — socjolog; Andrzej Krzywicki — matematyk, dr hab.; Marek Tabin — socjolog, dr; Karol Tarnowski — filozof, dr; Andrzej Tysza — socjolog, dr; Henryk Wereszycki — historyk, dr hab. prof.; Andrzej Werner — krytyk filmowy, teoretyk literatury; Zbigniew Wierzbicki — socjolog, dr hab. prof.; Krzysztof Wolicki — publicysta, teatrolog; Wiktor Woroszyński — poeta, tłumacz; Maria Wosiek — teatrolog, dr; Jacek Woźniakowski — historyk sztuki,

publicysta, dr hab.; Adam Zagajewski — pisarz; Czesław Zgorzelski — historyk i teoretyk literatury, dr hab. prof.; Tadeusz Zipsper — planista przestrzenny, urbanista, dr hab. prof.

REPRESJE

Członkowie Towarzystwa Kursów Naukowych (T.K.N.) są poddawani różnym szykanom. M.in. polegają one na tym, że odmawia im się paszportów na wyjazdy służbowe lub prywatne. Nie otrzymali paszportów: dr Stanisław Barańczak, poeta, polonista usunięty z Uniwersytetu Poznańskiego na podstawie prowokacji, obecnie bezrobotny, zaproszony przez Harvard University do objęcia katedry literatury polskiej po przejściu na emeryturę prof. Wiktora Weintrauba; Władysław Bartoszewski, zastępowy szczególnie podczas okupacji w akcji ratowania Żydów, działacz społeczny i pisarz, autor „1859 dni Warszawy”; dr hab. Hanna Buczyńska-Garewicz, docent w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN, autorka licznych książek i artykułów filozoficznych w krajowych i zagranicznych czasopismach naukowych (czterokrotna odmowa wydania paszportu na wyjazdy na międzynarodowe spotkania, na których miała być referentem); dr Andrzej Celiński, socjolog, działacz KSS „KOR” i T.K.N.; dr Bohdan Cywiński, działacz katolicki, b. naczelny redaktor miesięcznika *Znak*, historyk, m.in. autor głośnej książki „Rodowody niepokornych” (trzykrotnie); prof. dr hab. Michał Głowiński, teoretyk literatury, pracownik Instytutu Badań Literackich PAN (odmowa wydania paszportu m.in. na udział w kongresie slawistycznym w Paryżu z referatem); dr Aldona Jawłowska, socjolog, pracownik Instytutu Filozofii i Socjologii PAN (trzy odmowy wydania paszportu uniemożliwiły jej m.in. skorzystanie z dwukrotnie przyznanego jej stypendium American Council of Learned Societies na badania socjologiczne w USA); doc. dr hab. Tadeusz Kowalik, ekonomista, kierownik Pracowni Edycji Dzieł Oskara Lange w PAN; Tadeusz Mazowiecki, działacz katolicki, b. poseł na Sejm PRL, redaktor naczelnny miesięcznika *Więź*; prof. dr hab. Barbara Skarga, historyk filozofii w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN (dwukrotna odmowa); doc. dr Jacek Woźniakowski, działacz katolicki, członek kolegium redakcyjnego *Tygodnika Powszechnego*, pisarz i publicysta (uniemożliwiono mu m.in. obecność na intronizacji papieża Jana Pawła II).

POD AUSPICJAMI
TOWARZYSTWA HISTORYCZNO-LITERACKIEGO W PARYŻU
z KOMITETEM WYDAWNICZYM w składzie:

Czesław Miłosz z University of California — Berkeley, Piotr Wandycz
z Yale University, Henryk Wereszycki z Uniwersytetu Jagiellońskiego,
Jacek Woźniakowski z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i
Czesław Zgorzelski z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego —
KSIĘGARNIA „LIBELLA” W PARYŻU, rozpoczęła nową serię
wydawnictw pod nazwą ogólną: „HISTORIA I TERAŻNIEJSZOŚĆ”.

Dotychczas ukazały się:

HENRYK WERESZYCKI
„HISTORIA POLITYCZNA POLSKI”
1864-1918

Stron: 336.

Cena F.fr. 60,00 (lub równowartość).

ANDRZEJ MICEWSKI
„WSPÓŁRZĄDZIĆ CZY NIE KŁAMAĆ”
Pax i Znak w Polsce 1945-1976

Stron: 269.

Cena F.fr. 50,00 (lub równowartość).

MARCIN KRÓL
„STYLE POLITYCZNEGO MYŚLENIA”

Stron: 128.

Cena F.fr. 30,00 (lub równowartość).

W druku:

ROMAN ZIMAND
„DZIENNIK ADAMA CZERNIAKOWA”

Książki do nabycia we wszystkich polskich księgarniach na Emi-
gracji u Przedstawicieli Pism, lub bezpośrednio u Wydawcy:

„LIBELLA”
12, rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris.
Métro: Pont Marie lub Saint-Paul.
Telefon: 326-51-09.

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Kilka miesięcy temu sowiecka machina propagandowa osiągnęła wybitny sukces: zorganizowawszy gwałtowną i intensywną kampanię przeciwko tzw. bombie neutronowej zmusiła prezydenta Cartera do zakazania jej produkcji. Bomba neutronowa stała się celem sowieckiej propagandy przede wszystkim dlatego, że ten rodzaj broni jeszcze nie wchodzi w skład uzbrojenia armii sowieckiej, jak również dlatego że była ona przeznaczona do walki z dziesiątkami tysięcy czołgów zagrażających Europie Zachodniej.

19 września br. dano sygnał do nowej kampanii. *Prawda* zamieściła artykuł zastępcy kierownika Oddziału Informacji Międzynarodowej KC KPZS, Walentina Falina. Wieloletni poseł sowiecki w Niemczech Zachodnich, Falin przeszedł do pracy w KC i przyłączył się do tych, którzy kształtują politykę sowiecką. Artykuł jego, suchy, rzeczowy, postawił wszystkie kropki nad wszystkimi „i”. Kraje Bloku Atlantyckiego — czytamy w tym artykule — zamierzają w końcu roku podjąć decyzję o modernizacji broni atomowej, znajdującej się na ich terytorium. Zamierzają to zrobić pod pretekstem rzekomego zagrożenia ze strony Związku Sowieckiego. Ponieważ — oświadcza Falin — nie ma żadnego zagrożenia ze strony sowieckiej — co już dawno stwierdził tow. Breżniew — przebrojenie Europy spowoduje wzmocnienie uzbrojenia armii sowieckiej. I Zachodnia Europa nie tylko niczego nie zyska, ale odwrotnie...

Główną myśl tego artykułu, sformułowaną jako nowa sowiecka doktryna, można by nazwać doktryną Falina. Polega ona na kategorycznej odmowie „dwóch równowag”. Związek Sowiecki dąży do stworzenia globalnej równowagi strategicznej między dwoma supermocarstwami — ZSSR i USA. Jest kategorycznie przeciwny tworzeniu nowej równowagi między ZSSR a Europą Zachodnią. Europa Zachodnia nie ma prawa liczyć na równowagę sił ze Związkiem Sowieckim i nie posiada prawa do utrzy-

mywania na swym terytorium określonych typów broni, które Związek Sowiecki uzna za niepożądane.

Sygnal do rozpoczęcia kampanii dano 21 września br. kiedy to *Prawda* zamieściła artykuł Szefa Sztabu Generalnego, marszałka Ogarkowa. Marszałek, wojskowy, z żołnierską szczerością demaskuje „mit o sowieckim zagrożeniu wojennym” (tak właśnie jest zatytułowany ten artykuł). Marszałek stwierdza: „Cały świat dobrze wie, że Związek Sowiecki nigdy i nigdzie na nikogo nie napadał”. Używa on klasycznej formy sowieckiego języka propagandowego. Dla czytelników jest całkowicie jasne: jeśli „całemu światu dobrze wiadomo...”, to ci wszyscy, którzy wątpią w to, że „Związek Sowiecki na nikogo nie napadał” są wyrzutkami ludzkości, diabelskim nasieniem, podżegaczami wojennymi. Generał lejtnant Czerwow występując 23 września br. w moskiewskiej telewizji oświadczył kategorycznie: „Agresywne zamiary obce są naszej armii”. Prasa sowiecka zapełniła się artykułami, wypowiedziami, komentarzami demaskującymi agresywne zamiary polityków zachodnioeuropejskich, którzy — jak pisały *Izwestia* (9. 9. 1979 r.) — „dążą do rozmieszczenia w krajach Europy Zachodniej setek skrzydlatych rakiet oraz rakiet Pershing-2”. Bezspornym świadectwem tych „agresywnych zamiarów” stały się książki, które ukazały się na Zachodzie, przedstawiające możliwość wtargnięcia Związku Sowieckiego do Europy Zachodniej.

Specjalnie dużo wylano sowieckiego atramentu, i nadal się go wylewa, z powodu książki „Trzecia wojna światowa”, napisanej przez angielskiego generała Johna Hakketa wspólnie z innymi wojskowymi i dyplomatami*. Należy zauważyć że książka ta, która ukazała się mniej więcej rok temu w języku angielskim, zwróciła uwagę propagandystów sowieckich dopiero teraz, po ukazaniu się jej w języku francuskim. „Oburzenie naszego narodu na to oszczerstwo rzucone na politykę sowiecką i sowiecką armię jest całkowicie usprawiedliwione” — oświadczył generał lejtnant Czerwow. *Izwestia* (10. 9. 79 r.) oburzyły się na paryski *Le Monde*, który pozwolił sobie na zamieszczenie reklamy książki generała Hakketa. „Reklama prowokacyjnej książeczki, napisanej przez generała — ostrzega organ rządu sowieckiego — jest wystarczająco wymownym świadectwem”. Świadectwem przestępczych zamiarów.

Kolejny krok kampanii zrobił 1 października br. osobiście L. I. Breżniew. W rozmowie z delegacją Międzynarodówki Socjalistycznej Breżniew zdemaskował „legendę zagrożenia sowieckiego” wobec Europy Zachodniej, ale przestrzegł tych, którzy chcą Zachodnią Europę przekształcić „w eksperymentalny teren dla amerykańskiej broni skierowanej przeciwko ZSSR”, że „igrają z ogniem”. Uznanie okazane przez Generalnego Sekretarza KC KPZS dla socjalistów, a nawet dla socjaldemokratów było wyra-

* Patrz *Kultura* nr 3/378 (marzec 1979 r.).

zem wdzięczności za pacyfistyczną działalność, a specjalnie za rolę partii socjalistycznych w walce z bombą neutronową.

I wreszcie 6 października br. w Berlinie Wschodnim, przed aeropagiem wszystkich przywódców krajów socjalistycznych (z wyjątkiem Ceausescu) i tych, którzy starają się stać takimi przywódcami (od przewodniczącego Frontu Patriotycznego Zimbabwe Dżosua Nkomo, do przewodniczącego palestyńskiej organizacji wyzwolenia, Jassera Arafata), którzy zjawili się dla uczczenia 30-lecia NRD, Breżniew postawił Europie Zachodniej ultimatum. Nawiasem trzeba zaznaczyć dla przyszłych biografów, że Breżniew otrzymał przy tym swoim wystąpieniu dwie nagrody naraz: Order Karla Marxa i Złotą Gwiazdę Bohatera NRD — na piersi Generalnego Sekretarza znajduje się obecnie więcej gwiazd niż w konstelacji Wielkiej Niedźwiedzicy.

Ultimatum Breżniewa zostało podane w formie akcji pokojowej — nie jest zatem wykluczone, że Generalny Sekretarz zostanie wysunięty jako kandydat do najbliższej pokojowej Nagrody Nobla. Breżniew oświadczył, że Związek Sowiecki jednostronnie redukuje swoje siły zbrojne stacjonowane w NRD o 20 tysięcy ludzi i o 1.000 czołgów. Jednocześnie Związek Sowiecki „gotów jest zmniejszyć ilość rakiet nuklearnych o średnim zasięgu, rozmieszczonych w zachodnich rejonach ZSSR, ma się rozumieć pod warunkiem, że nowa broń nuklearna o średnim zasięgu nie zostanie zainstalowana w Europie Zachodniej”.

Prasa sowiecka nie przestaje trąbić o pokojowym Breżniewie i o tych, którzy nie chcą brać z niego przykładu. Zwykle liczby, niedostępne dla sowieckiego czytelnika, świadczą o rzeczywistym sensie tej akcji „w obronie pokoju”. Z relacji specjalistów zachodnich wynika, że Związek Sowiecki utrzymuje w Niemczech Wschodnich 22 dywizje, liczące 400 tysięcy ludzi i około 7.000 czołgów. W samym centrum Europy Pakt Warszawski dysponuje 114 dywizjami i 27 tysiącami czołgów — co znacznie przewyższa siły NATO. Wycofanie jednego tysiąca (przestarzałych) czołgów i 20 tysięcy żołnierzy nie może zmienić tego stosunku sił. Nie mówiąc już o tym, że lotnictwo sowieckie może jednocześnie przerzucić na daleki dystans dwie dywizje spadochronowo-desantowe. Ale przewaga sowieckich sił zbrojnych w środkowej Europie nie zamyka się na dziedzinie broni konwencjonalnej. W Berlinie Breżniew oświadczył: w okresie ostatnich 10 lat Związek Sowiecki nie powiększył swoich sił ani o jedną rakietę, ani o jeden samolot, „nie powiększył ilości wektorów nuklearnych o średnim zasięgu”. W wieku Breżniewa czas już myśleć o własnej duszy i przestać kłamać. Charakterystyczne jest jednak że mówi on o utrzymaniu ilości „wektorów nuklearnych” to jest ilości rakiet. Sprawa polega na tym, że stare rakiety (na Zachodzie nazywają je SS-4 i SS-5) zastępowane są nowymi typu SS-20. Są one nie tylko nieporównywalnie lepsze od starych, ale i trudniejsze do wykrycia, gdyż wyrzuca się je z ruchomych platform, a przede wszystkim każda z nich ma

trzy głowice nuklearne zamiast jednej, a zasięg działania — 3.500 km. Pojawienie się tych rakiet nowego typu, nastawionych wyłącznie na Europę Zachodnią (ponieważ umowa SALT ogranicza ilość rakiet nastawionych tylko na USA i ZSSR, Moskwa więc może produkować ilość SS-20 ile tylko zechce) przeraziło europejskich strategów. Dla utrzymania równowagi chcieliby zainstalować u siebie amerykańskie latające rakiety o dalekim zasięgu i rakiety Pershing-2 o średnim zasięgu. W razie odmowy zainstalowania rakiet amerykańskich w Europie Zachodniej Breżniew uroczyście obiecuje: „ZSSR nigdy nie użyje broni atomowej przeciwko państwu, które zrezygnuje z posiadania takiej broni na swoim terytorium”.

A dla tych, którzy się nie posłuchają Związek Sowiecki zamierza ustanowić 1.200 rakiet SS-20, produkując je w ilości 65-75 rocznie. Państwa NATO zamierzają (jeśli ich nie nastraszy ultimatum Breżniewa) zainstalować 464 rakiet latających i 108 rakiet Pershing-2.

Kraje NATO podejmą decyzję w grudniu br. Nie zgadując jaka będzie ta decyzja, może jednak już założyć, że Związek Sowiecki zachowuje szanse na powodzenie swojej polityki. Dwa wydarzenia ostatnich tygodni pozwalają przypuszczać, że szanse te są wielkie.

Pierwszym z tych wydarzeń był tzw. kryzys kubański. Od bardzo dawna niekonsekwencja, słabość i niezdarność amerykańskiej polityki zagranicznej nie były tak oczywiste. Odkrywszy, że na Kubie stacjonuje brygada wojsk sowieckich (zdaje się zresztą, że już od 10 lat) Amerykanie ośłupieli: po pierwsze nie mogli zrozumieć co ta brygada tam w ogóle robi, a po drugie nie mogli się zdecydować co sami mają z tym zrobić. W potoku propozycji i sugestii, zalewających amerykańską prasę w ciągu ostatnich tygodni, najbardziej fantastyczne wytłumaczenie powodów przebywania sowieckiej brygady na Kubie dał stały komentator *International Herald Tribune*, Leopold Unger, a najbardziej realistyczną propozycję co z nią zrobić — amerykański satyryk Art Buchwald. Leopold Unger przypuszcza, że wojska sowieckie na Kubie po pierwsze ochraniają skomplikowane urządzenia elektroniczne, pozwalające podsłuchiwać wszystko o czym mówią Amerykanie, po drugie ochraniają 25 tysięcy sowieckich cywilnych i wojskowych ekspertów, pracujących na Wyspie Wolności, a po trzecie — samego Castro. Te trzy wyjaśnienia, wysuwane i przez innych komentatorów, są całkowicie logiczne, i być może odpowiadają rzeczywistości. Fantastyczna zaś jest — zdaniem Leopolda Ungera — czwarta funkcja brygady sowieckiej: „chronić Związek Sowiecki i Stany Zjednoczone”, to znaczy kontrolować Castro. Gdyż — twierdzi Unger — „sowiecki prezydent Breżniew niejednokrotnie dawał przekonujące dowody swego politycznego realizmu i swojej giętkości ideologicznej”. Nie można — dodaje — „uważać ani starego i chorego Breżniewa, ani wahającego się i z każdym dniem coraz mniej popularnego Cartera

za awanturników”. Jednocześnie po Castro można się wszystkiego spodziewać. I dlatego wojska sowieckie na Kubie w ostatecznym rozrachunku spełniają pożyteczną misję. Jeśli zastósować tę samą logikę, to analogiczną misję spełniają sowieccy doradcy w Afganistanie i w szeregu innych miejsc na kuli ziemskiej.

Art Buchwald, z przenikliwością właściwą satyrykom, rozumie wszystko i proponuje zaproszenie sowieckiej brygady z Kubie do Stanów Zjednoczonych. Rozumuje tu z czysto kartezjańską logiką: za każdym razem gdy ludzie sowieccy przyjeżdżają do USA, „wybierają wolność”. Jeśli władze sowieckie po ucieczce sowieckich artystów „bały się wysłać do Stanów Zjednoczonych swoją orkiestrę symfoniczną, to na pewno nie zgodzą się na wysłanie brygady do Disneylandu”, a ich odmowę można będzie przedstawić jako zwycięstwo USA.

Drugim wydarzeniem była decyzja Stanów Zjednoczonych pozwalająca Związkowi Sowieckiemu na zakupienie 25 milionów ton zboża. W 1972 roku, gdy sowiecka gospodarka rolna przeżywała ciężki nieurodzaj, Ameryka sprzedała im 18 milionów ton — obecnie rekord ten został pobity. Kolejne świadectwo słabości, niekonsekwencji i nieudolności amerykańskiej polityki zagranicznej znajduje ilustrację w fakcie, że ci sami senatorzy, którzy niezmiennie ostro występowali przeciwko stacjonowaniu sowieckich wojsk na Kubie bardzo aktywnie opowiadali się za sprzedażą ZSSR amerykańskiego zboża w nieograniczonej ilości, a to dlatego, że reprezentują Stany o większości ludności rolniczej.

Pozostawiając na boku problemy humanitarne — konieczność wykarmienia głodujących obywateli sowieckich — i problemy gospodarcze — konieczność zabezpieczenia dochodów amerykańskich farmerów na rok przed wyborami prezydenckimi — można się zatrzymać na zagadnieniu najważniejszym.

Jeśli komukolwiek przyszedłoby do głowy zajrzeć do organu KC PZPS *Kommunist* nr 1 z 1953 r., to znalazłby na str. 5-tej dumne stwierdzenie: „Problem zbożowy, słusznie poprzednio uważany za najbardziej palący, został rozwiązany solidnie i ostatecznie”. Od tego oświadczenia minęło już przeszło ćwierć wieku i sytuacja żywnościowa w ZSSR staje się z każdym rokiem gorsza. Jesienią bież. roku, kiedy piszę ten przegląd, zdobycie mięsa w stolicy sowieckiego superpaństwa można uważać za wyjątkowe osiągnięcie. Amerykańscy specjaliści lubią wyjaśniać żywnościowy głód ZSSR złymi meteorologicznymi i geograficznymi warunkami. W nr. 1 pisma *Ekonomika gosudarstwa wieskiego* z 1979 roku docent katedry ekonomii politycznej leningradzkiego Instytutu Handlu Sowieckiego, Iskra Makarowa, podaje zdumiewające dane: pomocnicze, własne gospodarstwa kołchozników (tak to się oficjalnie nazywa) obejmują w ZSSR 2,7 % ziemi uprawnej. Ten kawałek daje 10 % całej produkcji rolnej państwa. Kołchoźnicy wykarmiają na swoich działkach

20 % ilości krów, 21 % świń i prawie 18 % owiec. Za ostatnie ćwierćwiecze urodzaj na tych działkach wzrósł o 25 %. Natomiast w samych kołchozach urodzajność nie chce się powiększać.

Po śmierci Stalina Chruszczow usunął niektóre przeszkody, hamujące rozwój gospodarki rolnej, i z lekka poprawił sytuację kołchoźników, ale bardzo szybko wyjaśniło się, że tylko zmiany strukturalne mogą wyprowadzić sowiecką gospodarkę rolną z chronicznego kryzysu. Takie zmiany mogłyby pociągnąć za sobą zmianę całego systemu. No, ale na to sowieckie kierownictwo pójść już nie chciało. Z pomocą przyszedł Zachód, a przede wszystkim USA. Zachód zapewnił Związkowi Sowieckiemu to minimum, które stanowi różnicę między niedożywieniem a głodem.

Według danych statystycznego zbioru „Handel zagraniczny ZSSR”, który ukazał się w 1979 roku, Związek Sowiecki sprowadził w 1977 roku 20,8 % towarów „jadalnych”. W 1978 roku z jego rekordowym urodzajem importowano 19,2 %. Ze Stanów Zjednoczonych sprowadzono w 1977 roku 6.265 tysięcy ton zboża, w 1978 roku — 14.315 tysięcy ton, a w 1979 roku zostanie importowanych 25.000 tysięcy ton.

Jak we wszystkim — przykład dał Lenin. W związku z obchodami 62-giej rocznicy przejazdu Lenina ze Szwajcarii przez Niemcy, Szwecję i Finlandię do Petrogradu, duńscy dziennikarze badali, co wódz rewolucji robił w czasie tej podróży. I wykryli, że w czasie zatrzymania się w malutkim szwedzkim porcie Trelleborg towarzyszył Lenin — jakkolwiek ten postój trwał tylko 15 minut — zdążył kupić sobie zachodnie spodnie. Wódz i twórca pierwszego na świecie państwa socjalistycznego widocznie już wtedy rozumiał, że idee w krajach socjalizmu będzie dużo, ale spodni będzie brakowało. Jednocześnie wskazał potomnym, że spodnie zawsze będzie można kupić na Zachodzie. Spodnie, albo też inne niezbędne rzeczy. Rozbudowując twórczo marksizm, Lenin stworzył leninizm — teorię usprawiedliwiającą utworzenie materialnej bazy w jednym miejscu (na przykład na Zachodzie), a ideologicznej nadbudowy w drugim (na przykład na Wschodzie).

Konstruowanie nadbudowy ideologicznej postępuje w ZSSR z niezmiernym powodzeniem przy stosowaniu metod wypróbowanych w okresie sześćdziesięciu z czymś lat. Kolejnym krokiem w umocnieniu nadbudowy ideologicznej było postanowienie KC KPZS „O poprawieniu pracy przy ochronie porządku prawnego i wzmocnieniu walki z naruszczeniami prawa”. Postanowienie to zaczyna się — jak tego wymaga tradycja sowiecka — stwierdzeniem, że przyjęte poprzednio miary stworzyły „warunki likwidacji przestępczości i jej źródła”. Tu następuje długi wykaz przestępstw, z którymi nadal trzeba walczyć. Wzywa się „organy ochrony porządku prawnego” — prokuraturę i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych — do „bezkompromisowej walki”, do „wzmocnienia walki”, do „likwidowania” i „rozszerzenia”, a komitety partyjne do „podwyższenia politycznej czujności”.

Podobnych uchwał podejmowano już dziesiątki i za każdym razem były one początkiem kolejnej fali represji. Za każdym razem obywatele sowieccy wyczytują między wierszami kolejny obiekt nowych represji. Komentując ostatnie postanowienie KC (charakterystyczne, że Komitet Centralny partii zajmuje się organizowaniem „ochrony i walki”) tygodnik *Niedziela* (nr 38) uważa za jedną z najważniejszych rzeczy „aktywizację walki z próżniactwem”. Rozporządzenie o sankcjach karnych dla „próżniaków” (*tuniejadcy*), tj. tych, którzy nie zajmują się pracą społeczną, pożyteczną została wprowadzona w życie jeszcze za czasów Chruszczowa. W ostatnich latach było ono wykorzystywane coraz szerzej celem uzyskania bezpłatnej siły roboczej. Próżniacy, wyjaśnia w *Niedzieli* pułkownik milicji Minakow, „w zasadzie ci młodzi ludzie w wieku 18-29 lat są fizycznie zdrowi”. Jako zasadę — zapewnia pułkownik milicji — należy przyjąć, że dokonują oni różnego rodzaju przestępstw. Korespondent *Niedzieli* zadaje pytanie: „Ale może się zdarzyć, że próżniak formalnie (!) nie narusza porządku prawnego, to znaczy nie przedsięwzię żadnych działań przestępczych, a po prostu nie pracuje. Jak należy rozpatrywać taki przypadek?”. Na to pytanie odpowiada „zasłużony prawnik RSFSR, doktor nauk prawnych”, W. Iwanow. Dla zasłużonego prawnika nie ma znaczenia czy próżniak narusza prawo czy nie. Jeśli „zostanie ustalone, że na przestrzeni dłuższego czasu (mianowicie 4-ch miesięcy plus miesiąc od uprzedzenia) „człowiek nie pracuje, to stosuje się wobec niego paragraf 209 Kodeksu Karnego. Ci wśród obywateli sowieckich, którzy mogą zajrzeć do Kodeksu Karnego (a znalezienie go jest tak samo trudne jak i tajemnice sowieckich rakiet) przekonają się, że paragraf 209 mówi o karze „pozbawienia wolności do lat dwóch lub przymusowej pracy od 6 miesięcy do roku” za „systematyczne zajmowanie się włóczęgostwem albo żebractwem”. Według opinii zasłużonego prawnika paragraf 209 ma zastosowanie i do tych, którzy mieszkają u siebie w domu, nie żebrzą i są zdrowi fizycznie.

Jeszcze przed ogłoszeniem nowej uchwały KC KPZS na Zachód przeniknął dokument opracowany przez fizyka Jurija Orłowa, 18.5.1978 r. skazanego na 7 lat łagru i 5 lat zsyłki za działalność antysowiecką, to jest za kierowanie Komitetem do Przestrzegania Wykonywania Uchwał w Helsinkach. Jurij Orłow, przy pomocy współwięźniów, obliczył ilość więźniów w ZSSR. Ilość osób znajdujących się w więzieniach i w łagrach wynosi — według ich obliczeń — nie mniej jak 3 miliony. Jeśli do nich dodać tych, którzy — jak np. próżniacy — skazani są na roboty przymusowe, zesłanie itp. ilość ta nie będzie niższa od 5 milionów. Jest to orientacyjnie 2 % ludności kraju. Nie jest wykluczone, że po ostatniej uchwale KC procent ten wzrośnie.

We wrześniu br. Leonid Breżniew odbył pielgrzymkę do swego rodzinnego miasta Dnieprodzierżyńska. Ledwo powstrzymując łzy obejrzał mieszkanie, w którym żył wielki człowiek (to jest on sam), Instytut w którym studiował wielki człowiek, pomnik

mu wzniesiony. „Dziwnie oglądać siebie samego w brzoźnie, ale przyjemnie i w jakimś sensie pozwala to na obecność w mieście dzieciństwa i młodości” — zauważył subtelnie. Ale skuteczniej od jakiegokolwiek brzoźni zachowa pamięć o wodzu te 5 milionów uwięzionych, tworzących potęgę jego państwa.

Adam KRUCZEK

Trybunał imienia Sacharowa

W dn. 26 września rozpoczęła się w Waszyngtonie, w jednym z budynków Senatu na Kapitolu czterodniowa sesja Trybunału im. Sacharowa. Poprzednie dwa posiedzenia odbyły się w Kopenhadze w roku 1975 i w Rzymie w roku 1977.

Trybunał Sacharowa stanowi międzynarodowe forum, któremu patronują znani działacze polityczni, uczeni, pisarze i publicyści, czynnie zaangażowani w obronę praw człowieka w ZSSR i w krajach sowieckiej orbity. Świadkowie, przeważnie dysydenci, którzy opuścili niedawno swe kraje, składali zeznania w sprawie prześladowań na tle religijnym, narodowościowym i politycznym. Operując konkretnymi przykładami opisywali warunki życia w ZSSR i odpowiadali na pytania członków Trybunału.

Patronem trzeciej sesji, który dostarczył pokaźnych funduszy umożliwiających ściąganie „świadków” i „sędziów” ze Stanów, Europy Zachodniej i Izraela była największa organizacja amerykańskich związków zawodowych AFL/CIO. W pierwszym dniu przewodniczył Lane Kirkland, dotychczas sekretarz i skarbnik organizacji, obecnie następca sędziwego przywódcy George Meany. (AFL/CIO jest jedyną wielką organizacją związkową na Zachodzie okazującą czynne poparcie i solidarność wobec robotników poddawanych wyzyskowi i prześladowaniom w systemie sowieckim).

Zagałę obrady senator Daniel Moynihan, b. ambasador przy ONZ, Irlandczyk z Nowego Jorku. Na sali pojawił się i wygłosił przemówienie senator Howard Baker — przywódca mniejszości republikańskiej w Izbie Wyższej, kandydat na prezydenta w nadchodzących wyborach. Inny kandydat republikański senator Robert Dole wydał specjalne oświadczenie. W czasie sesji przemawiali senatorzy Richard Stone i Patrick Leahy. Wśród osobistości z USA i Europy, które zasiadły za stołem trybunalskim znaleźli się m.in.: laureat nagrody Nobla w biochemii dr Chrys-

tian Anfinson, prof. Artur Schlesinger, sowietolog Robert Conquest, Szymon Wiesenthal, angielski komediopisarz Tom Stoppard, kongresman Stefan Solarz, b. dyrektor Instytutu Nobla — Tim Greve i szereg innych znakomitości.

Właściwą sprężyną, inicjatorem i organizatorem Trybunału byli dysydenci ze Związku Sowieckiego. Na zatłoczonej sali mogącej pomieścić pół tysiąca osób panował niepodzielnie język rosyjski. W tłumie z łatwością można było rozpoznać sylwetki znane z ekranów telewizyjnych: Ginzburga, Amalryka, gen. Grigorenko, Pawła Litwinowa, Bukowskiego, Czalidze, Gorbaniewskiej, Venclovy i całej plejady innych. Był to właściwie światowy zjazd dysydentów różnych narodowości ze znaczną przewagą Rosjan i ich przyjaciół na Zachodzie. Dla większości było to pierwsze tak gromadne spotkanie. Na terenie ZSSR wzajemne kontakty były z natury rzeczy ograniczone.

Dla zewnętrznego obserwatora bezpośrednie zetknięcie się z dysydentami było niewątpliwie najmocniejszym wrażeniem. Przerzuceni w obce warunki po całym dotychczasowym życiu spędzonym w izolacji od świata zewnętrznego, nie znający poza wyjątkami obcych języków, nie zatracili na Zachodzie wewnętrznego żaru i bezgranicznej gotowości do ofiar, która jest i zawsze była charakterystyczną cechą rewolucjonistów. Tak liczna obecność na sali aktywnych działaczy wygnanych z ZSSR, z jednej strony zdaje się świadczyć o skuteczności nacisku zachodniej opinii publicznej — a z drugiej nasuwa pytanie czy sam ruch jest nadal obecny i czynny w Rosji. Zwłaszcza jeśli do tych, którzy znaleźli się na Zachodzie dodać długie listy ich towarzyszy przebywających w łagrach, zakładach psychiatrycznych, więzieniach i miejscach zsyłki. Sami dysydenci twierdzą jednak, że ruch obrony praw człowieka nie tylko tli się dalej w ZSSR, ale gdzieś tam nabiera siły. Wszystkich dręczy widoczna troska w jaki sposób znalazłszy się przymusowo na emigracji mogą stąd wspierać swoich następców i zabiegać o uwolnienie uwięzionych.

Organizatorom trzeciej sesji Trybunału chodziło tym razem o to, by kierować uwagę nie na działaczy, którzy są już powszechnie znani, lecz na szarych ludzi opowiadających to co przeżyli i widzieli własnymi oczami. Wprawdzie wśród 67 świadków, którzy w ciągu 4 dni składali swe relacje, były głośnie nazwiska Czalidze, Litwinowa, Bukowskiego, Amalrika, Ginzburga, Grigorenki, Gorbaniewskiej, Venclovy, ale obok tych czołowych postaci wystąpił robotnik z Kaługi, rzemieślnik z Armenii, kilku kołchoźników, inżynier z Charkowa, szofer z Moskwy — działacz wolnego związku zawodowego SMOT, aktor teatru marionetek, byli więźniowie, łagiernicy oraz przedstawiciele mniejszości: Litwin, Łotysz, Tatar, Ormianin, Niemiec z ZSSR i dwóch Niemców z NRD. Nie było ani jednego Polaka z Rosji. Jako świadek zeznawał przed Trybunałem Władysław Sulecki — syn chłopski spod Torunia, górnik ze Śląska, który współpracował z KOR-em

od pierwszej chwili jego powstania i był jednym z członków założycieli wolnego związku zawodowego na Śląsku oraz pisma *Robotnik*. Sulecki zmuszony został do opuszczenia kraju z żoną i dzieckiem po wystosowaniu otwartego listu do robotników Śląska. Przytaczał fakty ilustrujące sytuację robotników, znane czytelnikowi polskiemu z literatury i prasy ukazującej się poza zasięgiem cenzury lecz nowe dla członków Trybunału.

Tematyka i porządek obrad zostały przez organizatorów starannie przemyślane. Zeznania koncentrowały się na kilku wybranych zagadnieniach: sytuacja robotników, „praworządność socjalistyczna”, system paszportyzacji i ograniczenia swobody ruchów wewnątrz ZSSR, praca niewolnicza i zakłady psychiatryczne. Ostatni dzień poświęcony był wyłącznie próbie przypomnienia nazwisk obrońców praw człowieka przebywających w łagrach i więzieniach. Spośród kilkuset a może kilku tysięcy wybrano dwudziestu — wśród nich Juri Orłowa, Anatolego Szczarańskiego, Mikołaja Rudenkę, Wiktora Petkusa. Sołżenicyn, który rzadko udziela się publicznie, nie zjawił się w Waszyngtonie. W jego zastępstwie Natalia Sołżenicyn odczytała wzruszający apel pisarza domagający się uwolnienia Igora Ogurcowa, założyciela Wszechrosyjskiej Unii Społeczno-Chrześcijańskiej, skazanego w 1964 na 15 lat więzienia i 5 lat zsyłki. Ogurcew umiera w więzieniu w Chostopolu. Sacharow nadesłał z Moskwy apel o uwolnienie Sergiusza Kowalewa, wybitnego biologa skazanego w Wilnie w 1977 roku za rozpowszechnianie „Kroniki Bieżących Wydarzeń” i przebywającego w łagrze nr 36 w permeńskiej obłasti.

Impreza była dobrze zorganizowana. Uczestnicy zostali zaopatrzeni w słuchawki, które pozwoliły słuchać zeznań w tłumaczeniu na angielski, niemiecki i rosyjski (dla świadków zeznających po angielsku). Większość relacji powielono po angielsku i udostępniono obecnym. W tyłach sali obrad wyłożono stos bogatej literatury w języku angielskim. Rozdawano dużych rozmiarów zdjęcia Michała Rudenki i Igora Ogurcowa z życiorysami. Wstrząsającą wypowiedź miała przemówiona z ZSSR wystawa fotograficzna pt. „Życie w Związku Sowieckim”. W sali recepcyjnej AFL/CIO otwarto wystawę samizdatu.

Było to właściwie wielkie seminarium o życiu człowieka w ZSSR. Nie brakowało momentów dramatycznych. Utrwalony na taśmie głos Anatola Sacharowa, który pozdrowiał Trybunał jego imienia, był świadectwem żywej łączności wygnańców z tymi, którzy walczą nadal na nieludzkiej ziemi. Mikołaj Szaregin, były długoletni więzień łagrów zademonstrował medale i pamiątki produkowane na zbliżającą się Olimpiadę w ośmiu łagrach w obłasti włodzimierskiej. Artykuły produkowane na eksport są wytworem pracy niewolniczej więźniów przebywających w łagrach często od 25-30 lat, zapomnianych przez świat i umierających bez nadziei, powolną śmiercią. Znana firma zachodnia (nie wymieniona po imieniu) handluje częściami aparatów radiowych, traktorów i motorów elektrycznych oraz innymi produktami pracy

przymusowej więźniów we Włodzimierzu nad Kłajmą. *Déjà vu!* Zakład psychiatryczny w Rybińsku, w którym „leczeni” są przymusowo zdrowi pacejnci (m.in. Lew Łukianenko, członek ukraińskiej grupy helsinkowskiej) specjalizuje się w produkowaniu instrumentów optycznych na eksport. Więźniowie w łagrze pod Kalininem produkują masowo niedźwiadka „Miszkę” — maskotkę, która ma być rozprzedawana za twardą walutę wśród turystów przybyłych na Olimpiadę. Szaregin mówił także o powojennych katyńniach. Oglądał na własne oczy masowe groby współwięźniów z łagrów w republice mordowińskiej. Widział groby wypełnione czaszkami dzieci i dorosłych z otworami od kul w potylicy oraz zbiorowe mogiły Niemców deportowanych i straconych masowo po rozruchach w Berlinie. Ginzburg mówił o milionach ludzi, którzy giną bez śladu. Dla przykładu wymienił prawnika z Kijowa, którego znaleziono nieżywego wkrótce po odwiedzinach, jakie złożył Sacharowowi. Ilija Lewin, prześladowany za przynależność do *Amnesty International* i udział w wydawaniu literackiego pisma-samizdatu „Żydzi w ZSSR” opowiadał o „wojnie chemicznej” stosowanej przez KGB wobec dysydentów. Wywabiony został do restauracji gdzie opryskano go z tyłu gazem musztardowym. Ciężkie poparzenia groziły mu amputacją nogi. Lewin znał i wymienił po nazwisku dwa inne wypadki, w których zastosowana została ta sama metoda. Dr Kronin Lubarski opisywał wewnętrzny system paszportowy i obowiązki rejestracji, które przykuwają ludzi do miejsca zamieszkania. Wprawdzie kołchoźnicy, do niedawna pozbawieni całkowicie paszportów, mają je otrzymać do roku 1981, ale obowiązek rejestracji pozwała na uwiązanie każdego, kto pragnąłby zmienić miejsce zamieszkania. Obowiązek rejestracji i wysiedlenia z większych miast są jeszcze jedną bronią w walce z dysydentami. Otwierają możliwości aresztowania każdego, kto opuści rejon swego zamieszkania bez zgody władz.

Włodzimierz Bukowski mówił o wolnym związku zawodowym. Wprawdzie wszyscy założyciele z górnikami Włodzimierzem Klebanowem na czele przebywają w zakładach psychiatrycznych albo w łagrach, ale związek (SMOT), który początkowo liczył stu członków zorganizowanych w ośmiu grupach rozrósł się obecnie do 200 członków. Na każdego z nich przypada co najmniej 100 wspierających go po cichu i około 1.000 sympatyków. Wśród związkowców panują dwie szkoły myślenia. Jedni wierzą w jawność działania uważając, że aresztowania i prześladowania nie odstraszają lecz odwrotnie przyciągają nowych wyznawców. Drudzy stoją na stanowisku, że jawność prowadzi do eliminacji najlepszego elementu, że potrzebna jest sieć zakonspirowana, koordynująca wystąpienia mas na szeroką skalę. Istnienie wolnego związku zawodowego — zdaniem Bukowskiego — daje klasie robotniczej środek naskcu: jeśli nie spełnicie naszych postulatów — przyłączymy się do wolnego związku.

Największą słabością ruchu — mówił Bukowski — jest brak solidarności i energicznej pomocy ze strony zachodnich zwią-

ków zawodowych. Jedyny wyłom pod tym względem stanowi AFL/CIO.

Ciężkie położenie robotników przemysłowych jest jeszcze o niebo lepsze od sytuacji kołchoźników i sowchoźników, którzy w sowieckiej piramidzie społecznej znajdują się tylko o piętro wyżej nad łagiernikami. Premia za pracę w niedzielę jest butelka wódki. W wiejskich sklepach spółdzielczych nie ma nic prócz wódki i kiepskich konserw rybnych. Gdy zabraknie wódki chłopci piją jej namiastki: wodę kolońską, denaturat, czasem nawet aceton. Bywały wypadki, kiedy przez tydzień nie było chleba, cukru i margaryny. Masło jest rzadkością. Często ludzie podróżują 200 km do Moskwy po zakupy żywności. Własna działka przyzagródowa jest główną żywicielką i jedyną zachętą do życia na wsi. Dyskryminacja chłopów wyraża się nie tylko w warunkach materialnych (niższe płace i wyższe ceny), ale w niemożności przedostania się młodych na wyższy szczebel społeczny wskutek bardzo niskiego poziomu szkolnictwa wiejskiego. Według obowiązującej linii propagandowej dzieci chłopów mają pozostać chłopami, dzieci robotników — robotnikami. Uprzywilejowanie dzieci rodziców należących do klasy biurokratów partyjnych i rządowych sprawia, że przywileje klasowe stają się jak za czasów feudalnych — dziedziczne. Atrakcyjność stosunkowo lepszego życia w miastach jest przyczyną, że masowa ucieczka ludności ze wsi staje się głównym powodem pogłębiającego się kryzysu rolnictwa.

Piekło zakładów psychiatrycznych było już opisywane tysiące razy. Mniej znane są izby przyjęć. Świadek Gennady Tarasewicz, zatrzymany za naruszenie przepisów o wewnętrznej paszportyzacji przeżył miesiąc w „izbie przyjęć”. Odciski palców, zdjęcia, zgłoszone dane personalne przesyłane są do centrali Biura Dochodzeń Kryminalnych w Moskwie. Sprawdzanie trwa do kilku miesięcy. Warunki w „izbach przyjęć” są tak makabryczne, że ludzie przyznają się do niepopelnionych wykroczeń i przestępstw, by znaleźć się w normalnym więzieniu. Możliwość zatrzymania każdego obywatela w „izbie przyjęć” otwiera nieograniczone pole do nadużyć milicji. Z Tarasewiczem przebywała jakaś kobieta, która znalazła się w „izbie przyjęć” bo odrzuciła propozycję stosunku z milicjantem.

Wstrząsającą statystykę ludobójstwa Tatarów Krymskich przytoczyła Aisza Seytmuratova. U progu ostatniej wojny żyło na Krymie 238 tys. Tatarów. Z tego 64.640 walczyło w szeregach Armii Czerwonej. Poległo ponad 30 tys. W nocy 18 maja 1944 na rozkaz Stalina rozpoczęła się masowa deportacja Tatarów Krymskich do Uzbekistanu. Podróż odbywała się w znanych warunkach: w zamkniętych wagonach bydlęcych bez żywności i bez wody. Na ogólną ilość 99.400 dzieci zmarło 45.922; spośród 13.300 młodych między 16 a 18 rokiem życia zmarło 6.144. Na 93.200 kobiet — zmarło 43.085; na 32.600 mężczyzn — zginęło 15.061. Straty śmiertelne poniesione w ciągu półtora roku wyrażają się liczbą 110.185 Tatarów Krymskich. Pozostali przy życiu

nie zaprzestali w ciągu ubiegłych 35 lat walki o prawo powrotu na ziemię ojczystą. W roku 1967 Politbiuro dzięki nieustannym naciskom postanowiło ogłosić „rehabilitację” Tatarów Krymskich utrzymując w mocy zakaz powrotu na Krym. W Uzbekistanie trwają po dziś dzień pogromy, masakry i morderstwa opornych. Siedemset rodzin zdecydowało się na powrót na Krym — pomimo zakazu władz. Pięćdziesiąt zostało ponownie deportowanych albo wtrąconych do więzień. W dn. 23 czerwca 1978 roku Tatar Musa Mamut popełnił samobójstwo przez samopalenie w rodzinnej wiosce na Krymie w chwili, gdy milicja usiłowała wejść do jego domu.

Świadectwo o dyskryminacji etnicznej składali: Łotysz, Litwin i dwóch Niemców. Nie padło ani jedno polskie nazwisko. Przymusowa asymilacja i dyskryminacja blisko dwóch milionów Polaków w ZSSR nie została w ogóle poruszona. Nie należy składać tego na karb organizatorów, których stosunek do Polaków był serdeczny i przyjaźni. My sami ponosimy za to odpowiedzialność. W czasie przesłuchań rozdawano różne listy więźniów i łagierników, żmudnie zebrane przez Litwinów, Ukraińców i Niemców. Nikt nie był na nich zidentyfikowany jako Polak. W broszurze „Christian Prisoners in the PSSR” wydanej przez Keston College znalazłem nazwisko młodego polskiego księdza ze Stryja, Bernarda Mickiewicza, skazanego w sierpniu 1974 r. za nauczanie dzieci katechizmu — na pięć lat więzienia. Z innego spisu dowiedziałem się, że ksiądz Mickiewicz, którego narodowość nie została wymieniona, znalazł się 5 sierpnia br. na wolności po odbyciu pełnej kary. Niemcy, Ukraińcy i Litwini okazują niezwykłą ruchliwość w poszukiwaniu swoich uwięzionych rodaków i ustalaniu miejsca ich pobytu.

Edward Kuzniecowa, który spędził wiele lat w łagrze, ocenia że w obozach koncentracyjnych przebywa obecnie od 2 do 2,5 miliona więźniów odbywających karę za przestępstwa kryminalne. Ponadto około miliona wykonuje pracę przymusową w miejscach zsyłki. Tylko 300 więźniów odpowiada oficjalnej nomenklaturze przestępców politycznych. Ludmiła Aleksiejewa, działaczka grupy helsińskiej w Moskwie, cytowała obliczenia Juri Orłowa. Wynika z nich, że ogółem 5 milionów ludzi przebywa w więzieniach, w trzech kategoriach obozów koncentracyjnych, w zamkniętych koloniach dla małoletnich, w koloniach dla alkoholików i w miejscach deportacji wykonując tam pracę niewolniczą.

Sacharow w swoim orędziu skierowanym do Trybunału, ostrzega przed ekspansją totalizmu jako największym niebezpieczeństwem naszych czasów. Główny front w walce z tą ekspansją — mówił Sacharow — biegnie po linii obrony praw człowieka. Te same kryteria muszą być stosowane pod każdą długością i szerokością geograficzną, wobec wszystkich państw i narodowości. Bronią zaś w tej walce nie ma być gwałt, lecz jawność i rozgłos. „Obrona praw ludzkich urasta do uniwersalnej idei jednoczącej ludzi, którzy wyznają odmienne przekonania,

lecz gotowi są do obrony wolności każdego bez względu na jego poglądy".

Te piękne słowa wypowiedziane z wielką siłą przekonania nie znalazły niestety potwierdzenia w konfrontacji z rzeczywistością, oglądaną z perspektywy waszyngtońskiego Kapitolu. Trzecia sesja Trybunału była w znacznej mierze *preaching to converted* — czyli nawracaniem nawróconych. W amerykańskich środkach masowego przekazu ludzki dramat przedstawiony słowami naczynych świadków nie obudził zainteresowania i rozgłosu tak potrzebnego działaczom obrony praw człowieka w bloku sowieckim. Zaledwie jeden kanał telewizyjny nadał krótką migawkę z sali obrad, a *Washington Post* „schował” na jednej z najdalszych stron krótki, dwuszpaltowy felietonik. *New York Times* pominął przesłuchania całkowitym milczeniem. Za to każdy ujawniony wypadek tortur, aresztowań czy uprowadzeń w Chile trafia na pierwszą stronę i ukazuje się pod nagłówkiem, wybitym najtłustszym drukiem. Ginsburg, Grigorenko, Bukowski byli przedmiotem zainteresowania póki żyli w Moskwie i prowadzili nierówny pojedynek z całą potęgą policyjnego państwa. Z punktu widzenia zachodnich mediów ci sami ludzie należą już do przeszłości z chwilą, gdy przebrzmiała krótkotrwała sensacja, jaką było pojawienie się ich na Zachodzie. Wyjątek stanowią oczywiście „Głos Ameryki”, „Radio Wolna Europa” i „Radio Swoboda”. Dzięki ich obsłudze sprawozdawczej, nagrywanym wywiadom i reportażom przebieg posiedzenia Trybunału znany będzie milionom słuchaczy w orbicie sowieckiej. Wstrząsający akt oskarżenia, wsparty relacjami świadków i ofiar, nie dotarł w ogóle do wiadomości mieszkańców Waszyngtonu.

W Departamencie Stanu kosztem kilku milionów dolarów zmontowany został aparat biurokratyczny pod szyldem Biura Praw Człowieka. Ma to być główny organ rządowy wprowadzający w życie politykę obrony praw człowieka. Pani Patrycja Derian, która stoi na czele tego urzędu, w ogóle nie pojawiła się na sali w czasie przesłuchania a nadesłany przez nią *message* był wzorem lakoniczności i powściągliwości. Biuro p. Derian w Departamencie Stanu poświęca główną uwagę nadużyciom i zbrodniom, jakich dopuszczają się na swoich obywatelach prawicowe dyktatury Ameryki Łacińskiej. Ten jednostronny kierunek geograficzny — daleki od uniwersalizmu propagowanego przez Sacharowa — nie zagraża polityce odprężenia. Zwrócenie reflektora w stronę mocarstwa, które zbrodnie tego rodzaju i pogwałcenia praw człowieka podniosło do rangi doktryny państwowej — ściągnęłoby tu z miejsca zarzut powrotu do zimnej wojny.

W chwili, gdy na Kapitolu odbywały się przesłuchania Trybunału Sacharowa, uwagę rządu, Kongresu i środków masowego przekazu zajmowała niepodzielnie sprawa nagłego odkrycia na Kubie sowieckiej brygady — w gruncie rzeczy drobnego przejawu tej postępującej ekspansji sowieckiej, o której mówił Sacharow. Ameryka utraciwszy przewagę wojskową okazuje bezsilność w daremnym poszukiwaniu strategicznej odpowiedzi na

sowieckie metody podboju bez wojny. A można ją znaleźć w słowach Sacharowa: *że front w walce z tym sowieckim ekspansjonizmem biegnie po linii uniwersalnej idei obrony praw człowieka.*

Fałszywa legenda

W maju br. redakcja *Kultury* uważała za wskazane złożyć wieniec na grobie atamana Symona Petlury, na historycznym paryskim cmentarzu na Montmartre. Powód — setna rocznica narodzin Petlury i pięćdziesiąta trzecia rocznica jego tragicznej śmierci. W maju 1926 roku został zamordowany przez Szaloma Szwarcbart, który, jak wszystko wskazywało, był agentem sowieckiej policji politycznej, czyli GPU. Tak się ówczesnie nazywała.

Dowiaduję się, że ten gest *Kultury* wywołał mnóstwo listów protestacyjnych, napływających z różnych stron. Wydawało się, że sprawa została dawno wyświetlona, a więc nie powinna być podejmowana na nowo, a tym bardziej budzić zdziwienia. A jakże! Okazuje się, że nie brakuje osób, które zachowują się tak, jak gdyby nikt nigdy na ten temat nie napisał. Wobec tego przypomnijmy, w jaki sposób zginął Symon Petlura. Do idącego ulicą paryską podszedł nieznany osobnik i, nie mówiąc ani słowa, z bliska oddał do niego kilka strzałów. Były śmiertelne. Morderca został aresztowany i stanął przed sądem. Francuski trybunał uniewinnił go, przyjmując z dobrą wiarą, że Szwarcbart mścił się za śmierć całej swojej rodziny, która, jak zeznał, padła ofiarą pogromu, który rzekomo został zorganizowany przez Petlurę. Tak twierdził sam Szwarcbart, oraz jego obrona.

Jak wyglądała prawda? Czy Szwarcbart był mścicielem, czy agentem sowieckim, któremu kazano Petlurę zamordować? W ciągu minionych (już przeszło pięćdziesięciu) lat zapisano tysiące arkuszy papieru, a pewni czytelnicy zachowują się tak, jak gdyby tego w ogóle nie było. A więc trzeba zaczynać taniec od pieca?! Zdziwionych nie brakuje. No, to przyjrzyjmy się tematowi uważniej.

W niektórych listach do redakcji powtarza się informacja, że Szwarcbart był „żydowskim emigrantem”, które swego czasu przeniósł się z Ukrainy, kraju jego urodzenia, na Zachód. W wersji tej brakuje jednego istotnego szczegółu: kiedy mianowicie ów „emigrant” zjawił się w Paryżu i w jakich okolicznościach... Ale najważniejsza jest data zamachu. Powstaje zasadnicze pytanie: — Jeżeli istotnie Szwarcbart działał na własną rękę, biorąc na siebie rolę mściciela, dlaczego czekał tak długo, dlaczego zwlekał z wykonaniem decyzji przez tyle lat? Pogrom w Płoski-

rowie odbył się w roku 1919, zamach paryski — w maju 1926 roku; obydwie daty dzieliło całe siedem lat. Trzeba uściślić. Po wzięciu pod uwagę, że w latach 1919-1920 toczyła się wojna, należy te siedem lat skrócić do pięciu, licząc od chwili, gdy Petlura zamieszkał w Paryżu. Już to jedno, ta pięcioletnia zwłoka wyglądała bardzo podejrzanie.

Ponadto od razu zwróciła uwagę zbieżność wydarzeń. W maju tego roku Piłsudski dokonał zamachu stanu i doszedł do władzy, a w niewiele dni później na paryskiej ulicy padają strzały „mściciela”. Logiczny wniosek narzucił się sam przez się. Dojście Piłsudskiego do władzy wzbudziło w Moskwie niepokój: a nuż ten przypomni sobie o roku 1920-tym i o sojuszu wojskowym z Petlurą? Widmo odnowienia tego sojuszu, widmo nowej Wyprawy Kijowskiej musiało zaniepokoić. Postanowiono działać natychmiast, nie czekając na wyjaśnienie sytuacji. By zatrzeć ślady, wybrano agenta narodowości żydowskiej, uznając wersję o słusznej zemście za najbardziej chwytną. Istotnie chwyciła. W warszawskich kołach wschodoznawczych nikt ani przez jedną chwilę nie miał najmniejszych wątpliwości, kto i dlaczego kierował ręką Szwarcbarta.

Powoływanie się na wyrok uniewinniający świadczy o bezgranicznej naiwności. I cóż to za argument?! Tak, jakby wszystkie wyroki bywały słuszne i sprawiedliwe! Co paryski sąd wiedział o rzeczywistości politycznej i wojskowej na Ukrainie w tamtych latach? Tyle co nic! Zeznania Szwarcbarta, rozdmuchane i upiękzone przez wymownych (i wpływowych!) adwokatów, uznał za prawdziwe. Petlury już nie było wśród żywych, nie mógł przeciwstawić się oszczerczej kampanii. Nie mógł powołać się na wydany przez siebie rozkaz, w którym zapowiadał, że żołnierze z poddanych mu oddziałów, którym udowodni się udział w pogromach, będą rozstrzeliwani w trybie doraźnym*. Jak na organizatora akcji pogromowych całkiem nieźle! Sąd paryski w ogóle tego nie wziął pod uwagę, nie pofatygował się dokładnie sprawdzić istniejącego materiału historycznego.

Pogromów na Ukrainie w tamtych latach istotnie nie brakowało. Kto je urządzał? Różnie z tym bywało. Luźne, przez nikogo nie kontrolowane watahy, bez określonej filiacji politycznej, oddziały wojskowe zarówno „białych”, jak i „czerwonych”, a najczęściej elementy kryminalne, którym najbardziej chodziło o rabunek, a przy okazji dopuszczały się masowych morderstw. Petlurowcy natomiast byli formacją dość mocno zdyscyplinowaną (w każdym razie w większym stopniu od innych), więc nadużyć z ich strony nie mogło być zbyt dużo. To bolszewicka propaganda, chcąc zohydzić dobre imię Petlury, którego w zamęcie wojennym na Ukrainie uważano za wroga Moskwy nr 1, puściła w ruch legendę o owych pogromach, które rzekomo zawinił.

* Takich rozkazów Atamana Petlury było szereg jak również dekrety Rządu Ukraińskiego. Były one zebrane i wydane w języku francuskim w Paryżu w 1927 roku pt. *Documents sur les Pogromes en Ukraine et l'assassinat de Simon Petlura*.

Legenda ta przydała się później na użytek francuskich obrońców Szwarcbarta.

Ocenę wyroku, niezależnie od meritum sprawy, należy pozostawić prawnikom. Nie ma kodeksu karnego, który by przewidywał prawo jednostki do wymierzenia sobie satysfakcji na własną rękę, gdyż w przeciwnym wypadku byłoby to usprawiedliwieniem modnego niegdyś w Stanach Zjednoczonych prawa lynchu. Zagrały względy, nie mające nic wspólnego z obowiązującym prawem. Gdyby chodziło o morderstwo, popełnione w stanie wzburzenia, można by je uznać za zabójstwo, ale i w takim wypadku należało sprawcę skazać, obniżając wysokość wyroku ze względu na okoliczności łagodzące. Wszystko wskazywało, że wyrok uniewinniający został przesądzony nie na sali sądowej, lecz za kulisami. Niezależnie od tego, sędziowie mogli być przekonani o prawdziwości zeznań mordercy.

Szwarcbart wyszedł z sądu, jako bohater, jako mściciel rodziny, zgłodzonej przed siedmiu laty. Raz jeszcze: trybunał wszystko przyjął na wiarę. Także przyjął bezkrytycznie wyjaśnienie, dlaczego Szwarcbart zwlekał ze swoją „zemstą” tak długo. A co się z tym „emigrantem” stało wkrótce po procesie? Gdzie się podział? Napisałem powyżej, że każdy, kto wyrok paryski bierze za absolutnie słuszny i zamykający całą sprawę raz na zawsze, grzeszy daleko idącą naiwnością, a i to w najlepszym wypadku, bo podejrzliwi łatwo mogą zwietrzyć złą wolę.

„Wyrazem czego właściwie — zapytano w zakończeniu jednego z listów w dość zaczepnym tonie — miała być ta wiązanka kwiatów, złożona na grobie Petlury przez redakcję *Kultury*?”. Nie jestem członkiem redakcji, a tylko dość luźnym, choć od dawna, od pierwszego, rzymskiego jeszcze numeru współpracownikiem, jednak chętnie na to pytanie odpowiem. Zdziwionym korespondentom trzeba polecić, by sięgnęli do podręcznika historii i dowiedzieli się, że Symon Petlura był polskim sprzymierzeńcem od kwietnia 1920 roku, zaś podwładne mu oddziały zatrzymały od bitwy warszawskiej i kontruderzeniu znad Wieprza, ale twarde opór ukraińskiego żołnierza nie pozwolił Budionnemu wdrzeć się w głąb Lubelszczyzny, a następnie ułatwił przeprowadzenie zwycięskiej akcji kawaleryjskiej pod Komarowem. W skali strategicznej Budionnyj wiele by nie zdziałał, ale mógłby zniszczyć spory szmat kraju. A jak sobie czerwona jazda poczyniała, wiemy ze znanej (i świetnie napisanej!) książki pt. „Konarmia”, autorstwa Izaaka Babela. Czy zdziwieni panowie o niej słyszeli?

Sprawa ta ma jeszcze jeden aspekt. Ilekroć poruszany jest ten temat, odnoszę wrażenie, które po namyśle zamienia się w przekonanie, że nie chodzi wyłącznie o Symona Petlurę. Chodzi także o zohydzenie ukraińskich dążeń niepodległościowych, o zakwestionowanie prawa tego narodu do samostanowienia. Tego się, naturalnie, nie mówi w niedwuznacznej formie, ale wniosek może być tylko jeden. Jeżeli główny bohater walk naro-

dowych był organizatorem pogromów, w których zginęły tysiące, czy choćby nawet setki Żydów, to czego można się spodziewać po takim narodzie? Ludność żydowska, uprzednio dość licznie (mimo pogromów) zamieszkująca Ukrainę prawobrzeżną, ostatecznie wyginęła z rąk hitlerowskiego okupanta.

Warto dodać, że swoje ziarno dołożyło sowieckie NKWD, uniemożliwiając Żydom zbiorowe ucieczki ku wschodowi. Na skutek tego zginęło getto witebskie, zaś Żydzi kijowscy znaleźli się w wielkiej, zbiorowej mogile w Babim Jarze. A były już próby podrzucania Ukraincom ścisłego współnictwa z Niemcami. Podobnie, jak Polakom. Na pewno nie brakowało poszczególnych, haniebnych wypadków, ale nie w powszechnej, ogólnonarodowej skali. Niekiedy, gdy się czyta liczne oskarżenia, odnosi się wrażenie, że mordowali Żydów głównie Polacy, Ukraińcy i Litwini, a także, chociaż rzadziej, Łotysze i Estończycy, natomiast Gestapo i SS-manni tylko przyglądali się tym zbrodniom z radosnym rechotem.

Niemcy inaczej „rozwiązywali” zagadnienie żydowskie w Europie Zachodniej i Środkowej, a inaczej na Wschodzie, na terenach, zajmowanych podczas pierwszej, zwycięskiej ofensywy w roku 1941. Nie zwozili Żydów wschodnich do obozów zniszczenia (*Vernichtungslager*), lecz mordowali masowo na miejscu. Ludność Wołynia nie ponosiła żadnej odpowiedzialności za egzekucję w Zdołbunowie, podobnie, jak mieszkańcy Kijowa nie zawinili Babiego Jaru, ani mieszkańcy Witebska zagłady miejscowego getta. A z tą odpowiedzialnością bywa bardzo różnie. Nam, Polakom uporczywie zarzuca się, że Oświęcim, Treblinka, Majdanek założone zostały na polskiej ziemi. No, pięknie, a Dachau, Sachsenhausen, Ravensbrück, Matthausen etc.? Tak, Żydów do tych łagrów nie zwożono. Ale ginęli przedstawiciele innych narodów. Najliczniej — Polacy.

Są to uwagi, wykraczające poza główny temat. Wróćmy do Petlury i sprawy pogromów na Ukrainie. Nie mam zamiaru twierdzić, że ukraiński antysemityzm w ogóle nie istniał. Istniał, podobnie, jak w Polsce, chociaż przyczyny i uzasadnienia były niekoniecznie takie same. Toteż należy je rozpatrywać w perspektywie historycznej. Faktem jest, że podczas wszystkich powstań kozackich, poczynając od końca XVI-go wieku, ofiarami, obok szlachty polskiej, padały skupiska ludności żydowskiej. W grę wschodziły przede wszystkim racje społeczne, zresztą krzyżujące się z religijnymi. Kto zawinił bardziej — szlachta, która wsię ukraińskie puszczą Żydom w arendę, czy owi żydowscy arendarze? Tak, czy owak, rozpalona do białości nienawiść pańszczyźnianego chłopu kierowała się przeciw jednym i drugim. Bezstronny historyk mógłby te sprawy omówić i wyjaśnić, pod warunkiem, że przystąpiłby do pracy badawczej bez nacjonalistycznych uprzedzeń takiego, czy innego zabarwienia.

Pamiętam, jakieś dobre dwadzieścia lat temu przeczytałem artykuł, którego autor, dziennikarz żydowskiego pochodzenia, za-

pewniał, że antysemityzm na Ukrainie powstał wyłącznie z winy polskich panów. Czy miał na myśli ratunek udzielany Żydom przez Jareme Wiśniowieckiego, nie mogłem się dowiedzieć.

Powiedzmy, że Żydów mordowała w tamtej epoce głównie tzw. „czern”, czyli uzbrojeni chłopscy powstańcy. Żydowscy arendarze byli utożsamiani ze szlacheckimi dziedzicami, stąd takie wydarzenia, jak słynna rzeź humańska, w której przez pokolenia dojrzewająca nienawiść wyładowała się najgwałtowniej („Lach, Żyd i sobaka — wira odinaka!”).

Naród ukraiński poniósł po niepowodzeniu walk wyzwolenieczych w latach 1918-1921 olbrzymie straty i ponosi je nadal. Eksterminacja inteligencji ukraińskiej (głównie pisarzy) zbiegła się prawie dokładnie z wielkim głodem, sztucznie spreparowanym przez Moskwę. Nie jest znana dokładna liczba chłopów, zamorzonych głodem w okresie czynnego oporu przeciw kolektywizacji, ani zesłanych w tym samym czasie do łagrów. W każdym razie straty te wyniosły kilka milionów istnień ludzkich. Zginęła najbardziej narodowo oświadczona część włościanstwa, oraz ogromna większość intelektualistów, naukowców, poetów i artystów (nazwano ten okres Rozstrzelanym Odrodzeniem — *Rostrilane Widrodzennia*).

Potem przyszły poważne straty, wywołane wojną i okupacją hitlerowską, a po zakończeniu wojny zaczęła się głucha, podziemna walka, wciąż trwająca i powodująca dalsze ofiary wśród najlepszych i najodważniejszych. Wiadomo, że w łagrach o najostrejszym, najcięższym regulaminie, rozrzuconych w lasach i bagnach Mordwinii, znaczną większość stanowią Ukraińcy. Imię Symona Petlury jest dla nich drogową ideową i relikwią narodową. Oto dlaczego redakcja *Kultury* zdecydowała się w rocznicę jego tragicznej śmierci uczynić ów gest, tak skrytykowany przez niektórych czytelników. Nieświadomych prawdy?

Wypada na zakończenie powtórzyć: robienie z Symona Petlury (głównego bohatera owych walk wyzwolenieczych i postaci symbolicznej dążeń niepodległościowych) zwykłego reżuna, który wyżywał się w mordowaniu bezbronnych Żydów, idzie dokładnie po linii imperialistycznych interesów Moskwy. Pragnę stwierdzić w sposób jak najbardziej kateryczny, że podtrzymywanie sfabrykowanej przez sowiecką propagandę oszczercejszych legendy, przy jednoczesnym wybielaniu i, co gorsza, nawet apoteozowaniu „mściciela”, Szaloma Szwarcbart, nie bardzo przystoi naszej emigracji politycznej i nie wychodzi na korzyść ani Polakom, ani Żydom.

I jeszcze jeden drobny szczegół. Któryś ze zdziwionych protestowców sprostował: „Jak wiadomo, Semen (a nie Simon!) Petlura...”. Że nie Simon, to dobrze wiadomo. Petlura pisał się Symon i tak zostało. Proszę zajrzeć do „Żywotów Świętych” i przekonać się.

Józef ŁOBODOWSKI

Kronika ukraińska

W dniach 19-23 września odbyły się w Rzymie uroczystości inaugurujące jubileusz Tysiąclecia Chrześcijaństwa na Rusi-Ukrainie (988 rok). Przygotowania do millenium potrwały więc 9 lat na modłę polskich obchodów. Punktem centralnym tych uroczystości, na które przybyli katolicy ukraińscy z całego świata, była bazylika św. Sofii i uniwersytet katolicki im. papieża Klemensa. Równocześnie obchodzono 40-lecie sakry biskupiej kardynała Slipyja i 50-lecie powstania Akademii grekokatolickiej we Lwowie i synodu biskupów w Rzymie pod przewodnictwem metropolity Andrzeja Szeptyckiego (1929 r.). W ramach rzymskich obchodów odbył się synod pod przewodnictwem kardynała Slipyja przy udziale metropolity Hermaniuka z Kanady i 9 biskupów. Uczestniczyli w nim również protoarchimandryci bazylianów, redemptorystów i studystów. Synod postanowił, że jubileusz tysiąclecia będzie obchodzony wspólnie z ukraińskimi prawosławnymi i członkami innych wyznań chrześcijańskich pod hasłem: „Za chrześcijańską Ruś-Ukrainę”. Na uroczystym koncercie w auli Piusa XII przy via della Conciliazione głównym mówcą był ojciec Werenfried van Straaten, przewodniczący centrum „Pomocy dla Kościoła w potrzebie”. Po przypomnieniu martyrologii Kościoła katolickiego na Ukrainie (zmarło w więzieniu lub obozach 10 biskupów i setki kapłanów unickich) mówca podkreślił, że kardynał Slipyja, skazany dwukrotnie w 1946 i 1954 roku, przebywał łącznie 18 lat w więzieniu i łagrze, odmawiając podporządkowania się Moskwie. Ofiarowano mu nie tylko wolność, ale i stolicę patriarchalną w Moskwie w zamian za zerwanie unii z Rzymem. O. Werenfried wystąpił przeciw „fałszywemu ekumenizmowi”, który znalazł m.in. wyraz w synodzie prawosławnym w Moskwie w 1971 roku, kiedy patriarcha Pimen „ogłosił triumfalnie anulację Unii przy wymownym milczeniu obecnych delegatów watykańskich, a co propagandy komunistycznej i prawosławna wykorzystały żeby nazwać głupcami Ukraińców uparcie trwających przy unii, której Rzym miał się jakoby wyrzec... Każdy prawdziwy wyznawca prawosławia wstydy się tego ekumenicznego skandalu... Kościół katolicki nie będzie mógł nigdy kupić pokoju z rosyjskim prawosławiem poprzez zdradę wobec pięciu milionów męczenników i wyznawców zjednoczonych z Rzymem”. Na końcu swego przemówienia, o. Werenfried złożył hołd „naszemu najdroższemu papieżowi Janowi Pawłowi II-mu, który kontynuuje tradycje Piusa XII w obronie Kościoła prześladowanego, wie co znaczy cierpieć za sprawę Chrystusową i oświadczył w Asyżu, że Kościół Milczenia przemawiać będzie ustami papieża”. O. Werenfried wyraził ponadto poparcie dla postulatów uznania patriarchatu ukraińskiego, co stanowić będzie „pierwszy krok ekumeniczny i konkretny w realizacji wielo-obrządkowości w jedności Kościoła. Na tę sprawę nie można patrzeć z punktu widzenia koniunktury i spekulacji politycznych. Uznając wasze prawa do patriarchatu daje się świadectwo uniwersalizmu Kościoła katolickiego i poszanowania partykularnego charakteru poszczególnych Kościołów wschodnich”. Po skończonym przemówieniu o. Werenfried wręczył kardynałowi Slipyji bizantyjski krzyż z XVII wieku, dany mu przez b. żołnierza Wehrmachtu, który go wyniósł w czasie wojny z płonącego kościoła grekokatolickiego na Ukrainie. „Jest to mój dar dla Was jako dla patriarchy — powiedział — niech Bóg pozwoli Wam pobożnie głosić tym krzyżem drugie tysiąclecie chrześcijaństwa narodu ukraińskiego”.

Na bankiecie zamykającym rzymskie uroczystości jubileuszowe kardynał Slipyja powiedział: „Statut patriarchalny stanowi jedyny sposób dla odrodzenia życia chrześcijańskiego na Ukrainie i odseparowania się od patriarchatu moskiewskiego. Statut ten stanowi gwarancję przeciw ambicjom tego patriarchatu i przeciw groźbie integracji z Kościołem łacińskim. Statut patriarchalny, pamiętajcie, nie umrze ponieważ nie chodzi o moją osobę. Statut ten istnieje, zdobyliśmy go i pójdziemy odważnie naprzód z Boskim błogosławieństwem”.

Radosny nastrój uroczystości rzymskich popsuła niestety, a nawet poważnie zakłóciła, niefortunna sprawa nominacji nowego metropolity ukraińskiego w Filadelfii. O tej nominacji kardynał Slipyja dowiedział się na godzinę przed wydaniem oficjalnego komunikatu watykańskiego prasowego biura!! Duchowni i wierni ukraińscy mają na pewno słuszną kwestionując niestosowną chwilę, wybraną na ogłoszenie tej nominacji i zastosowaną metodę. Trzech kandydatów przedstawionych przez kardynała Slipyja zignorowano, a nominacja ks. Myrosława Lubacziwskyja na metropolitę nie była z nim konsultowana. Posypały się masowe protesty i depesze do papieża od katolickich organizacji ukraińskich. Kardynał Slipyja odczuł ten epizod jako osobistą zniewagę, a biskupi byli słusznie rozżaleni. Na placu św. Piotra w czasie audiencji generalnej pojawiły się nawet transparenty z napisem *Morituri te salutant*. Rozgoryczeniu ukraińskich katolików nie można się dziwić. Po opadnięciu fali emocji składali winę za ten zgrzyt nie na papieża, lecz na Kongregację dla Kościołów wschodnich, która świadomie pomija uprawnienia kardynała Slipyja i hierarchii unickiej (i reguły dobrego wychowania — dodajmy — co by szkodziło zrobić grzecznościowy gest wobec sędziego kardynała). Nie można mieć o to żalu do papieża i pełni umiaru i rozsądnemu Ukraińcy obecni w Rzymie od początku nie mieli co do tego wątpliwości. Wszelkąd Kurii nie szybko będzie ukrócone i opanowane; niedobre metody nie znikną od razu, za jednym zamachem.

W czasie audiencji generalnej na placu św. Piotra, w dniu 19 września, Jan Paweł II pozdrowił grupę pielgrzymów po ukraińsku. „Moje ojcowskie pozdrowienie jest skierowane także do waszych rodzin, biskupów, kapłanów, zakonników i zakonnic, jak również do wszystkich Ukraińców, w ojczyźnie i w diasporze”. Przemawiając zaś 4 bm. w katedrze unickiej w Filadelfii powiedział m.in.:

„Paweł VI, ofiarując kamień z grobu św. Piotra na budowę tej wspólniejszej katedry, poświęconej Niepokalanemu Poczęciu Marii, chciał uczynić z tego daru widomy symbol swej miłości i szacunku Stolicy Apostolskiej dla Kościoła Ukraińskiego”. Podkreślając znaczenie różnych tradycji i obrządków w Kościele Powszechnym, papież mówił o doniosłości „szczególnego dziedzictwa duchowego, słowiańskiego języka liturgicznego, muzyki kościelnej i różnorodnych form pobożności rozwijanych w ciągu wieków, które ożywiają wasze życie i świadczą o waszym przywiązaniu do przeżywania wiary według szczególnej tradycji Kościoła ukraińskiego... Kościół ukraiński, podobnie jak inne Kościoły wschodnie, ma prawo i obowiązek, zgodnie z nauką Soboru, zachować swe dziedzictwo kościelne i duchowe. Ponieważ te szczególne tradycje wzbogacają Kościół Powszechny, Stolica Apostolska troszczy się o ich ochronę i rozwój”.

Po tych słowach uznania przyszło napomnienie: „wspólnoty kościelne, które posiadają własne tradycje, winny przestrzegać z miłością i szacunkiem pewnych szczególnych form dyscypliny, jakie mój poprzednik i ja uznaliśmy za konieczne dla dobra całej wspólnoty Chrystusowej, kierując się odpowiedzialnością pasterską wobec Kościoła Powszechnego”.

W czasie audiencji generalnej w dn. 26 września (kiedy pojawiły się

transparenty z kontestacyjnymi napisami) Jan Paweł II do młodej Ukrainki, wręczającej mu zbiorowy protest przeciw nominacji o której wyżej referowałem, powiedział: „Trzymajcie się!”.

D. MORAWSKI

P.S. Do mojej korespondencji w nr. 9-tym („nie *Ostpolitik*, lecz *Ostmission*”) na str. 44-tej zakradł się błąd. „Kongregacja mianuje biskupów dla katolików ukraińskich w diaspory bez konsultowania...” — mianuje ich papież, kongregacja dla Kościołów wschodnich wysuwa jedynie kandydatury.

D. M.

Kronika niemiecka

Nakładem Sekretariatu Konferencji Biskupów Niemiec ukazała się książka zawierająca wszystkie kazania i przemówienia, jakie papież Jan Paweł II wygłosił w Polsce w czasie swojej niedawnej pielgrzymki (*Predigten und Ansprachen von Papst Johannes Paul II. bei seiner Pilgerfahrt durch Polen*, Bonn, 1979, str. 122). ■ Gospodarka zachodnioniemiecka oczekuje, że najpóźniej w 1984 roku zacznie korzystać z benzyny wyprodukowanej z węgla. W Zagłębiu Saary ma się wytwarzać rocznie 2 mld. litrów wysokooktanowej benzyny. ■ Dwóch 16-letnich Niemców, którzy stanęli przed sądem we Frankfurcie nad Menem, oskarżeni o malowanie w miejscach publicznych hasł i znaków nazistowskich, zostali skazani na przymusową lekturę Wiesława Kielara *Anus Mundi. Pięć lat w Oświęcimiu*. Sąd nakazał również skazanym napisanie w ciągu trzech miesięcy streszczenia głośnej publikacji. ■ Korespondentka zachodnioniemieckiej agencji DPA: „Przemówienie premiera Jaroszewicza w Piotrkowie Trybunalskim potwierdziło smutną prawdę o tegorocznych zbiorach — zebrano 4 mln. ton zboża mniej niż rok temu. W latach 1971-1978 Polska musiała importować 51 mln. ton zboża. W tym roku pokrycie niedoboru wymagać będzie aż 9,5 mln. ton”. ■ *Frankfurter Allgemeine Zeitung*: „Podczas gdy na początku lat 60-tych przeciętny okres czekania na telefon w Warszawie wynosił trzy lata, teraz trzeba będzie czekać przeciętnie lat trzynaście”. ■ Karin Wolff, tłumaczka z NRD, została laureatką nagrody *Polskiego PEN Clubu* przyznanej jej za prace przekładowe literatury polskiej na język niemiecki. Tłumaczka ta przełożyła m.in. utwory M. Dąbrowskiej, W. Reymonta, W. Tatarkiewicza i A. Gołubiewa. ■ Od 1950 do 1978 — píše agencja DPA — przybyło do RFN łącznie ze wschodnich i południowo-wschodnich państw europejskich 961.174 przesiedleńców. ■ *Radio Warszawa* nadaje tygodniowo 31,5 godz. audycji w języku niemieckim. Długość programu tygodniowego kolońskiej *Rozgłośni Deutschlandfunk* w języku polskim wynosi 17,5 godz. ■ Z okazji 40 rocznicy wybuchu drugiej wojny światowej Kościoły ewangeliczne w NRD i RFN, po raz pierwszy od swego rozdziału organizacyjnego wydały wspólne oświadczenie skierowane do gmin kościelnych i do opinii publicznej. Oświadczenie nawiązuje do rocznicy wybuchu wojny ogłosili również katolicy biskupi Republiki Federalnej. ■ Władze RFN obliczają, że w samej Nadrenii-Westfalii pracuje nielegalnie ok. 3 tys. obywateli PRL.

Adresy w Niemczech Zachodnich, pod którymi można otrzymać pracę „na czarno” są sprzedawane w Polsce po kilka tysięcy złotych. ■ Telewizja zachodnioniemiecka nadała zrealizowaną specjalnie dla niej filmową opowieść Krzysztofa Zanussiego pt. *Wege in der Nacht (Drogi w nocy)*. Film ilustruje stosunki panujące na ziemiach polskich w okresie okupacji hitlerowskiej. ■ *Auswärtiges Amt* powiadomił, że rząd RFN postanowił przekazać władzom PRL 18 dzieł sztuki, zakupionych za sumę 2 mln. marek, stanowiących dar dla Zamku Królewskiego w Warszawie. ■ Wytwórnia płyt gramofonowych *Cristal* w Kolonii poinformowała, że w ciągu jednego tygodnia sprzedała ponad 70 tys. sztuk płyty długogrającej, na której utrwalało spotkania Jana Pawła II z młodzieżą w Polsce. ■ Prawo do uzyskania renty wypadkowej z RFN mają osoby stale zamieszkałe na obszarze PRL, które stały się invalidami w związku z wypadkiem przy pracy wykonywanej na obecnym obszarze RFN i jeżeli wypadek miał miejsce przed 1 maja 1976 roku. Powyższe zasady obowiązują także w odniesieniu do Berlina Zachodniego. ■ W Toruniu odbyła się konferencja na temat *Drogi do porozumienia — wychowanie dla pokoju w procesie stosunków PRL-RFN*. W konferencji zorganizowanej przez *Polski Instytut Spraw Międzynarodowych i Fundację im. Friedricha Eberta (SPD)*, uczestniczyło blisko 40-osobowe grono członków wspólnej komisji polsko-zachodnioniemieckiej d/s rewizji podręczników szkolnych, działającej pod patronatem UNESCO. Reżym warszawski uzależnia dalsze postępy w dziedzinie wymiany młodzieżowej od wcielenia w życie zaleceń w sprawie weryfikacji podręczników szkolnych. ■ W Berlinie Zachodnim mieszka 2,4 tys. osób posiadających polskie obywatelstwo. ■ Od dłuższego czasu kursują pogłoski, jakoby rząd PRL zamierzał zrezygnować ze wstępnej umowy zawartej z RFN odnośnie kredytu w wysokości 2,5 mld. marek na uruchomienie na Śląsku wielkich zakładów gazyfikacji węgla. ■ W Bonn ogłoszono dane za rok 1978 dotyczące wymiany handlowej RFN z europejskimi krajami komunistycznymi. Wartość obrotów wzrosła o 4,2 proc. i wynosi ponad 21 mld. marek. Największym partnerem RFN pozostał Związek Sowiecki (obroty — 11.707 mld. marek), na drugim miejscu jest Polska, której obroty wyniosły 4,7 mld. marek. ■ Podpisano umowę między *Bankiem Handlowym* w Warszawie a konsorcjum banków zachodnioniemieckich (*Dresdner Bank, Bank für Gemeinwirtschaft, Commerzbank i Deutsche Bank*) na podstawie której PRL otrzyma 750 mln. marek na uruchomienie wydobycia w Polsce wanadium i ilmenitu. Inne konsorcjum (również związane z *Dresdner Bank*) ma udzielić Polsce pożyczki na 100 mln. marek. ■ Wychodzący w Kolonii dwumiesięcznik *Spuren* opublikował krótką antologię młodych polskich poetów, na którą złożyły się utwory Juliana Kornhausera, Leszka Szarugi, Waldemara Ziemińskiego, Ryszarda Krynickiego, Adama Zagajewskiego, Stanisława Barańczaka, Stanisława Esden-Tempskiego i Antoniego Pawlaka. *Młoda polska liryka współczesna* została poprzedzona wprowadzeniem napisanym przez Mario Readinga i Waldemara Ziemińskiego. ■ W Lucernie odbyła się kolejna sesja *Europejskiej Konferencji Praw Człowieka i Samostanowienia Narodów*, grupująca posłów do parlamentów, działaczy politycznych, gospodarczych i społecznych Szwajcarii, Austrii i Republiki Federalnej Niemiec. Tegoroczna sesja, na którą przybyło 120 osób, poświęcona była łamaniu praw ludzkich i obywatelskich w Sowiecie 1939 roku. Stanowisko polskie w tych sprawach referował Ludwik Frendl z Monachium, przewodniczący *Polskiej Rady Narodowej* w RFN. ■ Zachodnioniemiecka firma *Herbert Kannegiesser* otrzymała zamówienie na dostawę do Związku Sowieckiego pełnego wyposażenia pralni, która będzie zainstalowana w moskiewskiej wiosce olimpijskiej. Wartość kontraktu wynosi 11 mln. marek. ■ Firma *Daimler-Benz* uruchomi na głównych szlakach z Leningradu, Brześcia i Kijowa do Moskwy 11 stacji obsługi

samochodów gości, którzy przyjadą na Olimpiadę. W Moskwie zainstalowany będzie skład części zamiennych. ■ Sekretarz parlamentarny frakcji SPD w Bundestagu, Gerhard Jahn, wypowiedział się za powołaniem urzędu pełnomocnika d/s porozumienia z Polską. ■ Burmistrz Hanoweru Schmalstieg (SPD), zaproszony do udziału w zjeździe Związku Ziomkostwa Ślązaków uchylił się od przybycia, za co został zaatakowany przez polityków uchodźczych Hupkę i Czaję (CDU). SPD podziela pogląd Schmalstiega, że motto zjazdu *Wolność i Prawo do Śląska*, obecnie, w 34 lat po wojnie nie da się pogodzić z rzeczywistością i celami polityki rządu federalnego. ■ Bożena Jankowska z Olsztyna zdobyła pierwszą nagrodę (8 tys. marek) w rozpisany w Monachium konkursie na projekt plakatu *Karnawał 1980*. ■ W Wydawnictwie Poznańskim ukazała się książka Ludwiga Elma pt. *Nowy konserwatyzm. Ideologia i polityka prądów reakcyjnych w RFN*. ■ System partyjny Republiki Federalnej Niemiec — nosi tytuł pracy Zbigniewa A. Maciąga (*Państwowe Wydawnictwa Naukowe*, Warszawa, 1979, str. 347). ■ B. korespondent *Życia Warszawy* w stolicy RFN, Edward Dylawski napisał *Bońskie ABC* (*Wydawnictwo Iskry*, Warszawa, 1979, str. 346). ■ Władze kościelne w Westfalii finansują już trzecie wydanie *Nowego Testamentu* w Polsce; postanowiono przeznaczyć na ten cel 90 tys. marek. Do Warszawy zostanie wysłany specjalny papier na wydanie *Nowego Testamentu* w nakładzie 35 tys. egzemplarzy. Pierwsze wydanie z kolorowymi ilustracjami ukazało się w nakładzie 25 tys. egzemplarzy i w bardzo krótkim czasie zostało rozchwytane. To samo stało się z drugim wydaniem. Po ukazaniu się każdego wydania przed księgarnią w Warszawie tworzyły się długie kolejki kupujących. ■ Deputowany do Bundestagu Herbert Hupka skrytykował publicznie fakt udzielania przez przedstawicielstwa konsularne PRL członkom Związku Polaków ZGODA tzw. polonijnej zniżki przy obowiązkowej wymianie dewiz przy podróżach do Polski. Członkowie ZGODY są zobowiązani do wymiany 13 marek za dzień pobytu, inni turyści muszą wykupować bony za 30 marek. W ten sposób, już od wielu lat proreżymowa ZGODA powiększa ilość członków, wielu z nich rekrutuje się spośród najnowszych przesiedleńców. ■ Fundacja Roberta Boscha w Sztutgarcie ufundowała w latach 1976-1977 dwadzieścia całorocznych stypendiów dla polskich naukowców i studentów. Ostatnio Fundacja postanowiła poszerzyć program stypendialny i objąć nim lektorów i nauczycieli gimnazjalnych uczących języka niemieckiego w Polsce. ■ Staraniem wydawnictwa Alfred Metzner i Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, ukazała się równolegle w dwóch wersjach językowych obszerna praca zbiorowa pt. *PRL-RFN. Bilans stosunków, problemy i perspektywy ich normalizacji* (*Bundesrepublik Deutschland-Volksrepublik Polen. Bilanz der Beziehungen und Perspektiven ihrer Normalisierung*, Alfred Metzner-Verlag, Frankfurt, 1979, str. 584). Książka, na którą składają się prace 20 niemieckich i polskich autorów wywoła zapewne szeroką dyskusję. Powrócimy do tego tematu w jednej z następnych *Kronik*.

Andrzej J. CHILECKI

Zeszyty historyczne

50-ty Numer "Zeszytów Historycznych"

W 1962 roku Instytut Literacki rozpoczął wydawanie *ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH* poświęconych NAJNOWSZEJ HISTORII POLSKI. Była to decyzja trudna gdyż nie dysponowaliśmy i nadal nie dysponujemy żadnym aparatem naukowym i pracujemy w warunkach niemal chałupniczych. Podjęliśmy jednak tę decyzję z chwilą gdy zorientowaliśmy się, że nie tylko młode, ale i średnie pokolenie zupełnie nie zna historii Polski i że ta ignorancja z każdym rokiem się pogłębia.

Historia Polski jest systematycznie zakłamywana nie tylko przez Polskę Ludową, ale także przez pokutującą ciągle „chołojniejszczyznę” czy „wieczory pod lipą” w najlepszej tradycji sienkiewiczowskiej „dla pokrzepienia serc”. Zależało nam nie tylko na możliwie obiektywnych relacjach, ale także na nieuniemożliwieniu poruszania spraw drażliwych, wstydlivych czy kontrowersyjnych, tak aby młode pokolenia Polaków nie tylko znały prawdę ale również uczyły się na błędach przeszłości. W jakim stopniu to się nam udało? — ocena należy do Czytelników.

Chcąc ten skromny jubileusz odnotować przyznajemy jednorożowo trzy nagrody po F.4.000,00 każda niżej wymienionym historykom:

— Janowi M. CIECHANOWSKIEMU, autorowi „Powstania Warszawskiego” (wydanie polskie „Odnova”, Londyn, 1971, wydanie w języku angielskim Cambridge University Press w r. 1974). Jan Ciechanowski jest niestrudzoną — i jakże kontrowersyjnym — badaczem najnowszej historii, specjalnie w archiwach angielskich;

— Prof. Januszowi K. ZAWODNEMU za książki „Death in the Forest” (wyd. University of Notre Dame, 1962) oraz „Nothing but honour” (Stanford University Press, 1978). O Januszu Zawodnym pisał w Nr. 49-tym *Zeszytów Historycznych* Jan Kowalik; w bieżącym numerze *Kultury Czytelnicy* znajdą o nim artykuł Aleksandra Gelli, przedstawiający rolę i znaczenie jakie ta książka odegrała;

— i wreszcie historykowi krajowemu, którego dorobek naukowy jest wyjątkowo cenny mimo przeszkód cenzuralnych i nawet represji. Nazwisko i uzasadnienie tej nagrody podamy wtedy, gdy nie będzie to pociągało za sobą niebezpieczeństwa dla Autora. Jest więc to niejako nagroda *in pectore*. Chcielibyśmy, aby było to precedensem dla kilku — bardziej od naszych prestiżowych — nagród emigracyjnych, których jurorzy przywiązują chyba zbyt wielką wagę do wymogów formalnych i do niezadrażniania stosunków z PRL.

50-ty Zeszyt Historyczny ze względu na zwiększoną objętość ukaże się w końcu listopada.

ZAPRENUMERUJ

ZESZYTY HISTORYCZNE

Jedyny, niezależny kwartalnik poświęcony najnowszej historii Polski.

Dziś, kiedy średnie i młode pokolenie nie tylko w Polsce ale i na Zachodzie, coraz mniej wie o historii swego narodu, albo nieświadomie ulega jej fałszowaniu w Kraju lub równie szkodliwym mitom patriotycznym na Zachodzie — istnienie tego wydawnictwa jest niewątpliwie koniecznością. Niestety — choć nie brak nam komplementów czy słów uznania — brakuje ciągle dostatecznej ilości prenumeratorów, aby nie tylko utrzymać ale i rozbudować **ZESZYTY HISTORYCZNE**.

Przy rosnących kosztach druku i stosunkowo niskiej cenie tylko kilkuset nowych prenumeratorów może być prawdziwą pomocą.

Roczna prenumerata wynosi F.160 (\$ USA 37; \$ Can. 44) a dla prenumeratorów **KULTURY** F. 140 (\$ USA 33; \$ Can. 40), za 4 zeszyty, zawierające każdy 240 stron.

Wołanie na puszczy

Batalia o czas zmarły, a teraz zmartwychwstający

Warszawa, wrzesień.

Nieraz już pisano i mówiono o tym, że dożyliśmy czasów, w których sprawdziły się prorocтва Orwella, mimo to nie w pełni zdajemy sobie sprawę, jak zdumiewająco trafne były te prorocтва. Na przykład owe o Ministerstwie Archiwów, które zajmuje się korygowaniem historii wstecz, usuwaniem starych, niewygodnych dokumentów, drukowaniem egzemplarzy dawnych pism w nowej wersji. Historia jak wszystko inne jest narzędziem polityki, a ta — narzędziem utrzymania władzy. Stąd najważniejszym instrumentem działania na społeczeństwo jest w kraju komunistycznym cenzura, bowiem władza trzyma się tutaj na społecznym niepoinformowaniu, dzięki któremu oceniana wersja historii jest zarazem stałym urabianiem uległych mózgów i ich rozbijaniem.

Przeżyliśmy to wszystko w Polsce, skondensowane do nieprawdopodobnego absurdu, podczas uroczystych obchodów 40-tej rocznicy Września 1939. Był to wrzesień arcyosobliwy: bez jednego dnia, bez 17-go i jego konsekwencji. Jeszcze do niedawna w serialach telewizyjnych i filmach robiono aluzje do paktu Ribbentrop-Mołotow i tragicznej Odysei Polaków ze Wschodu, teraz zadecydowano najwyraźniej, że nadszedł czas, aby rzecz ta zniknęła z historii absolutnie. Obchody wrześniowe urządzone uroczyste i drobiazgowo, omawiano dokładnie i obiektywnie każdą bitwę i potyczkę z Niemcami, chwali się bohaterską polską armię i wielu jej dowódców, pokazuje w telewizji naocznych świadków i uczestników walk, dyskutujący publicznie historycy zaklinają się, że będą mówić całą prawdę i tylko prawdę, profesor Włodzimierz T. Kowalski, naczelny selekcjoner najnowszych dziejów Polski, patrzy na nas z ekranu jeszcze bardziej ponuro niż zwykle — i wszyscy jak jeden mąż przemilczają datę 17 września 1939 oraz jej złowieszcze skutki dla całej polskiej Kampanii

i polskich wojennych losów. Widać uznano, że po 40-tu latach, w okrągłą rocznicę, rzecz dojrzała do wymazania, choć jeszcze niedawno tu i ówdzie figurowała. Ale teraz koniec, skoro jedni nie wiedzą, drudzy pomarli, a trzeci chcą milczeć i zapomnieć. Prostawanie *ex post* błędów historii — rzecz chwalebna...

Pytanie, skąd Orwell wiedział, że tak będzie? Widocznie w marksizmie aplikowanym przez Rosjan (znał go z Czerwonej Hiszpanii) zawiera się postulat zgodności z historią, a więc nieprawidłową historię trzeba zmienić. Wersja prawidłowa brzmi tak: kapitalistyczni imperialiści w postaci Hitlera napadli na Polskę a ludowi, socjalistyczni demokraci (w postaci Rosjan) tęże Polskę przed Hitlerem ocalili. Nie było tylko dwóch lat, od 23 sierpnia 1939 do 21 czerwca 1941, nie było tajnej klauzuli o podziale Polski wzdłuż Narwi, Wisły i Sanu (zmienionej 28 września), nie było dnia 17 września, walk i internowania polskiej armii, nie było mowy Mołotowa, wywózki oficerów i setek tysięcy cywilów, zsyłek i Katynia, nie było dwuletniej pomocy rosyjskiej dla Hitlera w postaci nafty, zboża, przyjaźni. Te dwa wstydlive lata przeskadzały, nie są już nikomu potrzebne, a prawda bezużyteczna nie jest już prawdą!

Śledząc z detektywistyczną dokładnością naszą wrześniową prasę, znalazłem tylko dwa drobniutkie echa wschodnich wydarzeń. *Polityka* cytuje dyskretnie pismo *Krasnaja Zwiezda*, które, odpierając „imperialistyczne fałszerstwa”, stwierdza, że pakt z Niemcami 1939 był konieczny, aby dać Rosji czas dla „wzmocnienia i udoskonalenia obrony kraju” (o okolicznościach paktu ani słowa). Zaś w piśmie *Radio i Telewizja* pod datą 18 września kronikarz dziejów polskiej radiofonii podaje: „Nasłuch odbiera oficjalny komunikat rządu polskiego, że „wobec zajęcia przez ZSSR stanowiska neutralnego w wojnie polsko-niemieckiej, armia polska nie prowadzi działań wojennych przeciwko wojskom radzieckim”. Komunikat ten najwyraźniej jest fałszywy, ale o tym w notatce ani słowa... *Sapienti sat*.”

Od dawna już nikt z nas „starych” nie protestował (zresztą nie miał gdzie) przeciw zmienianiu historii, od 35 lat pisarze, dziennikarze, profesorzy, nie mówiąc o politykach, zgodzili się na PRAWDĘ CZĘŚCIOWĄ, na konwencję umownej autocenzury — powszechna autocenzura jest psychologicznym sukcesem uporczywie stosowanej cenzury. Podobno kiedyś Chruszczow, sam zresztą winowajca masowych wywózek Polaków, chciał wyjaśnić sprawę Katynia, jako jeszcze jedną stalinowską zbrodnię, ale Gomułka się nie zgodził. Rozumiem go, ileż rzeczy trzeba by odkłamać wstecz, ileż z tym kłopotu dla wszystkich, ileż pytań: wiedzieli czy nie wiedzieli?! Ileż wstrząsów, które zachwiać by mogły misternie od lat budowaną przez cenzurę naszą psychiczną konstrukcję. Lepsze jest milczenie, zmowa milczenia. — Musimy o tym wszystkim zapomnieć! — powiedział mi kiedyś na premierze „Nocy listopadowej” pewien minister PRL — miał na myśli wzgląd na „rację stanu”. Zapomnieniu zdawał się sprzyjać fakt, że młodzież szkolna jest w dziedzinie historii najnow-

szej żenująco ignorancka, nad czym nieraz obłudnie ubolewa prasa. Nikt się więc nie upomni o przeszłość. „Gdzie są śniegi z tamtych lat?”

A tymczasem — właśnie młodzież się upomniała! Młodzież nielegalna, drobniutkie elity, mało znane tajne pisemka — ale płomyczek zapalony zapałką może już nigdy nie zgasnąć i zamienić się kiedyś w duży ogień. Przygrywkę parę miesięcy temu dał w piśmie *Głos* niejaki pan Jarzewski, który w świetnie udokumentowanym i napisanym artykule zarzucił sanacyjnemu rządowi, że nie zajął żadnego stanowiska wobec wkroczenia 17 września Armii Czerwonej, co zasiało ogromną dezorientację w wojsku i w całym kraju, a także na świecie. Święta to prawda. Wkroczenie Rosjan przeżyłem między Kowlem a Włodzimierzem w 9-tym pułku piechoty Legionów z Zamościa. Dezorientacja i zamęt panowały absolutne, dopiero dowódca pułkownik Czajkowski zdołał zebrać wojsko z powrotem, zapewniając nas, że wojna z Niemcami trwa, a nie należy przesądzać „w jakim charakterze wkroczyli Rosjanie”. Zostawiając nam w ten sposób odrobinę nadziei, prowadził oddziały na Zachód, przez Chełm i Hrubieszów, w stronę „frontu”. Dopiero pod Hrubieszowem obserwowany nieustannie przez sowieckie samoloty i ostrzeliwany po lasach przez ukraińskich chłopów pułk rozpadł się i rozszedł do domów. Zaś płk Czajkowski, z nadejściem Czerwonej Armii też przebrał się w cywila i ruszył do Warszawy, dzięki czemu tylko jest dziś w Kanadzie a nie w Katyniu...

Artykuł Jerzewskiego wywołał podziemną lecz namiętną dysputę. A 17 września nastąpiły w Warszawie manifestacje młodzieży, napisy na sowieckiej misji handlowej, ROPCiO zorganizował demonstrację przed pomnikiem Nieznanego Żołnierza, a KOR wydał odezwę o konieczności piętnowania i karania *wszystkich* zbrodni wojennych na Zachodzie czy Wschodzie. Władze zadrżały przed gniewem Sojusznika i poaresztowały wielu młodych ludzi na sakramentalne 48 godzin, jednego nawet skazano „za chuligaństwo” na 2 miesiące. Ale także pojawił się trwały dokument: Niezależna Oficyna Wydawnicza wydała zbiór przemówień Mołotowa i Hitlera oraz radzieckich komunikatów wojennych z września 1939.

Lektura niesłychana, choć przecież się o tym wiedziało. Pomijam już triumfalne wykazy wziętych do niewoli „w bohaterskich wyzwoleniczych walkach” polskich żołnierzy i zdobytej broni, pomijam radość Mołotowa, że Polska, pokraczny twór (*urodliwe dietyszcze*) traktatu Wersalskiego przestała istnieć. Ale gdy tenże Mołotow gromi zachodnich socjaldemokratów, że popieją swe imperialistyczne rządy, które wydały ZBRODNICZĄ, raideologiczną wojnę Hitlerowi, podczas gdy hitlerizm jest zdrowym ruchem narodu niemieckiego, pokrzywdzonego przez Wersal, człowiek zaczyna się szczypać w rękę. Toć Mołotow najwyraźniej WIERZY w to co mówi, a więc marksowsko-rosyjskie kształtowanie i interpretowanie (cenzurowanie) historii paczy nie tylko mózgi słuchaczy, lecz również mózg paczącego! I co po-

myślał sobie ten człowiek, gdy Hitler uderzył na Rosję? A co myślał pertraktując o pomoc z Anglikami i Amerykanami?! A co oni myśleli? Pewno nic — przyzwyczajeni, że na Wschodzie się kłamie.

Rosjanie uważają kłamstwo za normalną metodę polityczną. Amerykanie, szlachetni, potępiają kłamstwo ale w praktyce często o tym zapominają. Anglicy ani kłamstwa nie ganią, ani go nie chwala, robią jak muszą, lecz niczego nie zapominają. A my, zwłaszcza w kraju, żyjący w określonej polityce, nią uwarunkowani? Ktoś mi powiedział, że gdyby generał Sikorski był Anglikiem, to by w 1943 puścił sprawę Katynia mimo uszu, nie reagowałby, ale i nie zapomniał (tak doradzał mu Churchill). Stało się odwrotnie: zareagowaliśmy a dziś w kraju, milczącą umową „starych”, zapominamy — jedni, bo chcą, drudzy, bo muszą, trzeci, bo nie wiedzą. Że Rosjanie nie wyrzucili dziś wrześnieowego orędzia Mołotowa ze swej historii, to jasne, to w duchu ich koncepcji polityki. Ale my, co mamy robić? Czy młodzież ma rację czy starzy, którzy wolą zapomnieć? O Dżilasie mówiono, że wyleciał za burtę, bo wołał prawdę od polityki. *Politique d'abord*. „Kłamałem aby żyć”. Czy cały naród może kłamać? A czy czasami powinien? I mianowicie kiedy? Podobno Anglicy, choć wszystko pamiętają, dla celów pedagogicznych też przemilczają czy upiększają pewne fragmenty swej historii. Co ważniejsze: życie czy prawda, teraźniejszość czy historia, racja bytu czy racja moralna? I kto to ma wybierać? Czy ma wybrać za nas, czy my wszyscy musimy?!

Wiem, że czytelnicy *Kultury* wzdygną się na te pytania. Sam się też wzdygam — a mieszkam w Warszawie i jestem w końcu zaprzyjaźniony ze spragnionymi historii grupkami młodzieży — starzy mi zbrzydli. Lecz pytania owe mnie gnębią, choć odpowiedzi nie oczekuję. Któżby zresztą jej udzielił, biorąc odpowiedzialność?

KISIEL

Wolna trybuna

Polacy i Żydzi - podsumowanie dyskusji

Rafaël SCHARF

Rzetelny i wnikliwy artykuł Andrzeja Szczypiorskiego w majowym numerze *Kultury* pt. „Polacy i Żydzi”; poruszające do głębi myśli i zebrane cytaty Andrzeja Koraszewskiego pod nagłówkiem „Holocaust a Sprawa Polska” w tymże numerze; list do Redakcji czytelnika z Holandii, który — dotknięty do żywego antypolskim wybuchem Begina w wywiadzie telewizyjnym — woła o „znalezienie dróg i sposobów, które by jednak spowodowały bardziej obiektywne i wyważone stanowisko w tej nie-szczęsnej sprawie kierowniczych kół żydowskich w świecie i w Izraelu”; ważka wypowiedź podpisana przez Zespół Problemy Polskiego Porozumienia Niepodległościowego w londyńskim piśmie *Tydzień Polski* z 9 czerwca 1979 — wszystko to są materiały, które, zda się, wskazują na nowy klimat dyskusji. Zachęca mnie to, aby do tej bolesnej i skomplikowanej sprawy dorzucić swe trzy grosze, szczególnie że dla przyszłego historyka — polskiego i żydowskiego — świadectwo współczesnych świadków, pokolenia okresu niepodległości i okupacji, będzie najważniejsze. Wszak o nic innego już, niestety, nie chodzi, jak tylko o sprawiedliwy sąd historii.

Odwieczne wypowiedzi na ten temat cechowała, obustronnie, nieszczerłość. Z reguły prawdę mówią sobie tylko ludzie, którzy mogą sobie spojrzeć w oczy z tej samej płaszczyzny. W Polsce Niepodległej argument publiczny był nieodłączny od polityki: prasa codzienna, jak to bywa, szukała poklasku ulicy i partyjnej

korzyści. Prasa żydowska w języku polskim (tj. *Nasz Przegląd*, *Chwila*, *Nowy Dziennik*) musiała liczyć się ze słowami, aby sytuacji nie zaognić a zarazem nie narażać się cenzurze. Krępowała ją też pewna dwuznaczność syjonistycznej postawy: zachęcanie do wyjazdu do Palestyny gwoździ odbudowy ojczyzny — i obrona praw obywatelskich w diaspory. Pamiętam taki patetyczny nagłówek, który żywo odzwierciedla ówczesny nastrój: „Polska, czy oni tego chcą czy nie, to także my!”.

W Polsce Ludowej, gdzie — jak pisze Szczypiorski — „państwo redaguje za pośrednictwem swych cenzorów każdy skrawek zadrukowanego papieru” — nigdy nie było ani nie ma mowy o jakimkolwiek obiektywnym poglądzie na te sprawy; niektóre z najgłupszych i najgrubszych niemi szytych gryzmołów właśnie tam się wykocyły. Może i tam kiedyś zaświta świadomość jakie zubożenie w życiu narodu spowodowała zagłada i wygnanie Żydów. Bądź co bądź jest to w naturze systemu, że zmiany kursu zachodzą przez noc, dzisiejszy dogmat jest jutrzejszym błędem i omyłką, a pismak co dziś wedle instrukcji szkalował, jutro przełknie i pochwali.

Na emigracji można sobie wzajemnie pozwolić na szczerość, bez ubocznych motywów. Co więcej, pobyt na emigracji uczulił, zda się, polską wrażliwość na pewne podstawowe rysy żydowskiej psychy — rysy trudne do zrozumienia „z drugiej ręki”.

We wspomnianych artykułach, które dają asumpt do niniejszego przyczynku, jest zawarte domniemanie, że propagowanie mitu o niepoprawnym, wojującym antysemityzmie Polaków jest jakąś programową, przemyślaną akcją kierowniczych kół żydowskich. To znowu jedna z teorii „konspiracji”, która maskuje istotny stan rzeczy. Ten zbiorowy rzeczownik „kierownicze koła żydowskie” (jak starzy „Mędrcy Syjonu”) sam w sobie jest mitem, a przywódcy tych rozmaitych instytucji, organizacji i partii żydowskich po całym świecie, którzy sobie najczęściej usurpują prawo do przemawiania w cudzym imieniu, nie mają uzgodnionych celów i przekonań, przeciwnie, tak jak w innych społecznościach, są ze sobą skłócenici i w wiecznym konflikcie.

Nie trzeba się uciekać do teorii konspiracji. Jest faktem, że pośród Żydów, na obu półkulach, istnieje szeroko rozpowszechnione i głęboko zakorzenione przeświadczenie, że Polacy są na ogół antysemitami. Żydzi, którzy w słowie czy piśmie dają wyraz antypolskim sentymentom nie są rzecznikami jakiegokolwiek przemyślanej akcji (łatwiej byłoby wówczas temu przeciwdziałać), ale spontanicznie wyrażają swoje przekonania. Jeśli tego nie tłumaczyć

po prostu żydowską złośliwością i perwersją, wypada ludziom dobrej woli szukać przyczyn dla których właśnie taki a nie inny stereotyp Polaka zarył się w żydowskiej świadomości. Dociekać, zrozumieć dlaczego tak jest — to wstępne kroki ku lepszej drodze.

Źródło tego stanu rzeczy leży w układzie stosunków polsko-żydowskich w Polsce Niepodległej między wojnami; jest tysiąc-krotnie wzmożone doświadczeniami pod okupacją i niejako przypieczętowane wydarzeniami 1968 roku.

Osąd, że Polacy *per se* byli i są niepoprawnymi antysemitami jest — jak mówi Szczypiorski — sięgając po przymiotnik najbardziej w jego oczach potępiający — po prostu głupi. Osąd, godzi się dodać, także głęboko krzywdzący nie tylko dla tysięcy szlachetnych i przyjaznych Żydom ludzi, ale i dla tych obojętnych — dziś już chyba większość ludności w Polsce — których te sprawy nie grzeją ni ziębią i którzy prawdziwego Żyda w życiu nie widzieli. Żydzi, którzy sami są ofiarą „stereotypowania” winni być szczególnie ostrożni w operowaniu nieselektywną klasyfikacją. Co więcej — takie „załatwienie” sprawy zatrzaskuje drzwi do owocnej dyskusji i stępia ostrze prawdziwych zarzutów.

Jeśli chodzi o sytuację Żydów w Polsce między wojnami, trzeba patrzeć na to w kontekście ówczesnych warunków ogólnych i tego co się działo na świecie, dookoła. Polacy antysemityzmu nie wymyślili, jest to zjawisko odwieczne, skomplikowane, wieloplanowe i — w pewnym sensie — tajemnicze, żadna z analiz wyczerpująco go nie wyjaśnia. Teza marksistowska, że antysemityzm ma podłoże wyłącznie ekonomiczne i że w społeczeństwie bezklasowym nie będzie istniał, okazała się złudna (choć może trafniej byłoby powiedzieć, że to wizja społeczeństwa bezklasowego okazała się złudna). Teza syjonizmu, że źródłem antysemityzmu jest stan bezdomności Żydów, brak własnej ojczyzny, też — jak się okazuje — problemu w całości nie rozwiązuje. Faktem jest, że mniejszości etniczne, jeśli są cyfrowo pokazane, współzawodniczące i łatwo rozpoznawalne, stwarzają dla państwa trudne problemy. Tolerancja i mądrość polityczna konieczne do łagodzenia (nie mówię o rozwiązaniu) tych problemów należą w świecie do niezwykle rzadkości. Różnice kulturalne i religijne, które w bardziej światłych czasach uważać się będzie

za wartości godne kultywowania, jako że wzbogacają one sumę ludzkiego dorobku, były i są w świecie pretekstem do antagonyzmu i dyskryminacji.

W Polsce między wojnami wszystkie te warunki, które powodują zaognienie problemów mniejszości, istniały w klasycznej formie. Na domiar złego, teologiczny anty-judaizm, nauka z ambony o winie Żydów za śmierć Chrystusa była codzienną pożywką — jest to niezawodnie jeden z głównych elementów, który antysemityzm krzewi i podsyci.

Nieproporcjonalnie wysoki udział jednostek pochodzenia żydowskiego w ruchu radykalnym i rewolucyjnym, w czasie gdy przynależność do partii komunistycznej była przestępstwem, również był elementem dysharmonii. Proces asymilacji dostępny był stosunkowo małej garstce. O asymilacji większości nie mogło być mowy, nie tylko z uwagi na obiektywne trudności takiego procesu, ale i dlatego, że przyniatająca większość społeczeństwa żydowskiego — zarówno jego odłamu religijnego jak i syjonistycznego — asymilacji zasadniczo się sprzeciwiała i ją zwalczała.

Nowe państwo, po stu pięćdziesięciu latach pod zaborami, przy paraliżującej społecznej i etnicznej strukturze, przy gospodarczym zubożeniu, predyspozycji do anarchii i braku tradycji demokratycznych było skonfrontowane z trudnościami od których bieleje włos. Powstały polityczne ugrupowania, które główny swój program opierały na antysemityzmie. Biorąc to wszystko pod uwagę, można ubolewać, lecz nie można się dziwić, że antysemityzm w ówczesnej Polsce stopniowo wzrastał.

Żyd polski, w retrospekcji, ma prawo się skarżyć na dyskryminację, na ekscesy, na próby bojkotu gospodarczego, na getto ławkowe, na judzenie prasy, na Przytyk i Myślenice, ale godzi się pamiętać, że w porównaniu z tym co się działo w Niemczech po 1933 roku, życie żydowskie w Polsce było idyllą. Była względnie wolna prasa, była żydowska reprezentacja w Sejmie i Senacie, stosunkowo nieskorumpowany wymiar sprawiedliwości, prosperujące wolne zawody i mieszczaństwo, bujne i swobodne życie kulturalne — w języku polskim i Yidysz, płaszczyzny życia politycznego, kulturalnego i towarzyskiego, gdzie tworzyła się symbiotyczna tkanka wspólnej egzystencji. Wymazywanie tego z pamięci, wyrzucanie dziecka z kąpielą, jest objawem myopii i umysłowego zubożenia.



To jest jednakowoż historia czasów już odległych, o drugorzędnym wpływie na formowanie opinii o stosunkach polsko-żydowskich.

Elementem, który wszystko przesłania i o wszystkim w życiu i mentalności żydowskiej decyduje jest okres męczeństwa i zagłady pod okupacją. To jest właśnie ten obnażony nerw i punkt węzłowy — także, jeśli chodzi o wynikający stąd stosunek Żydów do Polaków. Aby cokolwiek w tej materii zrozumieć trzeba się w ten stan wżyć, niejako „od wewnątrz”.

Nie trzeba tu powtarzać, że eksterminacja Żydów w obozach śmierci na ziemiach polskich stanowi swym zasięgiem i metodą zjawisko bez precedensu. Bezmiar cierpienia i strat zostawił na tych co przeżyli ślady nie do zatarcia. Przez trzydzieści lat badań, poszukiwań, spotkań, nie natknąłem się w Europie, Ameryce czy Izraelu na jedną bodaj osobę żydowskiego pochodzenia, w rodzinie której nie było ofiar. Nie godzi się cierpieniem licytować, ale jeśli ktoś mówi „dość tego hałasu — myśmy też cierpieli” wystarczy przypomnieć, że tylko Żyd szedł do gazu wyłącznie za to, że był Żydem i w stosie dzieciennych bucików w Oświęcimiu nie ma innych jak te, które zdjęte zostały z nóżek dzieci żydowskich.

Więc gdy się bada poglądy, reakcje Żydów, trzeba mieć na uwadze, że w tym pokoleniu ma się do czynienia z organizmem fizycznie i duchowo okaleczonym. Dominuje tu żal do świata, do tzw. chrześcijańskiej cywilizacji, że z przyczyn takich czy innych, prawdziwych czy urojonych, gdy wiadomo już było, że Niemcy dokonują ludobójstwa, nikt w rzeczy samej palcem nie ruszył. Papież milczał, duchowieństwo milczało¹ — to milczenie na zawsze huczy w uszach. Czy tak trudno było napiętnować zbrodniarzy *urbi et orbi*, przypomnieć, że esencją religii jest miłość bliźniego, że szantaż i donos to niewybaczalny grzech. Wiemy jaki głęboki rezonans ma w społeczeństwie słowo papieskie i księży. Znalazł takie słowa, dwadzieścia lat później, Jan XXIII, w swej modlitwie pokutnej, krótko przed śmiercią². Znalazł słowa Papież Wojtyła nad prochami w Oświęcimiu. Czy wątpi ktoś, że gdyby w czasie największej próby podniósł się ogromny głos duchowieństwa, wzywający do niesienia pomocy Żydom, uratowałoby to setki, tysiące, może dziesiątki tysięcy ludzi? Byłoby się czym pochwalić.

1. Milczały również i nie spieszyły z pomocą potężne organizacje żydowskie w U.S.A. I nie wzruszyło ich nawet dramatyczne samobójstwo Sz. Zygelbojma. (*Redakcja*).

2. „Wyznajemy teraz, że przez wiele wiele stuleci oczy nasze były porażone ślepotą, tak że nie widzimy już piękna Twego wybranego ludu i nie rozpoznajemy w jego twarzy rysów naszego pierworodnego brata. Wyznajemy, że piętno Kaina jest na naszym czole. Przez stulecia Abel leżał zbroczony krwią i łzami, bośmy zapomnieli o Twojej miłości. Wybacz nam klątwę, którąśmy fałszywie rzucili na Żydom. Wybacz nam żeśmy Cię ukrzyżowali po raz wtóry. Albowiem nie wiedzieliśmy cośmy czynili...”

Modlitwa pokutna Jana XXIII dnia 3 czerwca 1963.

Docieramy do trzewi zagadnienia: jaki jest i jaki — po wielkiej rozwadze — ustalili się, pośród Żydów, i Polaków, sąd o roli Polaków w okresie i procesie zagłady żydowskiej.

Żydowski *vox populi*, oparty na pisemnym i słownym świadectwie tych którzy tam byli, opiewa, że, z reguły, Polacy nie tylko, że Żydów nie ratowali, ale przedstawiali dla nich główne niebezpieczeństwo demaskowania. Wiadomo było tym, którzy szukali ukrycia, że trudno było liczyć na pomoc lub nawet neutralność ludności — obawa była nie przed żołnierzem czy policjantem niemieckim, który nie rozróżniał Żyda od Polaka, ale przed sąsiadem czy przechodniem, z tą wyostrzoną polską wrażliwością na żydowski wygląd, wymowę czy strach w oczach.

To jest zarzut podstawowy. Zachodzi pytanie czy można temu skutecznie i przekonywująco zadać kłam.

Cytuje się cyfrę ok. 100.000 Żydów, którzy okupację przeżyli — więc przypuszczalnie dzięki pomocy swych polskich rodaków. Mówi się o tych kryjówkach na strychach i piwnicach, zamurowanych pokoikach, celach klasztorów lub po prostu szafach gdzie się Żydzi uchowali. Za ukrywanie Żyda groziła kara śmierci; za niepoinformowanie o ukrywającym się Żydzie groziła kara śmierci. Na przekór temu istnieje dokumentacja, bardzo niepełna, która wymienia ponad 600 nazwisk osób i całych rodzin zamordowanych przez Niemców za udzielenie pomocy Żydom. W Alei Sprawiedliwych w Jerozolimie jest 300 drzew ku czci Polaków szczególnie zasłużonych. Rada Pomocy Żydom „Żegota” ma niezmiernie zasługi, uznane przez Instytut Yad Vashem.

Byłoby najczarniejszą niewdzięcznością i moralną ślepotą nie zapamiętać na wieczną chwałę niesłychanej szlachetności, samopoświęcenia i heroizmu tych, którzy w okolicznościach od których się wyobrażnia wzdryga, z narażeniem życia swego i swych rodzin ukrywali i nieśli pomoc swym żydowskim współrodakom. Ci szczęśliwcy, którzy dzięki temu przetrwali, nie robią z tego sekretu. Wypadków takich, nie tylko tych udokumentowanych, ale i tych których pamięć poszła z dymem, musi chyba być tysiące.

Trzeba na obie strony medalu spojrzeć obiektywnie. Nikt nie może się spodziewać świętości od pospolitych zjadaczy chleba. Posiew nienawiści nie wschodzi żniwem miłosierdzia. Wojna, nędza, bezprawie, są pożywką dla ludzkiej nikczemności — nie brakło jej objawów w tych warunkach także pośród Żydów.

Ale gdy kładzie się na szali wszystko co jest wiadome, heroizm i ofiarność — podłość i łotrostwo, w opinii żydowskiej nie ma wątpliwości co było regułą a co wyjątkiem. Zdaje się, że szczerze wyrażona opinia większości Polaków podzielałaby to zdanie — ale nie mnie na ten temat mówić. Gdy Szczypiorski

mówi, że „walka o ocalenie Żydów była moralnym obowiązkiem. Fakt, że jego spełnienie wymagało bohaterstwa, dowodzi tylko jednego — nieopisanego zdziczenia hitlerowskich Niemiec” — trzeba, niestety, dodać, że wymagało to bohaterstwa głównie dlatego, że otoczenie groziło donosem i szantażem. Nie tylko „szumowiny”, których nie brak było, ale wielki odłam ludności.

Gdyby Żydzi się czuli w swoim naturalnym elemencie, pośród współrodaków z którymi ich łączą wspólny los i wspólna walka z wrogiem, ucieczka i znalezienie schronu na szerokich szlakach kraju, po wioskach gdzie noga Niemca nie stała, byłyby stosunkowo proste. Ale Żydzi znali nastroje i postawę ludności, wiedzieli na co mogą liczyć — byli w potrzasku. Gdy mowa o 100.000 ocalałych (cyfra jest niestwierdzalna) — trzeba zapytać ilu z nich uratowało się dzięki, a ilu na przekór postawie współrodaków.

Gdy trwał proces palenia w krematoriach, pociągi do Chełmna, Bełżca, Sobiboru, Treblinki, Majdanka i Oświęcimia szły dzień i noc, miesiącami, dym buchał z kominów. Godzi się zapytać — gdyby było wiadomo, że to nie „żydki się palą”, tylko rodzimi polscy ojcowie, mężowie, matki, żony i dzieci, jak długo by ten proces potrwał. Przecież żywiołowy wybuch gniewu i zemsty narodu byłby nie do opanowania, cała siła Reichu by mu nie sprostała, gdyby szyny przyszło zębami rwać.

Komu się dziwić, jeśli Żydzi, których myśl o tym nigdy nie opuszcza, nie zawsze są w swych wypowiedziach rozważni i umiarkowani, skrupulatnie licząc słowa by, broń Boże, kogoś nie urazić?

W tym związku także słowo o Beginie. Chciałbym wierzyć, że fragmentaryczne sprawozdanie z jego wywiadu w holenderskiej telewizji po pokazaniu filmu „Holocaust”, w którym, wedle słów korespondenta, powiedział m.in. że „na 30 milionów Polaków najwyżej stu pomagało Żydom...” — okazałoby się po zbadaniu, jak to często bywa, znieskształcone. Nie mam w tej chwili możliwości sprawdzić. Jeśli cytat okazałby się ścisły³ — co, niestety, wydaje mi się możliwe — to nad tym szczerze ubolewam. Sformułowanie takie go pomniejsza — jest niegodne, fałszywe, krzywdzące i niepotrzebne.

Przechodząc do czasów powojennych, tj. normalnych w tym sensie, że eksterminacja i polowanie na Żydów się skończyło i niedobitki zaczęły wychodzić na światło dzienne — trudno po-

3. Cytat jest ścisły. (Red.).

wiedzieć, że ogarnęła ich ze strony ludności fala współczucia i sympatii. Wręcz przeciwnie — okazało się, że ci, którzy swe pochodzenie mniej lub więcej skutecznie zamaskowali, uznali za wskazane — tak jak to często było w partyzantce — maskaradę kontynuować, zweryfikować fałszywe papiery i nazwiska, byle współrodaków swą żydowską obecnością nie drażnić. Fakt, że paruset (są tacy co skrzętnie liczyli i twierdzą, że doliczyli się paru tysięcy) Żydów, przedwojennych komunistów, którzy się uchowali przeważnie, choć nie wyłącznie w Rosji i objęli, pod protektorem Stalina, niektóre kierownicze stanowiska, także w UB, wystarczył, by rozładować sympatie tam, gdzie takie, w stanie szczątkowym, były. Powszechnie wyrażany był pogląd, że Hitler „rozwiązał” problem żydowski korzystnie dla Polaków — do dziś wielu jest takich, którym by wstyd to na głos przyznać, prywatnie temu potakują. Jak taka „zrównoważona” opinia podsyca żydowską histerię nie trudno sobie wyobrazić.

Szczypiorski interesująco tłumaczy wydarzenia 1968 roku. Można się zgodzić, że w tych haniebnych manewrach w efekcie nie o Żydów chodziło, lecz po prostu o zmianę warty przy korycie. Fakt, że nagonka antyżydowska i argument antysemicki — tak jak dawniej, tak jak zawsze — okazał się skuteczny i wywołał natychmiastowy odzew, ma swą własną wymowę. Świat, który obserwował te wydarzenia nagim okiem nie dostrzegał i nie pamięta subtelności partyjnych i osobistych gier, a tylko notuje to, co się najbardziej w oczy rzuca i co potwierdza już i tak podejrzaną reputację. Nie rozróżnia też pośród wygnańców tych, których Szczypiorski prosi o wybaczenie i tych, którym ręki nie poda. Jeśli są, w obu kategoriach, tacy, którzy dziś na świecie źle o Polsce mówią to nie trzeba się dziwić — przemawia z nich gorzkość i zawiedziona miłość. Wygnanie nie było szkołą dla ambasadorów dobrej woli. A jest ono przecież częścią prawdy o Polsce.

Żyjemy (przelotnie?) w okresie, kiedy od antysemityzmu wypada się w dobrym towarzystwie odżegnywać — jest w tym dla Żydów pewna satysfakcja. Apologetyka Polaków za stosunek do Żydów w czasie okupacji nie jest skuteczna, gdy chce równoważyć ogólne stanowisko obojętności i wrogości, co było regułą, z aktami ofiarności i poświęcenia, które były wyjątkiem. Trzeba przyjąć, że społeczeństwo polskie z tej przetragicznej próby moralnej na jaką je los wystawił nie wyszło obronną ręką. Można tylko zapytać czy w identycznych warunkach, które nie mają analogii w historii, jest wiele społeczeństw, które by taką próbę

przeszły lepiej? Czy, powiedzmy, gdyby sytuacja była odwrócona i życie Polaka zależne by było od ofiarności Żyda — czy bilans ludzki i moralny byłby lepszy? Spojrzenie w przepastne głębie duszy ludzkiej nie napawa optymizmem — ale to już chyba kłótnia z Panem Bogiem, który też w tej sprawie nie okrył się chwałą.



Rozeszły się na zawsze drogi „dwu najsmutniejszych narodów na ziemi”. Siły twórcze i talent żydowski nie wzbogacą więcej polskiego życia i polskiej kultury — i niech kto chce się z tego cieszy. I dla zdziesiątkowanego narodu żydowskiego wyrwa niczym nie zastąpiona: bo właśnie tam, kątem przy macosze, w surowym często klimacie, kwitła najbardziej twórcza, życiodajna, prężna gałąź narodu w diaspory.

Rafaël SCHARF

Andrzej SZCZYPORSKI

I

Rozważając stosunki polsko-żydowskie czasu wojny trzeba dokładnie rozpoznać ówczesny stan rzeczy i zrozumieć ludzkie motywacje. Rafaël Scharf popełnia błąd, rozpowszechniony zresztą — jak pisze — w środowiskach żydowskich, stwierdzając m.in.: „Gdy kładzie się na szali wszystko co wiadome, heroizm i ofiarność — podłość i łotrostwo, w opinii żydowskiej nie ma wątpliwości co było regułą, a co wyjątkiem”.

Scharf miałby rację, gdyby zamiast tak ostrych oskarżeń wytknął wielu Polakom bierność. Nie ulega bowiem kwestii, że w akcji pomocy Żydom uczestniczyła oczywiście mniejszość Polaków. Kto wypisuje dziś w PRL propagandowe dyrdymałki, jakoby cały naród walczył w obronie Żydów, ten jest głupcem i demonstrowuje złą wolę.

Ale nie ulega też kwestii, że co innego znaczy bierność, a co innego podłość. Co innego znaczy uchylanie się od okazania pomocy, a co innego znaczy łajdactwo?

Skłonny jestem zrozumieć, że wielu Żydów ściganych, gdy przed nimi zamknięto drzwi polskiego domu, nazwało to przed

laty podłością i łotrostwem. Ale, na miły Bóg, po dziesięcioleciach refleksji, w warunkach bardziej sprzyjających równowadze ducha, warto się chyba zastanowić nad istotą tamtych, polskich motywacji. Czy rzeczywiście łotrem był ten niepewny dnia ani godziny Polak, do którego domu pukał ścigany Żyd? Ten Polak miał żonę i dzieci, miał swój dach nad głową, pomimo nieustannego zagrożenia żywił nadzieję, że uda mu się przetrwać wojnę. I ten Polak, jeśli był wrażliwy, jeśli był kulturalny, mówił wtedy — Panie Feldman, błagam pana, niech pan stąd odejdzie. Jakim prawem żąda pan ode mnie, abym narażał na zgubę siebie i swoich najbliższych?

A jeśli ten Polak był mniej kulturalny, mniej skłonny do refleksji moralnej, bardziej prymitywny i przerażony, powiadał wtedy, może nawet z nienawiścią w oku — Precz od moich drzw!

I trudno się dziwić, jeśli w tej krótkiej chwili jego strach przeobrażał się w nienawiść, bo ten Żyd na progu skazywał go przecież na śmierć swoją fizyczną bliskością.

A kiedy Żyd odchodził, unosząc w wypalonym do cna sercu ostatnie ludzkie uczucie zawodu i rozpacz w obliczu tej podłości i tego łotrostwa, wówczas ów Polak przez całą noc młotał się w czterech ścianach swego domu i prowadził dialog z własnym sumieniem, z własnym narodem, z ludzkością i Bogiem, dialog tak zawiły i straszny, że trzeba Dostojewskiego, aby to wyrazić.

Nie przeczę, że byli też inni, którzy owej nocy zasypiali, by się nazajutrz obudzić z pewnym uczuciem niesmaku, po prostu...

Ale niech Rafael Scharf — dziś, po bez mała czterdziestu latach — nie mówi, że ci Polacy byli podłymi łotrami. Były to bowiem nieszczęsne istoty, słabe i zatrwożone o swój kruchy los, który wystawiał człowieka na próby, o jakich olbrzymia większość Europejczyków nie ma w ogóle wyobrażenia. Nie ma racji Scharf, nie mają racji ci Żydzi, którzy dziś powiadają, że heroizm i ofiarność Polaków to były wyjątki, a podłość i łotrostwo to była reguła.

Można oczywiście rozważać tę sprawę w kategoriach ostatecznych i patetycznie wyrokować, że ten kto Żyda nie puścił za próg był winny jego śmierci, ponieważ pośrednio skazywał go w ten sposób na zagładę. Powstaje tylko pytanie czy ten rodzaj moralnych wymagań jest w ogóle do zniesienia i do udźwignięcia przez zwykłych zjadaczy chleba? I można też spytać, wciąż pozostając w kręgu najbardziej wzniosłych i surowych nakazów sumienia — kto dał zbiegowi z getta moralne prawo, by w obronie jednego własnego życia wystawiał na śmiertelny sztych egzystencję już nie tylko jednego Polaka, ale całej polskiej rodziny?

Jest to oczywisty absurd, więcej nawet — jest to postawienie na głowie całej moralnej problematyki kultury europejskiej. Jeśli się odwołuję do takich szalonych argumentów, to tylko po to, by wykazać, że obracamy się w piekielnym kręgu!

Zachowajmy więc odrobinę umiaru, jeśli po prostu chcemy ocalić to, co z naszej ludzkiej godności zostało jeszcze w Europie po tamtych, a także późniejszych doświadczeniach...

II

Rafael Scharf powiada, nie bez racji oczywiście, że Żydzi byli w polskim środowisku wyobcowani. — „Gdyby... czuli się w swoim naturalnym elemencie... ucieczka i znalezienie schronu na szerokich szlakach kraju, po wioskach gdzie noga Niemca nie powstała, byłoby stosunkowo proste”. Otóż istotnie tak by się dziać mogło, gdyby po pierwsze — Żydzi stanowili w ówczesnej Polsce czynnik zasymilowany, po drugie zaś — gdyby w ogóle istniały w ówczesnej Polsce rejony wolne od okupanta.

Jednakże z przyczyn historycznych — o których pisałem w szkicu „Polacy i Żydzi” — społeczność żydowska na ziemiach polskich zachowała aż do czasów Holocaustu swoją odrębność obyczajową i językową, co uniemożliwiało masowe wtopienie się w środowisko lokalne. Szanse przetrwania mieli zatem tylko ci, którzy byli, częściowo choćby, zasymilowani. W ogóle zaś uratowanie wielkiej rzeszy ludzi było nierealne. Wynika to z prostej statystyki, z prawa wielkich liczb.

W tym sensie sytuacja polska nie da się porównać z sytuacją we Francji czy Holandii, gdzie odrębne językowo i kulturalnie skupiska Żydów w ogóle nie istniały, a Żydzi stanowili dużo mniejszy odsetek obywateli.

Nie wytaczam zarzutów przeciw Francuzom czy Holendrom, ale po prostu przypominam oczywisty fakt, że przecież właśnie w tych krajach Żydzi „czuli się w swoim naturalnym elemencie”, a jednak zostali niemal bez reszty ujęci i wywiezieni do obozów zagłady. W sposób nader sprawny, energicznie, z niemałą organizacyjną żwawością wyłuskano ich ze środowisk, w których od dziesięcioleci zapuścili korzenie, zgromadzono w punktach zbornych, jak choćby w słynnym paryskim Welodromie Zimowym, a następnie wywieziono do Oświęcimia i Treblinki. I wszystko to odbywało się przy doprawdy znikomym udziale Niemców, choć oczywiście z ich inspiracji! Ale np. francuska policja dawała sobie doskonale radę bez pomocy funkcjonariuszy Trzeciej Rzeszy. Byłoby rzeczą właściwą

pamiętać o tych faktach, nie po to, by żyć nieprzejeđną urazę do innych, ale dla zachowania właściwych proporcji.

W świetle tych oczywistości nie pojmuję wywodu Scharfa, gdy pisze m.in.: „... trzeba zapytać ilu z nich (tj. Żydów w Polsce) uratowało się dzięki, a ilu na przekór postawie współrodaków”.

Postawmy sprawę z brutalną szczerością! Jeśli, zdaniem Scharfa, byli tacy Żydzi, którzy się uratowali na przekór Polakom, to kto ich, na Boga, uratował? Hitlerowcy? Zbieg cudownych okoliczności? Czy przebywali na owym, wyimaginowanym obszarze, gdzie nigdy w czasie wojny nie powstała niemiecka noga i gdzie nie było żadnego Polaka?

Przecież to są sformułowania niepoważne, a w obliczu tak wielkiej tragedii, nawet w drobiazgach należy zachować powagę i skupienie.

III

Nie ulega wątpliwości, i o tym z naciskiem pisałem, że wśród Polaków, obok mniejszości, która udzielała Żydom czynnej pomocy, oraz większości, która zachowała się biernie, głównie zresztą z lęku o swój własny, wciąż zagrożony los — działały także szumowiny, a zatem ludzie, którzy z nagonki na Żydów uczynili intratny, nikczemny proceder. Pisałem, że tego rodzaju Polacy tępieni byli przez Polskę Podziemną jako zdrajcy i kolaboranci.

Scharf widzi ten problem inaczej. Odpowiedzialnością za *sui generis* współpracę z hitlerowcami obarcza „nie tylko szumowiny, których nie brak było, ale wielki odłam ludności”. I rozwija ten pogląd, dodając — „Godzi się zapytać, gdyby było wiadomo, że to nie 'żydki się palą', tylko polscy mężowie, matki, dzieci, jak długo by ten proces potrwał. Przecież żywiołowy wybuch gniewu i zemsty narodu byłby nie do opanowania, cała siła Reichu by mu nie sprostała, gdyby szyny przyszło zębami rwać!”.

Myślę, że Scharf popełnia tu błąd zasadniczy. Przemawiają przez niego uczucia gorczy, rozpacz i zawodu. Ta emocjonalna aura zaciemnia stan faktyczny i prowadzi do fałszywych ocen.

Zapewniam Scharfa, że jeden obrotny „szmalcownik” póki kula polskiego podziemia nie położyła kresu jego nikczemnemu życiu, mógł w ciągu doby sprowadzić śmierć na dziesiątki Żydów. A obecność jednego „szmalcownika” paraliżowała aktywność setek Polaków.

I jest to mechanizm arcyludzki, choć dzisiaj, naturom moralnie wrażliwym, ale przecież oddalonym od grozy ówczesnej rzeczywistości, wydać się może nieludzki!

Nie należy zatem z tak oskarżycielską stanowczością twierdzić, że „wielki odłam ludności” zajmował się donosem i szantażem.

I wreszcie druga kwestia, kwestia owej siły polskiego gniewu, której siła Reichu by nie sprostała, gdyby szło nie o Żydów, ale o Polaków. Tu nie trzeba teoretyzować, mamy za sobą bogate doświadczenia. Scharf, czego pojąć doprawdy nie mogę, lekceważy potęgę Trzeciej Rzeszy i ogromnie przecenia siłę polskie.

Kiedy hitlerowcy dokonali pacyfikacji Zamojszczyzny, Warszawa zapełniła się bezdomnymi dziećmi, w olbrzymiej większości sierotami, które Niemcy podczas srogiej zimy, w bydlęcych wagonach, przywieźli do stolicy. To były polskie, chłopskie dzieci. Ich rodziców wymordowano, domy zrównano z ziemią, nędzny dobytek został skonfiskowany. I cóż się stało? Kto wtedy w Polsce rwał szyny zębami?

Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że w okupowanej Polsce niemal co dnia odbywały się łapanek, wymierzone przeciw ludności polskiej. Setki tysięcy ludzi wywożono do kacetów lub do niewolniczej pracy w głąbi Rzeszy. Na ulicach miast odbywały się publiczne egzekucje. Wystarczy się przejść po Warszawie, gdzie jest mnóstwo tablic, upamiętniających każdą tysiącę Polaków. Tam ginęli ojcowie, ginęły matki. I kto rwał szyny zębami? Nikt przy zdrowych zmysłach nie przeczy, że warunki egzystencji Żydów były bez porównania cięższe i bardziej rozpaczliwe. Kto stawia znak równości pomiędzy położeniem Żyda i Polaka w owych czasach, jest głupi i nieuczciwy. Ale przecież wszyscy wiemy, że społeczeństwo polskie było również skazane na wyćpienie, w najlepszym razie — na niewolnictwo. Mordowanie polskiej elity umysłowej i kierowniczych warstw narodu odbywało się systematycznie od początku wojny. I kto wtedy w Polsce rwał szyny zębami?!

Ta sprawa przywołuje inny problem, tragiczny i delikatny. Byłoby absurdem formułować na tej płaszczyźnie jakiekolwiek zarzuty albo oskarżenia, ale idzie mi teraz o kwestię ideowej i psychologicznej postawy Żydów i Polaków w obliczu hitlerowskich okrucieństw. Scharf stawia zarzut, że Polacy Żydom nie pomagali, bądź pomagali niedostatecznie. Bierność polską traktuje jako rodzaj sprzeniewierzenia się nakazom moralnym i ludzkim. A co z biernością żydowską? Powstaje pytanie, czy Żydzi sami, w walce o swoje własne ocalenie, okazali dostateczną aktywność? Nie sposób przemilczać, że te ideowe i psychologiczne różnice — wielu Polaków w czasie wojny zdumiewały i drażniły.

Powtarzam — to nie jest zarzut!! Rozumiem mechanizmy duchowe, które skłaniały żydowskie środowiska ortodoksyjne, a tych była w Polsce zdecydowana większość, do postawy biernej, do niesprzeciwiania się złu. Jest to zresztą sprawa samych Żydów, i — jak wiem — w dzisiejszym Izraelu wytacza się surowe oskarżenia w tej mierze. Pamiętamy jednak, że tak właśnie było, że owa bierność miała charakter masowy. Żydowska Organizacja Bojowa działała w izolacji, w oczach wielu Żydów była niepopularna, byli też i tacy, którzy ją wręcz potępiali z przyczyn światopoglądowych.

Polacy, dla których walka z okupantem, uchodziła za sprawę podstawową — choć naturalnie nie wszyscy brali w niej czynny udział, ale bez wątpienia większość popierała — nie rozumieli takiej postawy olbrzymich mas żydowskich. Był to oczywiście rezultat innej tradycji umysłowej, religijnej, światopoglądowej.

Ten stan rzeczy nie zwalniał Polaków od moralnego obowiązku okazywania pomocy. Jednakże dziś, po tylu latach, trzeba się zdobyć na większy obiektywizm. Polacy szyn zębami nie rwali, to prawda! Ale czy Żydzi rwali zębami szyny?

Nie koniec na tym! W kwietniu 1943 roku Hitler puścić z dymem warszawskie getto, które się heroicznie broniło. W sierpniu i wrześniu następnego roku, kiedy Niemcy jako państwo były słabsze i bliższe klęski, potrafił zmiażdżyć stolicę Polski do tego stopnia, że kamień na kamieniu nie pozostał, a cała ludność poszła do kacetów albo na tułaczkę. To byli właśnie ojcowie, matki, dzieci, krew z krwi i kość z kości polskiej. I cóż się stało? Kto wtedy w Polsce rwał szyny zębami?

Ten naród, choć walczył przez wszystkie wojenne lata i ponosił wielkie ofiary, był za słaby, żeby sprostać potędze Rzeszy. Warszawiacy trafili do obozów, szczęśliwsi rozpięzchli się po kraju. I może to odrobinę pocieszy tych żydowskich czytelników, którzy po dziś dzień odczuwają gorzyc ówczesnego zaszczucia i osamotnienia, jeśli dodam, że warszawiacy także często spotykali zamknięte na głucho drzwi polskich domów. Warszawska Kennkarta to było znamie klęski i zagrożenia. Ryzyko kontaktów z wypędzonymi mieszkańcami stolicy jawiło się pewnym ludziom jako straszne niebezpieczeństwo. Czy należy z tego wnosić, że Polacy nie są solidarni, że są egoistyczni i tchórzliwi? Byłby to przecież zarzut niesprawiedliwy. A wyjaśnienie zjawiska jest całkiem banalne. Po prostu każdemu bliższy jest własny kąt, własna żona czy dziecko, niż obcy, ścigany przez okrutne i potężne siły.

Więc nie jest słuszny argument Scharfa, że wobec polskiego gniewu nie ostałaby się siła Reichu. Polski gniew był bezsilny, a przez to jeszcze bardziej rozpaczliwy.

IV

To nie Polacy mogli wtedy okiełznać Hitlera i ocalić Warszawę przed zniszczeniem. I podobnie się działo w sprawie zagłady Żydów. Trudno snuć rozważania „co by było — gdyby” w odniesieniu do historii całych narodów. Ale można sobie przecież wyobrazić w roku 1942, albo 1943, a już na pewno w 1944, kiedy pełną parą pracowały krematoria — potężną akcją odwetową aliantów. Można sobie wyobrazić bez większego trudu ultimatum Waszyngtonu, Londynu i Moskwy, o co zresztą bez skutku i rozpaczliwie zabiegał polski rząd emigracyjny. Jutro zniszczymy z powietrza Hamburg, pojutrze Monachium, w następnym tygodniu Berlin! Nie jestem historykiem wojskowości, lecz sądzę, że przy pewnej aktywności i determinacji wielkich mocarstw uratowanie dużej części europejskich Żydów było możliwe i realne.

Lecz właśnie ten problem stanowi swego rodzaju tabu w wywodach na temat Holocaustu. W środowiskach żydowskich dyskutuje się sporo o tym, czy Polacy sprostali czy też nie sprostali swoim obojętnościom. Nie jestem przeciwnikiem takich dyskusji. Ale uważam, że nie wyczerpują one całej problematyki zagłady narodu żydowskiego w Europie. Z wielu wywodów wyłania się tu bowiem dziwaczny i zgoła paranoiczny obraz wojny, ukazujący Żydów i Polaków, przy ledwie zaznaczonej obecności Niemiec, a także Anglii, Rosji i Stanów Zjednoczonych, nie mówiąc już o innych narodach Europy, które przecież istniały i do dziś istnieją.

Nie chcę wybielać Polski i Polaków. Mam do własnych rodaków bardzo wiele zastrzeżeń, bardzo wiele żalów i bardzo wiele zarzutów. Ale dotyczy to głównie współczesności, bo właśnie w czasie wojny potrafili w większości zdobyć się na godną postawę i jeśli grzeszyli, to grzeszyli chyba mniej od innych!

Powtarzam, że większość Polaków nie była czynnie zaangażowana w ratowanie Żydów, lecz przyczyny tej bierności są ludzkie i nie należy czynić z niej oskarżenia, bo doprawdy bieleje włos, gdy się rozważa ówczesne sytuacje i uwarunkowania.

Powtarzam, że byli w Polsce ludzie wspaniali, którzy ryzykowali życiem i oddawali życie w obronie swych żydowskich współobywateli — i ta właśnie postawa była przez władze Polski Podziemnej proklamowana jako obowiązek obywatelski.

Powtarzam wreszcie, że byli w Polsce — jak wszędzie w Europie — kanalie, współodpowiedzialne za wyniszczenie Żydów. Ludzie ci stanowili nieznaczny odsetek społeczeństwa, jego po-

nury, kryminalny margines. Większość Polaków bała się ich i potępiała, choć dziś trudno ludziom przyznać się do lęku, chętniej tworzą legendę swego heroizmu.

V

Część opinii żydowskiej jest wobec Polaków czasu wojny bardzo wymagająca i surowa, natomiast łagodniej i z większą wyrozumiałością odnosi się do innych społeczeństw, przy czym zdumienie, dysponując przecież potężnym arsenałem środków przeciwdziałania, a już niepojęta zdaje się niekiedy wyrozumiałość wobec Niemców, którzy bądź co bądź w kwestii żydowskiej wykazali szczególną aktywność, energię i wynalazczość.

Jeśli chodzi o stanowisko kościoła katolickiego, to muszę wyznać, że w dużym stopniu podzielam gorycz Rafaela Scharfa i bardzo wielu Żydów europejskich. Postawa kościoła jako instytucji zawiodła nie tylko nadzieje Żydów, ale także Polaków.

To straszne milczenie w obliczu zagłady i tyranii, ta bierność w świecie okrucieństwa i nikczemności, kiedy ludzi zabijano, chwymano jak dzikie zwierzęta, torturowano, jest ciężkim brzemieniem dla sumień.

Fakt, że wielu duchownych katolickich w Polsce walczyło w podziemiu z hitlerowcami, że księża szli do więzień i obozów, nie oznacza jeszcze, iż kościół jako instytucja i jako moralny autoritet stanął na wysokości zadania. Następcy papieża Piusa XII uczynili wiele dla świata i dla człowieczeństwa. Jednakże lata wojny z hitleryzmem pozostaną dla katolików wspomnieniem pełnym goryczy i bolesnego zawodu.

VI

Na koniec ostatnia sprawa, podjęta przez R. Scharfa. Idzie mianowicie o wypadki roku 1968. Scharf pisze: „Fakt, że nagonka antyżydowska i argument antysemitki, tak jak dawniej, tak jak zawsze — okazał się skuteczny i wywołał natychmiastowy odzew, ma swą własną wymowę”.

Dalibóg, tej myśli nie pojmuję! W jakim to mianowicie sensie nagonka antysemitka roku 68 okazała się skuteczna i wywołała odzew? Przecież fakty są dość świeże, rok 68 pamiętamy dobrze.

Animatorom całej ówczesnej hecy zależało bez kwestii na wywołaniu ruchawki wymierzonej przeciw Żydom. Wywołali natomiast potężny ruch polskiej młodzieży w obronie Żydów, zasad demokracji i tolerancji. Wywołali ruch, który władze musiały tłumić przy pomocy rozbudowanego aparatu policji, bijąc tysiące i aresztując setki ludzi!

Można bez żadnej przesady powiedzieć, że dzieje Polski i chyba nie tylko Polski, ale całej Europy nie znają tak masowego, spontanicznego ruchu w obronie Żydów, który rozwinałby się w warunkach policyjnej represji i przy akompaniamencie oszczerstw, inwektyw i kłamstw środków masowego przekazu, dyrygowanych przez wszechpotężny czynnik władzy państwowej.

Natomiast nigdzie chyba nie doszło wtedy do antysemitkich wystąpień, które można by uznać za przejaw autentycznych nastrojów społecznych. Cała ta obrzydliwa nagonka przebiegała w aurze oficjalności. Masówki i zebrania miały charakter biurokratyczny i były reżyserowane w szczegółach.

Czy mogły się wtedy zdarzyć odosobnione przypadki zajadłego antysemityzmu? Mogły, ponieważ kołtun jest nieśmiertelny. Kilka tygodni temu rozmawiałem właśnie z nieśmiertelnym kołtunem. Powiedział: „Nie może być u nas dobrze, skoro wciąż żydy rządzą!”. Na moje pytanie, gdzie są ci Żydzi, odparł konfidencjonalnie, że zarówno Gierek jak Jaroszewicz są oczywiście Żydami.

Cóż stąd wynika? Że stereotypy myślenia kołtuńskiego wciąż tkwią w głowach pozbawionych mózgów. W tym względzie rok 1968 niewiele partii pomógł! W umyśle kołtuna tak zwana „żydo-komuna” istnieje i prosperuje nadal. Każdy, kto należy do partyjnej elity, choćby usiłował pohukiwać przeciwko syjonistom i Beginowi — jest oczywiście Żydem. Cóż dopiero Gierek, który osobiście nie dał się poznać jako antysemita. Kołtun jest przekonany, że Gierek nazywał się kiedyś Feldman albo Apfelbaum!

Na tej podstawie nie można jednak oceniać serio współczesnych Polaków. Zapewniam Scharfa, że bezmyślnych kołtunów spotka wszędzie, na tym najlepszym ze światów...

VII

Artykuł R. Scharfa jest ważny, choć niepodobna się zgodzić z pewnymi uwagami, które podyktowała gorycz i rozpacz. Scharf nie jest obiektywny, ale byłoby rzeczą niemądrą domagać się obiektywizmu od człowieka, który przemawia — przynajmniej w pewnym sensie — imieniem milionów zgładzonych. I w tej

mierze jestem po stronie Scharfa! Jego artykuł nie jest wobec Polaków sprawiedliwy, ale Polacy nie powinni z tego powodu obrażać się i złorzeczyć. Żydzi, jak słusznie przypomina Scharf, zostali okaleczeni i odczuwają — „... żal do świata, do tzw. chrześcijańskiej cywilizacji, że z przyczyn takich czy innych... nikt w rzeczy samej palcem nie ruszył”. W tym sensie jest naszym powszechnym obowiązkiem, nie tylko polskim, ale ludzkim po prostu, okazywać Żydom, którzy przetrwali hekatombę, nie tylko życzliwość i przyjaźń, ale także wiele cierpliwej wyrozumiałości. Nikt bowiem nie został doświadczony tak ciężko i nikt nie wycierpiał tak wiele.

Czyżby miało to znaczyć, że wycofuję gorzkie słowa, adresowane w szkicu „Polacy i Żydzi” do tych ludzi, którzy w dobie stalinizmu dopuścili się wielu rzeczy niegodnych, by po roku 1968 emigrować na Zachód i szermować tam antypolonizmem? Nie, wcale się z tego nie wycofuję! Ci, o których pisałem, przez długie lata nie uważali się za Żydów. Mówili o sobie z pychą, że są żołnierzami rewolucji proletariackiej, że są mieczem rewolucyjnej sprawiedliwości. Wszelkie kwestie narodowe i wyznaniowe były im obce, uważali je za wymysł „burżuazji i jej faszystowskich pachołków”. W konsekwencji nie mieli ojczyzny, poza iluzją stalinowskiej doktryny władzy i ponurą rzeczywistością partyjnego *establishment*’u. Jeśli dziś domagają się względów z racji pochodzenia od tego tragicznego, spalonego pnia Abrahama i Izaaka — jest to znów rodzaj uzurpacji!

Lecz nie o nich tu przecież idzie, ale o tę większość Żydów, którzy byli niegdyś naszymi współobywatelami, a dziś rozproszyli się po świecie. Powinni pozostać na zawsze w polskich sercach i pamięci. Bo ma rację Scharf gdy wyraża piękną myśl, że i Polacy i Żydzi ponieśli niepowetowaną stratę w rezultacie okrutnych wydarzeń historii XX wieku. Jest dla Polski ciosem i zubożeniem, że nigdy więcej żydowski duch nie użyźni gleby naszej kultury, która była przecież wspólnym dziełem Polaków i Żydów, a także — w mniejszym, choć znaczącym stopniu — innych ludów Rzeczypospolitej. I jest dla Żydów ciosem bolesnym, że stracili ten kraj, który był im przez wieki azylem, dla wielu był po prostu jedyną ojczyzną, i gdzie — jak pięknie powiada Rafael Scharf — „kwitła najbardziej twórcza, życiodajna, prężna gałąź narodu w diasporze”.

Andrzej SZCZYPIORSKI

P.S. Scharf wspomina o jakiejś enuncjacji premiera Begin, krzywdzącej Polaków okresu wojny. Na ten temat nie mam nic do powiedzenia, bo poglądu Begin nie znam. Jeśli jednak mó-

wił rzeczy — zdaniem Scharfa — oburzające, to nie zamierzam rozdzierać szat. Znam także innych premierów, którzy wygadują idiotyzmy, uwłaczające zarówno cudzoziemcom jak i własnemu narodowi. W dzisiejszych czasach jest to zjawisko banalne.

Oczywiście znajdują się w Polsce ludzie, którzy z powodu głupstw Begin podniosą krzyk, bo właśnie w ten sposób dochodzą do głosu różne nasze kompleksy. Niekiedy bywają one komiczne, ale — niestety — wchodzi tu też w grę czynnik ślepego gniewu.

Właśnie w tym Polacy i Żydzi są do siebie podobni. Charakteryzuje ich przewrażliwienie, każdy drobiazg interpretują na swoją niekorzyść, doszukując się złych, ukrytych intencji. Jakby to miało w ogóle znaczenie dla współczesnych kondycji polskiego i żydowskiego losu...

A zatem, cokolwiek powiedział Begin — Bóg z nim! Jest rzeczą Izraelczyków rozliczać własnego premiera z jego publicznych głupstw i nietaktów. Co do mnie — mam większe zmartwienia!

A. S.

TOM 288 — BIBLIOTEKI « KULTURY »

ALEKSANDER SOŁŻENICYN

ARCHIPELAG GUŁAG

Tom III

w przekładzie Michała KANIOWSKIEGO

Str. 544.

Cena F. 110,00.

Książki

Powstanie Warszawskie w książce i recenzjach

(O KSIĄŻCE J.K. ZAWODNEGO *NOTHING BUT HONOUR*)

Należąc do pokolenia które wczesną młodość przeżyło w Polsce Podziemnej, znam jego bóle, gorycze, rozpacz klęski i tę — najtrudniejszą do ogarnięcia młodym umysłem — bezsilność wobec wielkiej zdrady sojuszników. I dlatego właśnie patrzę na nasze „potępienieczne swary” z możliwie największą wyrozumiałością i unikam krytykowania tych, z których każdy przeszedł swoje piekło. Ale zdarzają się sytuacje, które dla dobra naszej wspólnoty żądają wyraźnego naświetlenia, bez liczenia się z psychicznymi skrzywieniami pokolenia.

Chodzi o recenzje z książki prof. J. K. Zawodnego *Nothing but Honour: The Story of the Warsaw Uprising 1944*, (Hoover Institute Press, Stanford, 1978). Duży kawał życia (11 lat) poświęcił autor na jej napisanie chociaż książka liczy tylko 328 stron drobnego druku. Każdy z piszących zna ból obcinania manuskryptu, który ze względów wydawniczych „musi być skrócony”. J. K. Zawodny musiał zrezygnować z 600 stron maszynopisu obciętego o 60% (m.in. z cennych dokumentacji, których wydawcy nie uznali za dostatecznie interesujące dla amerykańskiego czytelnika). Na swych 328 stronach, wliczając dokumenty, bibliografię i indeksy, Zawodny zmieścił nie tylko obraz 63 dni Powstania, ale również informacje oparte na archiwalnych materiałach nigdy poprzednio nie wykorzystanych, na niepublikowanych manuskryptach, i na wywiadach z 76 osobami z siedmiu krajów.

Powstało z tej benedyktyńskiej pracy dzieło pomnikowe. Trwałe miejsce w światowej literaturze zapewnia mu obiektywizm posunięty do skrajności. Nie byłem w Warszawie w 1944, ale sądzę iż dla wielu tych, którzy przeżyli Powstanie (a należy do nich również autor tego dzieła), jego obiektywizm jest trudny do zniesienia! Ale właśnie ten chłodny dystans do przedstawionych wydarzeń zapewnił książce pełne uznanie cudzoziemskich krytyków.

Powstanie Warszawskie jest jedyną wielką bitwą Drugiej Wojny Światowej, w której jedną stronę stanowiły oddziały podziemnej organizacji militarnej nazwanej „Armia Krajowa”, uzbrojonej w chwili rozpoczęcia akcji w 1.000 karabinów, 60 lekkich i 7 (!) ciężkich karabinów maszynowych, oraz trochę granatów i broni krótkiej, podczas gdy druga strona była regularną armią dysponującą lotnictwem, najcięższą artylerią i czołgami, zaprawioną w rzemiośle wojennym od lat pięciu. Kto chce zrozumieć czy wyjaśnić fenomen 63-dniowej walki powstańczej Warszawy przeciwko miazdzącej przewadze wroga, nie może zaufać analizom strategów i taktyków walk ulicznych, przeliczeniom technicznych i terenowych możliwości stron walczących, badaniom fachowości dowództwa itp. Wszystkie one pozostawiają nas bezradnych wobec tajemnicy tego tragicznego wydarzenia, jakim były dwa miesiące zacieklej walk i obrony oblężonych i miazdżonych z powietrza i ziemi dzielnic umierającego miasta. Aby tę tajemnicę zbadać trzeba przenieść się na ulice, barykady i piwnice walczącej Warszawy, zajrzeć do notesów, zapisków, dzienników młodocianego wojska, zbadać jego morale wojskowe i obywatelskie, jego *esprit de corps*, motywacje poświęcenia i miłość do tej męczennicy, o której ci młodzi ludzie nauczyli się nie mówić, jak w pokoleniu ich ojców sugerował Kasprzowicz, się nie mówić, jak w pokoleniu ich ojców sugerował Kasprzowicz, pisząc: „Rzadko na moich wargach...”. Prof. Zawodny zrobił gigantyczny wysiłek aby tę tajemnicę tkwiącą w sile patriotyzmu polskiego ujawnić i *udokumentować* poprzez chłodne zestawienie faktów, wsparte badaniami archiwalnymi, relacjami świadków i wywiadami z tymi, którzy w taki czy inny sposób z owymi wydarzeniami byli związani.

Nie podjąłem się pisania recenzji. Chęć się natomiast zająć recenzjami innych. Zgromadziłem ich aż 19, ogłoszonych w języku angielskim, z których trzy zostały napisane przez Polaków. Pomijam recenzje ogłoszone w polskim języku, gdyż mają one zupełnie inne znaczenie dla społeczności emigracyjnej. Polak recenzujący dla anglosaskiego czytelnika książkę o fragmencie naszej historii ma chyba jakiś moralny obowiązek liczenia się z faktem, że pisze dla ludzi nie znających ani naszej historii, ani naszych własnych o nią sporów. Opinie recenzenta przyjmują więc jako rzetelną informację.

Otóż dwie najbardziej zastanawiające recenzje wyszły spod piór byłych towarzyszy broni autora, uczestników Powstania. Obie recenzje są nie tylko krytyczne i bagatelizujące książkę, ale podają także skrzywione opinie o wydarzeniu historycznym, które zaciążyło na losie całego narodu.

Dr Jan Ciechanowski, autor kontrowersyjnej książki o Powstaniu Warszawskim, ogłosił recenzję z książki Zawodnego w *The Times Literary Supplement* (8 July 1978). Można oczywiście sądzić, iż kierowała nim miłość prawdy „*amicus Plato, sed magis amica veritas*”. Tylko jakież to dziwne, iż znaczna część recenzji (ok. 2/3) nie dotyczy materii recenzowanej książki. Krytyka Ciechanowskiego idzie po linii analiz politycznych, przeprowadzo-

nych w jego własnej książce. Tymczasem książka Zawodnego zaczyna się na tym na czym skończyła się książka Ciechanowskiego. We własnej książce, Ciechanowski wydał opinię o Powstaniu, jego przyczynach i rezultatach bez badań nad jego przebiegiem i akcją dyplomatyczną, która toczyła się równolegle z walkami w Warszawie. Przypomina to trochę zachowanie sędziego wydającego wyrok o wydarzeniu, którego przebiegu nie badał, a oparł się jedynie na wiedzy o przyczynach, które do tego wydarzenia prowadziły oraz powszechnie znanych ostatecznych skutkach. Ale to była jego książka. Prof. Zawodny natomiast nie ocenia decyzji podjęcia Powstania, gdyż tej sprawy nie badał. Zdumiewa również fakt, że Ciechanowski pisząc swą recenzję jakby nie zauważa, iż Zawodny przebadał zbiory archiwalne, do których on sam nie miał dostępu. (Archiwum St. Mikołajczyka i „Roosevelt's Papers”). Zarzuca natomiast Zawodnemu, iż ten:

„...zaledwie dotknął dwóch zasadniczych problemów: początku i rozwoju Armii Krajowej i splotu czynników prowadzących do decyzji powstania”.

Tymczasem już na pierwszej stronie wstępu do swej książki, Zawodny stwierdza: „...początek i rozwój organizacji A.K. i złożone czynniki prowadzące do podjęcia przez Polaków decyzji wszczęcia Powstania w Warszawie — leżą poza zakresem tej pracy” (str. 11).

Recenzent wytyka również autorowi, iż nie powiedział wyraźnie czy „autorzy Powstania kierowali się we wszystkim co robili doktryną dwóch wrogów...”. A przecież to nie teoria przywódców polskich ale najokrutniejsze realia polityczne postawiły naród polski w kleszczach potęg, w których żywotnym interesie było zniszczenie tych, którzy od wieków blokowali rosyjską drogę do Europy i niemiecki *Drang nach Osten*. Pod tym względem interes hitlerowskich Niemiec i stalinowskiej Rosji, podobnie jak niegdyś Hohenzollernów i Romanowych, pozostał zbieżny.

Niemcy liczyli, iż załatwią sprawę na wieki. W przemówieniu z 21 września 1944 roku Himmler twierdził, iż stłumienie Powstania „będzie oznaczać zniszczenie Warszawy, stolicy, jądra, kwiatu inteligencji tego niegdyś 16-17-milionowego narodu, który od 700 lat zagradza naszą drogę na wschód; od czasów pierwszej bitwy pod Tannenbergiem (Grunwald) zawsze stał nam na tej drodze. Polski problem przestanie zatem istnieć dla naszych dzieci i dla tych wszystkich którzy przyjdą po nas a nawet dla nas samych”. (*Rede des Reichsführer SS z Central Commission for the Investigation of Nazi Crimes in Poland, file 1101/Z/II, item 17*).

Stalin wyraził swój pogląd na rozwiązanie sprawy polskiej deportacją 1.692.000 obywateli polskich (teki płk. J. Lisa, Archiwum Instytutu J. Piłsudskiego w Londynie) i likwidacją 42 % polskiego korpusu oficerskiego, podobnie jak i później procesem

Okulickiego i 16-tu, oraz ostatecznym rozbiemem inteligencji polskiej jako samoistnej warstwy społecznej w okresie 1945-1953.

Dr Ciechanowski odrzuca taką interpretację wydarzeń zarówno w swojej własnej książce o Powstaniu, jak i krytykuje użycie jej przez innych. W recenzji powrócił również do swego tłumaczenia Stalina w sprawie zatrzymania się Armii Czerwonej nad Wisłą, pisząc: „...jest rzeczą prawdopodobną, iż wyjaśnienie można znaleźć w zaabsorbowaniu (*preoccupation with*) ofensywą bałkańską, która rozpoczęła się 20 sierpnia...”.

A oto co miał do powiedzenia o książce Zawodnego, inny jego towarzysz broni i kolega z amerykańskiej *political science*, Andrzej Korboński, profesor Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles. Recenzję swoją zamieścił w kwartalniku *Russian Review* (vol. 38, No. 1, January 1979), a więc w piśmie przeznaczonym dla węższego kręgu amerykańskich speców od spraw sowieckich i wschodnio-europejskich.

Prof. Korboński swoją krótką recenzję podsumował twierdzeniem, iż Zawodny „prawie nie zrobił żadnego wysiłku aby wyjść poza standardowe odpowiedzi, aby szukać jakichś alternatywnych wyjaśnień”. Powstanie nie było — jak twierdzi Korboński, „większą utarczką (*major encounter*), która by decydowała o „końcu wojny lub losie kraju”. Tymczasem ten autor, który „nie zrobił żadnego wysiłku”, podaje w oparciu o polskie i niemieckie materiały, iż w tych 63 dni trwających zmaganiach, niemiecka strona straciła 10.200 zabitych, 7.000 zaginionych, i 5.000 ciężko rannych, podczas gdy strona polska straciła 10.000 w zabitych, 7.000 zaginionych i 5.000 ciężko rannych. Niemcy jednak zamordowali przez bombardowanie artyleryjskie i lotnicze, i w masowych egzekucjach 200.000 do 250.000 ludności cywilnej. Straty materialne i dóbr kulturalnych Warszawy są równie wielkie i dobrze znane przynajmniej Polakom.

Prof. Korboński sugeruje, że Powstanie nie miało znaczenia dla losu kraju. Prof. Zawodny zaś cytuje, że 6 sierpnia gen. Bór-Komorowski drogą radiową informował Londyn: „Jest rzeczą oczywistą, iż jeśli Powstanie w Warszawie upadnie, władza przejdzie w ręce komunistów nie tylko w Warszawie ale także w całym kraju”. Podobnie ze wszystkich innych depeesz nadawanych do Londynu przez powstańcze radiostacje, Zawodny ukazał w sposób nie pozostawiający żadnej wątpliwości, iż kierownictwo walczącej Warszawy w pełni zdawało sobie sprawę iż w ich walce i dyplomatycznych wysiłkach rządu londyńskiego w okresie Powstania rozstrzyga się los Polski. Wiedzieli o tym wszystkie zainteresowane strony. Dlatego w raporcie z 7 września gen. Bór-Komorowski stwierdził: „Charakterystyczną cechą sytuacji frontowej (*combat situation*) jest praktycznie zupełne zaprzestanie walk pomiędzy Niemcami i Rosjanami. Co więcej, obserwujemy... wygrzewanie się na słońcu po obu stronach ich linii frontu, chociaż dystans pomiędzy ich pozycjami wynosi tylko 300 metrów (str. 175).

Następnie stwierdza Korboński, że Powstanie „zajęło raczej

na krótko uwagę Wielkiej Trójki — Churchilla, Roosevelta i Stalina — żaden z nich nie był nim poważnie zainteresowany (*seriously involved in it*). Ale Zawodny nie ocenia, nie wartościuje. Załatwia wszystko dokumentami. Pokazują one wymianę radio-telegramów między Wielką Trójką, opinie ich ambasadorów, próby nacisku na sowieckiego sojusznika, różnice w stosunku do Polski między Churchill'em a Roosevelt'em, oraz potęgę dezinformacji. Autor zajął się przedstawieniem tej akcji dyplomatycznej aż na 12 stronach (str. 124-136), wykorzystując w tym celu dokumenty nieznanne ani Ciechanowskiemu (przynajmniej w okresie pisania jego pracy o Powstaniu), ani Korbońskiemu. Należy pamiętać, iż walka dyplomatyczna nie była rozstrzygnięta 1 sierpnia 1944 roku. Wprawdzie było to już po Teheranie (18 października - 4 listopada 1943), wprawdzie Maurice Gomberg już w 1942 roku wydał dużego formatu mapę świata, w której cała centralno-wschodnia Europa (w imię „Nowego Moralnego Porządku Świata”) składa się z sowieckich republik, nie mniej jednak dyplomatyczne wysiłki nie były jeszcze skazane na ostateczną klęskę. A były to wysiłki nie tylko rządu polskiego w Londynie ale i niektórych zachodnich mężów stanu. Zawodny chłodno cytuje:

17 sierpnia ambasador amerykański w Moskwie W. Averell Harriman wysłał z Moskwy dwie depesze radiowe do Roosevelta i jego Sekretarza Stanu, kodowane jako najwyższa tajemnica (*top secret*). Zajął w nich zdecydowane stanowisko w sprawie sowieckiego postępowania i zalecał prezydentowi wysłanie mocnej noty (*strong message*) do Stalina oraz prosił o zezwolenie na jej osobiste doręczenie Stalinowi lub Mołotowowi gdyby pierwszego z nich nie było w Moskwie. „...nie możemy akceptować sowieckiego stanowiska, kiedy pozwalają oni Polakom walczącym w Warszawie być zabijanymi, bez kiwnięcia palcem (amerykańskie powiedzenie: *without lifting a hand*), i arbitralnie przeszkadzając nam w wysiłkach pomocy” (str. 124).

Obciążenie około 600 stron maszynopisu zmuszało autora do podawania skrótów nawet tak cennych dokumentów jak druga depesza radiowa Harrimana, przekazująca treść odpowiedzi Wyszyńskiego na domaganie się prawa lądowania maszyn amerykańskich na sowieckich lotniskach. Niechże mi będzie wolno tutaj podać w całości tekst deklaracji Wyszyńskiego. Oto ona:

„Rząd sowiecki oczywiście nie może sprzeciwiać się angielskim i amerykańskim zrzutom broni na obszarze Warszawy, ponieważ jest to amerykańska lub brytyjska sprawa (dosłownie: afera — *affair*). Ale stanowczo sprzeciwia się lądowaniu amerykańskich lub angielskich samolotów na sowieckim terytorium po zrzutach broni w rejonie Warszawy, ponieważ rząd sowiecki nie życzy sobie być pośrednio lub bezpośrednio związany z awanturami (*adventures*) w Warszawie” (Gunther Deschner, *Warsaw Rising*, Ballantine Books Inc., New York, 1972).

Jest to jeden z bardziej obraźliwych tekstów jakie Moskwa

przesłała na Zachód, i bez reszty określa stosunek władz sowieckich do ginącej stolicy walczącego alianta.

Tego samego dnia (17 sierpnia 1944) Roosevelt upoważnił Harrimana, aby ten osobiście przynaglił Stalina do „ponownego rozważenia sowieckiej postawy, w sprawie zorganizowania ochronego bombardowania przy zrzutach dla polskich sił podziemnych w Warszawie. Jeszcze tej samej nocy ambasadorowie Anglii i Ameryki naciskali Mołotowa, który nadal powtarzał, iż cele Powstania są wrogie w stosunku do Związku Sowieckiego. Następnego dnia Churchill przekazał Rooseveltowi kopie depeszy od Stalina, w której zapewniał Churchilla, że wydał „rozkazy aby dowództwo armii przedsięwzięło intensywne zrzuty broni w rejonie Warszawy”. Było to 18 sierpnia. Powstańcy jednak do brze pamiętają, iż sowieckie samoloty pojawiły się nad Warszawą dopiero 13 września! Czyżby cały miesiąc szedł rozkaz Stalina do dowództwa Armii? Chociaż po wszystkim co zaszło później, i po tym co w ostatnich latach dowiedzieliśmy się o cynizmie Churchilla, nie żyjemy do niego sympatii, warto jednak pamiętać, że to nie on był tym, który pierwszy zrezygnował z pomocy dla Warszawy, i że 18 sierpnia — według dokumentacji Zawodnego — telegrafował do Roosevelta:

„Sowiecka odmowa zezwolenia na lądowanie amerykańskich samolotów niosących pomoc dla bohaterskich powstańców w Warszawie, wraz z faktem, iż oni sami nie dokonują żadnych zrzutów (*complete neglect to fly supplies*), pomimo iż oddaleni są zaledwie o kilka mil, stwarza fakt o głębokim i dalekosiężnym znaczeniu. Jeśli, jak jest prawie pewne, niemieckie zwycięstwo w Warszawie pociągnie za sobą całkowitą masakrę, żadne obliczenia nie są w stanie przewidzieć konsekwencji które nastąpią. Jestem gotów wysłać osobistą notę (*message*) do Stalina, jeśli pan sądzi, iż będzie to roztropne (*wise*), i jeśli pan również wyśle oddzielnie podobną” (str. 125).

Niestety Roosevelt i jego sekretarz stanu nie zamierzali psuć swych przyjaznych stosunków ze Stalinem. Toteż tego samego dnia Cordell Hull potwierdził stanowisko Roosevelta w depeszy radiowej do Harrimana stwierdzającej, iż „Prezydent nie jest skłonny posuwać się tak daleko jak Brytyjczycy w próbie zmuszenia Sowieców do współdziałania lub uczestniczenia w wysyłaniu pomocy dla (polskiego) Podziemia... Nasz główny cel został osiągnięty...” (str. 125).

W dwa dni później Harriman odpowiedział:

„...nie rozumiem jak można sądzić, że nasz główny cel został osiągnięty i mocno czuję, że powinniśmy dać Sowiecom do zrozumienia nasze niezadowolenie z ich zachowania, nawet jeśli to nie przyniesie natychmiast widzialnych rezultatów” (str. 125).

Wreszcie bardzo ogólnie sformułowana depesza łączna od Roosevelta i Churchilla, w której wodzowie zwycięskiego Zacho-

du nie mówią czego żądają od swego z wielkim wysiłkiem uratowanego sojusznika, tylko w co wierzą:

„Wierzmy, iż nasza trojka powinna zrobić wszystko aby uratować tylu polskich patriotów ilu można. Mamy nadzieję, iż pan natychmiast zrzuci sprzęt i amunicję dla patriotycznych Polaków w Warszawie albo zgodzi się aby nasze samoloty wykonały to bardzo szybko...” (str. 125).

Roosevelt z niewątpliwą pomocą Hulla zrezygnował z dalszych starań ratowania tych, których tak niedawno nazywał „natchnieniem narodów”. 24 sierpnia depeszował drogą radiową do Churchilla:

„Moje informacje wskazują, iż dostawy sprzętu dla warszawskich Polaków (*Warsaw Poles*) praktycznie są rzeczą niemożliwą dopóki nie wolno nam lądować i startować z sowieckich lotnisk, a władze sowieckie zabraniają nam użycia ich (lotnisk) dla pomocy Warszawie. Nie sądzę żebyśmy mogli w obecnym czasie podjąć jakieś dodatkowe kroki, które by mogły przynieść jakiś rezultat... Odpowiedź Stalina... na naszą wspólną notę o warszawskich Polakach jest daleka od ośmiania nas w naszych chęciach niesienia pomocy (*wishes to assist*)” (str. 126).

Churchill nadal jednak nie ustępował i 25 sierpnia wysłał radio-telegram do Roosevelta (tak mało wiemy o tych sprawach, że podaję ten dokument w surowym tłumaczeniu z małymi opuszczeniami):

„Odpowiedź Wujka Jozia (*Uncle Joe*) niczego nie dodaje do naszej wiedzy, a unika on odpowiedzi na konkretne (*definite*) pytania. Sugeruję następującą odpowiedź: 'Jak najbardziej pragniemy wysłać amerykańskie samoloty z Anglii. Dlaczegożby nie miały one lądować dla zatankowania paliwa w miejscach nam wyznaczonych poza linią rosyjskiego frontu bez dociekania tego co robiły po drodze. W ten sposób dyrektywa waszego rządu odcięcia się (*disso-ciation*) od tego szczególnego epizodu (Powstania — A.G.) zostanie zachowana. ...Nie próbujemy formować opinii na temat osób, które spowodowały to powstanie, do którego radio Moskwa wzywało wielokrotnie (*repeatedly*). Nasze uczucia są jednakże po stronie prawie nieuzbrojonych ludzi, których szczególna wiara prowadzi do atakowania niemieckich armat, czołgów i samolotów... Masakra w Warszawie będzie niewątpliwie bardzo wielkim kłopotem dla nas gdy, wszyscy spotkamy się w chwili zakończenia wojny. O ile by Pan wprost zabronił nam tego (lądowania — A.G.) to też proponujemy wysłanie samolotów” (str. 126).

Roosevelt odpowiedział:

„...nie uważam za korzystne dla ogólnych, długo-planowych celów wojny przyłączenie się do Pana w jego proponowanym piśmie do U.J. (Wujka Józia)” (str. 127).

Jeszcze w dwa dni po upadku Starego Miasta, 3 września,

Brytyjczycy zastanawiali się nad nakłonieniem Roosevelta, aby wspólnie z Churchillem powiedzieć Stalinowi, że nie wyślą naszęgo konwoju z dostawami dla Rosji z powodu jego stanowiska w sprawie Warszawy.

4 września Brytyjski Gabinet Wojenny postanowił, iż „jest sprawą najwyższej wagi zrobić wszystko co możliwe w celu pomocy Polakom”. Ale wszystko co uznano za możliwe to ponowne zwrócenie się Churchilla do prezydenta Roosevelta w sprawie pomocy dla Warszawy ponieważ amerykańskie lotnictwo jest upoważnione do zrzutów, i jeśli to konieczne „wyłamanie sobie wejścia (*gate-crashing*) na rosyjskie lotniska” (str. 129). Wojenny Gabinet sądził, iż odkąd przestało być tajemnicą, że Sowiety nie pozwalają użyć swoich lotnisk, „Stalin może nie rozumie, jak głęboko poruszona jest opinia publiczna” (*ibid.*).

I Churchill znowu telegrafował do Roosevelta używając tak mocnych słów jak *we beg* — my błagamy o ponowne rozpatrzenie tej sprawy o wielkim znaczeniu (*big stakes involved*).

„Czy nie mógłby Pan upoważnić swoich sił lotniczych do przeprowadzenia tej operacji (zrzutów — A.G.) z lądowaniem, jeśli to konieczne, na rosyjskich lotniskach bez ich formalnego pozwolenia?”.

Dalej tłumaczył Rooseveltowi, iż Rosjanie nic nie będą mogli zrobić wobec takiego *fait accompli*, i że może to być nawet na rękę Sowietom. A w następnej depeszy radiowej do Roosevelta komentując stanowisko swego Gabinetu Wojennego, donosił:

„Gabinet Wojenny nie może zrozumieć, iż rząd pana odrzuca wzięcie pod uwagę zobowiązań brytyjskiego i amerykańskiego rządu w sprawie pomocy Polakom w Warszawie. Przecistawienie się przez rząd Pana wysłaniu tej pomocy wydaje się nam niezgodne z duchem alianckiej współpracy do której wy i my przywiązujemy tak wielkie znaczenie...” (str. 130).

W archiwum brytyjskim (*British Cabinet Papers*) zachowana jest odpowiedź Roosevelta z 5 września. Jest to jedno z tych najgroźniejszych świadectw stosunku amerykańskich ośrodków władzy do sprawy polskiej w tak tragicznym dla nas roku 1944

„Wywiad wojskowy poinformował mnie, że walczący Polacy (*fighting Poles*) opuścili Warszawę i że Niemcy mają teraz pełną kontrolę. Problem pomocy dla Polaków w Warszawie został więc niestety rozwiązany przez opóźnienie i akcję niemiecką” (str. 130).

Wysiłki dyplomatyczne bynajmniej nie zostały zakończone sławetnymi doniesieniami amerykańskiego wywiadu. Polska miała jeszcze przyjaciół nawet wśród amerykańskich dyplomatów. Ambasador Harriman 10 września, po otrzymaniu tekstu sowieckiej odpowiedzi dla Brytyjskiego Gabinetu Wojennego, wyjątkowo beczelnej, m.in. oskarżającej Brytyjczyków o niepowstrzymanie Polaków od akcji związanej z „wypadkiem katyń-

skim" (*Katyn incident*), powiadomił o tej sowieckiej wypowiedzi swego prezydenta i sekretarza stanu. W swoim radiowym raporcie stwierdzał on, iż jest dla niego rzeczą oczywistą, że Sowietci błędnie interpretują szczodłą pomoc amerykańską, „jako oznakę naszej słabości i akceptacji ich polityki” (str. 131). Znając sytuację w Waszyngtonie podkreślał dwukrotnie, iż chce osobiście złożyć raport prezydentowi. Niestety pomiędzy nim a Rooseveltem stała najbardziej nam wroga osobistość w obozie aliantów — Mr. Harry Hopkins.

Prof. Zawodny znalazł w dokumentach Roosevelta tekst memorandum, złożonego przez Hopkinsa Rooseveltowi, w którym Hopkins po raz pierwszy nakłania prezydenta do natychmiastowego wszczęcia pomocy dla Warszawy. Ale było to dopiero 11 września 1944 (!). Siedem dni później nastąpił pierwszy rzut amerykański. Ale gdy w dziewięć dni potem, 27 września, Amerykanie zdecydowali się na podjęcie drugiej wielkiej operacji lotniczej (kryptonim *Frantic 8*) na sowieckie zezwolenie musieli czekać aż do 30 września. 1 października główna komenda *U.S. Strategic Forces in Europe* została poinformowana przez Rosjan, że „warszawscy partyzanci zostali ewakuowani” (str. 136).

Na tym zakończyły się alianckie próby pomocy dla niepotrzebnego już sojusznika. Dodajmy jeszcze do spokojnego i obiektywnego przedstawienia przez J.K. Zawodnego akcji dyplomatycznych, uwieńczonych sabotażowanymi przez Moskwę próbami pomocy lotniczej (strony 124-136), iż według informacji niemieckiego rekonansu lotniczego, Armia Czerwona miała w tym czasie w rejonie Warszawy 60 lotnisk polowych i 2.400 samolotów. (G. Deschner, *op. cit.*, str. 5-126).

Czy opinie dwóch recenzentów (polsko-angielskiego i polsko-amerykańskiego) zasługują na to aby przytaczać aż tyle dowodów ich błędności? Na pewno nie! Książki posługujące się faktami przeżywają opinie niechętnych krytyków. Zacytowałem jednak tak wiele dokumentów, aby prawdzie o tamtych dniach ułatwić drogę do tych czytelników, dla których książka Zawodnego nie będzie łatwo dostępną.

Bezpodstawność zarzutów obu wyżej wymienionych recenzentów zasadza się głównie na tym, iż w sierpniu i wrześniu 1944 roku nikt nie mógł być pewien czym zakończy się akcja dyplomatyczna na Zachodzie. Można było w pełni doceniać prosowieckie sympatie rooseveltowskiego rządu, ale oprócz ciężko już chorego Roosevelta był jeszcze zdrowy i trzeźwy Churchill. Niemcy byli upadającym kolosem, każdy dzień mógł przynieść następny zamach na Hitlera. A presja aliantów na Stalina mogła być silniejsza, lub okazać się skuteczniejsza. O działaniu całej sieci sowieckich szpiegów, różnych Philby'ch, McLean'ów i Burgess'ów motających politykę Zachodu, nie wiedziały jeszcze nie tylko polskie ośrodki polityczne, ale też i anglosaskie.

Tak więc widzimy, że Powstanie mogło nie tylko zakończyć się inaczej, ale i poważnie zmienić sytuację na wschodnim fron-

cie. Jaką więc cenę przywiązywał Stalin do zniszczenia Warszawy i pogrzebania największego skupiska inteligencji polskiej, że zrezygnował z wydarcia Niemcom tej Warszawy — symbolu oporu, stolicy kraju, który pierwszy stawiał Hitlerowi zbrojny opór...? Nie trzeba zbytniej wyobraźni, aby pojąć, iż uwolnienie Warszawy już w sierpniu czy wrześniu 1944 roku byłoby dla wielu myślących Niemców widomym znakiem ostatecznej klęski, dla Rosjan zdobyło wdzięczność uwolnionych mas stolicy, a Armii Czerwonej dało zdobycie potężnego przyczółka na lewym brzegu Wisły, z pomocą Polskiego Podziemia. To wszystko okazało się nie dość cenne w porównaniu do zysku jaki Stalin widział w zniszczeniu głównego centrum polskiej kultury, myśli politycznej i militarnego oporu.

Oprócz wymienionych wyżej zarzutów, których niesłuszność starałem się wykazać, A. Korboński ma pretensje do autora, iż nie odpowiedział na szereg najważniejszych problemów. A mianowicie: 1) Dlaczego wydano rozkaz wszczęcia Powstania? 2) Czy Armia Czerwona mogła zająć Warszawę, czy też została zatrzymana przez Stalina? 3) Czy Churchill i Roosevelt mogli zrobić coś więcej dla powstańców? 4) Czy stosunki pomiędzy rządem londyńskim a Podziemiem wpłynęły na decyzje rozpoczęcia Powstania? i wreszcie 5) Jaka była rola komunistów w przygotowaniu do objęcia władzy?

A. Korboński twierdzi, że autor — chociaż zna te pytania — daje na nie jedynie standardowe odpowiedzi. Czytelnik nieznający dzieła Zawodnego przyjmuje słowa krytyka z dobrą wiarą; czytelnik, który je zna, jest trochę zaskoczony, ale ziarno podejrzliwości zostało w nim zasiane: może istotnie można by jakoś inaczej wytłumaczyć rozkaz powstania niż tłumaczy to Zawodny na pierwszej stronie wstępu; może istotnie można by wyjaśnić postępowanie Stalina inaczej niż straszną wymową dokumentów?

Zawodny dowiódł na podstawie sowieckich dokumentów, że pomiędzy 6 a 8 sierpnia dowództwo II-go i I-go Frontu Białoruskiego wydało rozkazy operacyjne oparte na przypuszczeniu, że sowiecka Komenda Główna zezwoli na uderzenie i zajęcie Warszawy 25 sierpnia. Ale pozwolenie (z tej samej Moskwy, która do końca lipca wzywała Warszawę do Powstania) nie nadeszło. Natomiast 13 sierpnia ukazał się komunikat TASS'a potępiający Powstanie.

Wywód i konkluzja Zawodnego na temat zachowania się Rosjan przedstawiona w rozdziale „The Red Army” są jasne i przekonujące dla nieuprzedzonych. Kończąc ten rozdział autor pisze:

„Jedna rzecz jest pewna: na podstawie wszystkich osiągalnych danych jest widoczne, że decyzje Stalina w sprawie Warszawy podjęte w drugim tygodniu sierpnia były podyktowane nie względami wojskowymi ale politycznymi, ponieważ Naczelný Wódz i tylko on posiadał

władzę pchnięcia naprzód lub wstrzymania Pierwszego Białoruskiego Frontu Rokossowskiego”.

Więc Zawodny odpowiedział na to pytanie.

Na trzecie pytanie Korbońskiego odpowiadają przedstawione uprzednio akcje dyplomatyczne, rozbieżność stosunku Churchilla i Roosevelta do sprawy polskiej, i dezinformacje wywiadu amerykańskiego.

Stosunkami pomiędzy rządem polskim w Londynie a władzami Polski Podziemnej autor się nie zajmuje, gdyż wyraźnie ustalił zakres swoich badań:

„...książka rozważa skutki tej decyzji — rzeczywisty przebieg walk w mieście i ich dyplomatyczne reperkusje — miejsce w którym rozpoczęło się 1 sierpnia 1944, dzień w którym powstańcy wyszli na ulice. Do tego co miało miejsce przed tą datą nawiązuję jedynie, gdy jest to konieczne dla zrozumienia wydarzeń” (str. 11).

Rolą komunistów polskich zajął się autor na wielu stronach (39, 41, 187), naświetlając ich plany, siły (2.000 według oficjalnych partyjnych danych), a nawet plany gen. Montera, jak po wejściu wojsk rosyjskich utworzyć „Warszawski Korpus A.K.” dla kontynuowania walki z Niemcami, który jednakże nie byłby wcielony do 1-szej Armii Berlinga. (Złudzenie, iż w ten sposób można będzie ratować A.K. po zalaniu kraju przez Armię Czerwoną pojawiło się i później. W zimie 1944/1945 roku na terenach zalanych i sterroryzowanych przez NKWD, dotarł do moich rąk rozkaz podpisany przez gen. „Zwornego” wzywający oficerów i żołnierzy A.K. do stawienia się w swoich placówkach celem dekonspiracji i utworzenia 1-szej Dywizji A.K. przy boku Armii Czerwonej. Ta tylko różnica między planami Montera i Zwornego, iż ten drugi podpisał swój rozkaz w więzieniu NKWD w Rzeszowie).

Trzeci polski recenzent prof. J. Lerski (University of San Francisco) ogłaszając swoją trzy-stronicową recenzję w *World Affairs Report* uznaje dzieło Zawodnego za najpoważniejszą monografię na temat Powstania, ale całą trzecią stronę poświęca wytykaniu „drobnych błędów” tej „wyjątkowej książki”. Wierzę, że recenzenta poniósł ferwor krytyka, gdy napisał, że „największa słabość tego, skądinąd solidnego dzieła, wiąże się z Dra Zawodnego słabą znajomością polityki własnego kraju”. Zarzut kompromitujący w oczach cudzoziemców, którzy nie mogą sprawdzić czy przykłady podane przez prof. Lerskiego są znaczące. A podstawy do tego zarzutu są na przykład takie: że autor nazwał prezydenta Wojciechowskiego profesorem, którym ten nigdy nie był. Tymczasem myli się nie autor lecz recenzent. St. Wojciechowski był od 1918 roku profesorem w Wyższej Szkole Handlowej w Warszawie (patrz *Czy wiesz Kto to Jest*, Warszawa, 1938, str. 810). Również zarzuty, że jest błędem nazwanie gen. Ludomiła Rayskiego, nie generałem a *commodore* (Gen. Rayski właśnie w takim stopniu latał w 1944 roku), lub błędne nazwanie Adama

Ciołkosza — ministrem (poprawione na stronie 244), i tym podobne, nie dają podstaw do tak ostrej uwagi. Oczywiście recenzji prof. Lerskiego nie stawiam w jednym rzędzie z recenzjami Ciechanowskiego i Korbońskiego. Ci ostatni nie tylko nie chcą czy nie mogą zrozumieć wartości książki, ale mają spaczony stosunek do całej tragedii Powstania. Łączy je jedynie — choć w różnym stopniu — kompromitowanie w prasie kraju osiedlenia dzieła tak bardzo ważnego dla tego co przywykliśmy nazywać *polską sprawą*. Jest to pierwsza naukowa książka o Powstaniu napisana przez Polaka w języku angielskim. (Czy już żadne więzi solidarności nie łączą członków byłej formacji społecznej zwanej inteligencją polską, która — jako warstwa społeczna — rozsypała się i odeszła w Historię w tamtych dniach?).

Książkę prof. Zawodnego zgoda inaczej ocenili Amerykanie i Anglicy. Oto garść przykładów: w *America's Future* (vol. 20, Nr 19) Allan C. Bronnfeld zauważył, iż jest to „historia nieporównywalnej polskiej odwagi”, „jest to historia nieudzielenia pomocy Polsce nie tylko przez Armię Czerwoną... ale także opuszczenie jej przez Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię...”. Ten cudzoziemiec uchwycił tak cenną uwagę Zawodnego jak ta, iż przez oddanie Stalinowi wschodnich ziem polskich dano mu do zrozumienia, iż nie musi na serio traktować polskiego rządu w Londynie. „Zarówno Roosevelt jak i Churchill nie wierzyli że 'Karta Atlantycka', która zapewniała, iż 'żadne zmiany terytorialne' nie mogą mieć miejsca bez 'swobodnie wyrażonej woli danego ludu' — winna być zastosowana do Polski”.

W *Chronicles of Culture* (vol. 3, nr 1), Leo F. Raditsa zestawiając książkę Zawodnego z książką M. Djilasa pt. *Wartime*, podkreśla, że podczas gdy obaj autorzy piszą o wypadkach, których byli świadkami:

„Djilas nie może się od nich oderwać, prześladować go jak zwidy Chagalla, nie pozwalają ani na przebudzenie się ani na sen. Zawodny, przeciwnie, pisze prawie jak gdyby on sam nie walczył w Warszawie. Utrzymuje dystans — dystans profesora amerykańskiego uniwersytetu którym został, ponieważ pragnie napisać historię a nie wspomnienia. I osiąga sukces zrozumienia historycznego, to jest zrozumienia Powstania Warszawskiego nie tylko w kategoriach osobistych ale w kategoriach wszystkich walczących stron”.

Jedną z najpoważniejszych, gdyż napisaną przez fachowca od spraw wojskowych, jest recenzja generała majora Franklina M. Davisa Jr. (były komendant *Army War College* i znany autor prac z dziedziny wojskowości). Ten Amerykanin docenił nie tylko przeoranie masy źródeł, a w tym niektórych dotychczas nieznanych (*Roosevelt Papers*) „które dają nowe spojrzenie”, ale ocenił także wysiłek starannego („krok po kroku”) opisu tej „najdłuższej i najkrwawszej walki powstańczej w mieście podczas drugiej wojny światowej”. Amerykański specjalista od spraw wojskowych składa autorowi słowa najwyższego uznania

za przedstawienie dramatycznej i pełnej intrygi dyplomacji, okrucieństwa walk i wyniszczenia sił polskich, twierdząc iż Zawodny pisze tak metronomiczną prozą, „że aż wielce obniża porywający heroizm historii, którą przedstawia”.

Ambasador Herbert J. Spiro (*Woodrow Wilson International Center for Scholars*) twierdzi, iż książka jest „bardziej zniewalająca i trzymająca w napięciu niż większość dreszczowców (*thrillers*), a oparta na uderzająco pracowitych badaniach”. Ambasador George Kennan uważa tę pracę za „definitywny”, oraz „piękny i trwały wkład w historię współczesną”.

Trzy pisma o największym wpływie na zakup książek do amerykańskich bibliotek doceniają wartość książki Zawodnego. *Choice*, profesjonalny periodyk bibliotekarzy, informuje, iż książka Zawodnego uwzględniając wiele studiów na temat Powstania, daje definitywne przedstawienie okrutnego wydarzenia z Drugiej Wojny Światowej i poleca ją bibliotekom amerykańskim. *The Key Reporter* (Phi Beta Kappa), pismo komitetu rekomendującego książki, podkreśla, iż dzieło to przewyższa wszystkie inne w użyciu oryginalnych źródeł. A *Bibliographia Iulia* podobnie oceniając nową publikację na temat Powstania zwraca uwagę, iż autor wykorzystał archiwa Roosevelta dopiero niedawno udostępnione.

Campus Report (Uniwersytetu Stanford) ogłaszając znakomitą recenzję tej książki przypomina studentom amerykańskim, że prezydent Roosevelt w tajnym spotkaniu ze Stalinem w Teheranie 1943 r.), o którym nie wiedział nawet Churchill, poparł zmianę polskich granic i sowiecką okupację Litwy, Łotwy i Estonii. Protokoły tego tajnego posiedzenia zużytkował Zawodny. (Ale cóż, w czasie gdy każdy poważniejszy *social scientist* doszukuje się dziś, tak jak i w wypadkach Drugiej Wojny Światowej, wielkiej roli tajnych układów, działania i wpływów: dobrze ukrytych sprężyn — wielu polskich autorów wciąż ośmiesza takie dociekania jako tzw. „konspiracyjną koncepcję historii”).

W piśmie o 2½-milionowym nakładzie — *Wall Street Journal*, zamieścił recenzję Aram Bakshian (były doradca Prezydenta i publicysta). Recenzja jego jest nie tylko pochwałą dzieła Zawodnego, o którym pisze iż dał: „zrównoważony ale wstrząsający obraz jednego z najdramatyczniejszych epizodów stracącego heroizmu”..., ale równocześnie przypomina światu historię kraju, którego ostatni wielki król-wojownik Jan Sobieski ratując Wiedeń, położył koniec zagrożenia Europy przez Islam, aż do czasów naftowego embargo. W 1944:

„...gdy pod gruzami Warszawy jej obywatele oddawali życie za suwerenność kraju, na froncie dyplomatycznym przywódcy państw sprzymierzonych zajmowali się likwidowaniem niepodległości Polski”.

Bakshian rozumie to, o czym dziś zapomina wielu, że tragedia Powstania ukształtowała psychikę wielu młodych ludzi, którzy:

„stali się zagorzałymi obrońcami wolności religijnej i osobistej, jak arcybiskup Krakowa, który ostatnio przeniósł się do Rzymu, aby podjąć się nowej pracy pod imieniem Jan Paweł II”.

Sześć pism angielskich (nie licząc polskich wychodzących w Anglii) zamieściło recenzje bardzo dobre, z wyjątkiem tej jednej napisanej przez Polaka a omówionej powyżej. „We wszystkich pokoleniach ludność Polski wykazuje legendarną odwagę” — rozpoczyna swą recenzję Terence Prittie w *Yorkshire Post* (13. IV. 1978) a kończąc ją przypomina Brytyjczykom: „Polacy zostali pozostawieni samym sobie. Nikt, absolutnie nikt, im nie pomógł”. William Harrington w *Tribune* (14. VII. 1978) napisał: „książka jest nadzwyczaj miarodajna, obiektywna i naukowa, co w żadnej mierze nie zmniejsza jej czytelności”. Podobnie ocenia książkę Edward J. Warner w recenzji pt. „Polish Tragedy” zamieszczonej w *The Universe* (28. IV. 1978).

Na szczególną uwagę zasługują recenzje z *The Sunday Times* i *The Manchester Guardian*. W pierwszej z nich Adam Roberts (*lecturer in International relations at London School of Economics*) twierdzi, iż autor „znakomicie przedstawia akcje i atmosferę w powstańczej Warszawie”. A kończąc pisze, iż Zawodny stworzył epitafium nie mniej wymowne niż słowa łączniczki, która zapytana dlaczego czołgała się po kwiaty dla rannych pod ogniem niemieckim, odpowiedziała: „oni są bohaterami narodowymi i ja chciałam coś dla nich zrobić, a to było wszystko co mogłam”.

Mark Arnold Forster w *Manchester Guardian* dał swej recenzji tytuł „The Cold Betrayal”. Powtarza wszystkie najważniejsze zalety książki, na które i inni zwracali uwagę i kończy słowami godnymi zacytowania:

„Jest to książka tragiczna o tragicznym kraju. Jej niezmierną zasługą jest nieubłagana precyzja dokumentacji oraz unikanie przez autora wszelkiej przesady (*careful understatement*)”.

Fachowcy od historii Powstania Warszawskiego mogą i mają pełne prawo wskazać ewentualne błędy czy pomyłki autora *Nothing but Honour*, ale żaden niezłośliwy krytyk tej książki nie może odmówić czy pominąć to wszystko, za co tak go chwalił cudzoziemcy: dystans historyczny, wyczerpująca wszystkie dostępne źródła dokumentacja, żelazna logika faktów, i ten nabyty od Anglosasów, *understatement* w przedstawianiu historii, która jest zapewne najdroższą częścią pamięci autora i której poświęcił 11 lat pracy. A musiała to być praca pełna gorczy, gdyż nie uzyskał ani w trakcie jej pisanie, ani przy staraniach wydawniczych, żadnej pomocy z polonijno-emigracyjnych fundacji. Otrzymał natomiast — jak podaje recenzent Stanfordskiego *Campus Report* — pomoc następujących amerykańskich instytucji i fundacji naukowych: American Council of Learned Societies, Social Sciences Research Council, Institute of Advanced

Study z Princeton, i Center for International Studies Uniwersytetu Harvardzkiego. Świadczy to również o uznaniu jakie musiał sobie autor zdobyć poprzednimi pracami specjalistycznymi.

Pozostawiam to zestawienie recenzji pisanych przez rodaków z recenzjami cudzoziemców do samodzielnego osądu czytelnikom.

Aleksander GELLA

Nadesłane nowości wydawnicze

Jan Paweł II do ludu bożego. Do druku przygotowali: ks. St. Dziwisz, ks. T. Rakoczy, ks. J. Kowalczyk. Str. 163 i 1 nlb. (Wyd. Libreria Editrice Vaticana, Rzym, 1979).

Ziemia i słowo. Opracowanie: Róża Nowotarska. Biblioteka Contry — tom VII. Str. 254 i 4 nlb. (Wyd. A. Poray Book Publishing, New York, 1979).

Jan Paweł II na Polskiej Ziemi — John Paul II in Poland. Teksty: Dominique Le Corre i ks. Marek Sobotka. Str. 120 (wydanie polsko-angielskie). (Wyd. Diminique le Corre, Bagnolet, 1979).

Siostra Łucja mówi o Fatimie (Pisma Siostry Łucji). Zebrał ks. Ludwik Kondor, SWD; wstęp i objaśnienia ks. dr Joachim Maria Alonso, CMF. Str. 163 i 1 nlb. (Fatima, 1978).

SKIBA (Wiktor R.). *Na skibach świata.* Str. 221 i 3 nlb. (Katolicki Ośrodek Wydawniczy Veritas — Tom 91 Serii Czerwonej Biblioteki Polskiej; Londyn, 1979).

DREWNOWSKI (Jan). *Władza i opozycja.* Str. 79 i 1 nlb. (Wyd. nakładem Autora, Londyn, 1979).

BROEL-PLATER (Leon, ks.). *Co teraz?* Str. 15 i 1 nlb. (Wyd. nakładem Autora), Londyn, kwiecień 1979).

KALINOWSKI (Józef — O. Rafał od św. Józefa OCD). *Listy.*

Tom I, część I (1856-1872), str. 443 i 1 nlb.; część II (1873-1877), str. 377 i 1 nlb. Obie części wydał Czesław Gil, OCD. (Wyd. Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Instytut Geografii Historycznej Kościoła w Polsce. Seria — Materiały źródłowe do dziejów Kościoła w Polsce tom 8 i 9; Lublin, 1978; cena cz. I/II — zł. 420).

KOZEŃSKI (Jerzy). *Agresja na Jugosławie 1941.* Str. 213 i 3 nlb. (Wyd. Instytut Zachodni — Studium Niemcoznawcze Instytutu Zachodniego nr 32, Poznań, 1979; cena zł. 55).

GILMONT (J.-Fr.). *Etre laïc en Pologne aujourd'hui.* (Nadbitka z *Revue théologique de Louvain*, 10^e année 1979, fasc. 3 — str. 353-358, Louvain-la-Neuve).

MEDLIN (William K.), CAVE (William M.), CARPENTER (Finley). *Education and Development in Central Asia. A Case Study on Social Change in Uzbekistan.* Str. 285 i 23 nlb. z mapą, 38 tablicami i 33 ilustracjami, bibliografią i Indekssem. (Wyd. E. J. Brill, Leiden, 1971).

SZPORLUK (Roman). *Poland.* (Nadbitka z *Crises of Political Development in Europe and the United States.* Wyd. przez Raymond Grew w Princeton University Press, Princeton, N.J., 1978; str. 383-418).

KORBONSKI (Stefan). *Unknown Chapter in the Life of Menachem Begin and Irgun Zvai Leumi.* (Nadbitka z *Revue Canadienne des Etudes sur le Nationalisme*, vol. VI, No 1, Spring/Printemps 1979, str. 97-102; Publ. at the University of Prince Edward Island).

SYMMONS - SYMONOLEWICZ (Konstantin). *A Sociological Analysis of Polish-Americans.* (Nadbitka z *The Polish Review*, str. 76-79).

WOJTYŁA (Karol). *Der Gedanke ist eine seltsame Weite.* Betrachtungen Gedichte. Autoryzowany przekład z języka polskiego i poślowie Karl Dedecius. Str. 205 i 3 nlb. (Wyd. Herder Freiburg in

Breisgau, Basel-Wien, © Libreria Editrice Vaticana, 1979).

LEHNERT (Marek), PETTI (Lucia). *La Chiesa, la Sinistra e il Dialogo.* (Nadbitka z *Il Mulino* nr 263, maggio-giugno 1979, str. 464-468).

MROŻEK (Slavomir). *Proleće u Poljskoj.* Izbrane pripovetke. Wybór i przekład z polskiego Petar Vujičić. Str. 162 i 6 nlb. (Wyd. Izdavačka Radna Organizacija „RAD”, Beograd, 1979).

KISIELIEW (Aleksandr, prot.). *Oblik gienierala A. A. Własowa.* (Zapiski wojennego swiaszczennika). Str. 205 i 3 nlb. (Wyd. Put' Żyzni, St. Seraphim Foundation, Inc., New York, N.Y.).

Niedawno otrzymaliśmy *Przewodnik po cmentarzu na Bródnie oraz Przewodnik po cmentarzu powązkowskim.* Przewodniki te wydane przez „Radę Prymasowską budowy kościołów w Warszawie” w nakładzie 10.000 egzemplarzy, są opracowane w sposób przejrzysty, z licznymi fotografiami ważniejszych czy bardziej charakterystycznych grobów i na pewno będą cenną pomocą dla ludzi przyjeżdżających z prowincji i zza granicy. Uderza tylko, że nie wymieniono m.in. grobu Marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego oraz płk. Walerego Ślawka.

PRZEMIANY

PISMO POLSKIEJ PARTII SOCJALISTYCZNEJ
Wydaje Komitet Główny PPS w Niemczech.

ARTYKUŁY, OPINIE, WIADOMOŚCI I OCENY Z KRAJU.

Ukazuje się od roku 1974 raz na dwa miesiące.

Prenumerata roczna razem z przesyłką DM 15,00 lub równowartość.
Przesyłka lotnicza do USA i Kanady — dopłata DM 10,00
Do Australii — dopłata DM 15,00.

Cena numeru pojedynczego (16 str.): DM 1,00, podwójnego: DM 2,00

Zamówienia prosimy kierować:

T. PODGÓRSKI — 8 MÜNCHEN 40, UNGERERSTR. 47.
W. GERMANY

KRAJ — BLOK WSCHODNI

15-9-79

W Warszawie odbyła się międzynarodowa konferencja naukowa na temat „Jan Baudouin de Courtenay a lingwistyka światowa” zorganizowana w 50 rocznicę śmierci wybitnego uczonego. Uczni z 24 krajów z czterech kontynentów przygotowali na konferencję ponad 100 referatów.

16-9-79

W ramach Festiwalu Muzyki Współczesnej „Warszawska Jesień” orkiestra Filharmonii Narodowej wykonała m.in. utwory Romana Palestra.

20-9-79

W Czechosłowacji zmarł, w wieku 84 lat, generał Ludvik Svoboda, organizator Legionu Czeskiego w Polsce w 1939 roku, dowódca korpusu czechosłowackiego w ZSSR, od 1968 do 1975 roku prezydent Czechosłowacji.

21-9-79

Uniwersytet Wileński nadał doktorat *honoris causa* profesorowi Uniwersytetu Jagiellońskiego Janowi Safarewiczowi, znanemu specjalście w dziedzinie językoznawstwa indoeuropejskiego.

23-9-79

Uruchomiona została bezpośrednia łączność satelitarna między PRL a Kubą. Łączność została nawiązana poprzez stację satelitarną w Psarach i satelitę geostacjonarnego, pracującego w systemie „Intersputnik”.

27-9-79

Tygodnik *Literatura* donosi, że w pierwszych sześciu miesiącach br. wykryto kradzieże mienia społecznego na sumę 752 miliony złotych. Wśród przestępców znalazło się 320 dyrektorów, wicedyrektorów i głównych księgowych.

30-9-79

4.000 studentów i doktorantów polskich kształci się za granicą. Nie są oni jednak objęci ustawą o planowym zatrudnieniu. W 1978 roku i w bież. roku 15 absolwentów Instytutu Łączności w Moskwie nie otrzymało żadnej oferty pracy. ■ *Rynki zagraniczne* donoszą, że 600 tysięcy obywateli PRL posiada w Banku PKO na swych kontach waluty o równoważności 500 milionów dolarów. W bież. roku Pewex sprzedał towarów za około 200 milionów dolarów. ■ W ZSSR studiuje obecnie ponad 100 doktorantów z PRL. Ich studia mają trwać 3 lata. ■ W Moskwie odnalazły się cenne a nieznane rękopisy polskie, pochodzące z kolekcji Ignacego Żegoty Onacewicza, polskiego historyka, profesora Uniwersytetu Wileńskiego w latach 1818-1828.

1-10-79

W czerwcu br. ukazał się pierwszy numer pisma młodzieży licealnej *Uczeń polski*, wydawanego poza cenzurą. ■ Polski Oddział Stowarzyszenia Kultury Europejskiej przyznał doroczną nagrodę za popularyzację kultury polskiej w świecie prof. dr Marynie Bersano-Beguey, kierownicze instytutu „Di Cultura Polacco”. ■ W 137 przedsiębiorstwach katowickich przeprowadzono kontrolę cen. Na 6.394 skontrolowanych wyrobów ceny 1.054 były zbyt wysokie. ■ Ukazało się nowe pismo poza cenzurą — *Wolne słowo*. Jest to pismo regionalne, wydawane przez region kalisko-sieradzki Ruchu

Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Wychodzi systematycznie co dwa tygodnie w nakładzie 500 egzemplarzy. Redakcja pisma składa się z Antoniego Piętkiewicza, Tadeusza Wolfa, Bogusława Śliwy (b. prokuratora) oraz Zenobii Cieślińskiej.

10-10-79

Fabryka Sprzętu Przeciwpożarowego w Otwocku koncentruje się obecnie na jednym zamówieniu, a mianowicie wyprodukowaniu sześciu wozów opancerzonych, z działkami wodnymi oraz przyrządami do rozpylania farby (dla celów identyfikacyjnych, gdyż farby nie da się usunąć z ludzkiej skóry szybciej niż przed 36-ciu godzinami). Pojazdy te mają być dostarczone do 31 grudnia br. Zamówienie to interpretowane jest w ten sposób, że władze liczą się z dalszym pogorszeniem sytuacji rynkowej i z demonstracjami. ■ Cichy, włoski strajk w Warszawskiej Fabryce Sprzętu Łączności (a więc faktycznie w fabryce wojskowej) zakończył się, gdyż w fabryce tej otwarto sklep żywnościowy, wystarczająco zaopatrzone. Prawdopodobnie będzie to wzorem dla innych zakładów, jasne że kosztem normalnego rynku. ■ Między Polską i Kanadą została zawarta umowa zbożowa, zakładająca dostawę do Polski w latach 1980-1982 do 1,5 mln. ton zboża rocznie na warunkach kredytowych.

ZACHÓD — EMIGRACJA

15-9-79

Jarosław Iwaszkiewicz otrzymał nagrodę Premio Mondello za całokształt swojej twórczości. Włoska Premio Mondello jest przyznawana w zakresie literatury społecznej, współczesnej, prozy i poezji. ■ W pierwszym kwartale bież. roku został wybrany nowy zarząd Ogniska Polskiego w Rzymie. Prezesem został p. Władysław Wachała, wiceprezesem dr Józef Lichten. Do zarządu weszli: ks. Marian Burniak, Stanisław Gebhardt, ks. Mieczysław Kowalczyk, Wacław Krzywiński, Stella Morawska, Wanda Wachałina i Witold Wyszynski. ■ Z okazji 25-lecia *Wiadomości Polskich* w Australii, pod redakcją Jana Dunin-Karwickiego, ukazał się specjalny dodatek pt. „Srebrny Jubileusz”.

1-10-79

W Towarzystwie Historyczno-Literackim w Paryżu Marcin Król wygłosił odczyt pt. „Myśl historyczna i jej miejsce we współczesnej kulturze polskiej”.

2-10-79

Narodowiec, pismo codzienne ukazujące się w Lens (Francja), obchodziło 70-lecie swego istnienia. Redaktorem *Narodowca* jest Michał Kwiatkowski, syn założyciela pisma.

4-10-79

Zmarł w Laloubère (Francja), w wieku 74 lat, Wacław Zyndram-Kościałkowski, b. radca MSZ, autor licznych wspomnień i esejów drukowanych w prasie emigracyjnej. ■ Stowarzyszenie Studentów Polskich we Francji zorganizowało odczyt prof. Wiktora Sukiennickiego pt. „Państwo narodowe i wielokulturowe”, odczyt odbył się w gmachu YMCA w Paryżu.

13-10-79

W Londynie odbyło się walne zebranie Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

DLACZEGO JAN PAWEŁ II NIE ODWIEDZIŁ
AMERYKAŃSKIEJ CZĘSTOCHOWY

W ciągu września tutejsza prasa podjęła wielką kampanię w sprawie sanktuarium Matki Boskiej w Doylestown koło Filadelfii, potocznie zwanego „amerykańską Częstochową”. Opiekunami i inicjatorami budowy tego sanktuarium są polscy paulini. Bohaterem afery jest O. Michał Zembrzusi. Oto kilka sensacyjnych tytułów sążnistych reportaży prasowych (syndykalizowanych): „Powstanie i upadek zakonu paulinów”, „Katolicy starali się zatuszować skandal kościelny”, „Skandal Kościoła katolickiego ilustruje *polish power*”. Oto najważniejsze dane tej afery według amerykańskiej prasy: 4,6 milionów dolarów niespłaconych długów zaciągniętych przez O. Zembrzuskiego na podstawie wątpliwych i zakwestionowanych gwarancji, wystawny tryb życia i niemoralne prowadzenie się niektórych zakonników (włącznie z O. Zembrzuskim), cofnięcie przez Jana Pawła II mandatu dwóm wizytatorom apostolskim mianowanym przez Pawła VI, którzy mieli przywrócić porządek (dyscyplinarny i administracyjny). Autorzy reportaży przytaczają dokumenty kościelne (m.in. raport jednego z amerykańskich wizytatorów apostołskich) i oskarżają Prymasa Polski, że zamiast ukarać zakonników winnych nadużyć finansowych, roztoczył nad nimi protekcję i przeciwstawił się „decyzjom moralizatorskim” Pawła VI-go. Ataki nie oszczędzają osoby Jana Pawła II-go. Zarzuca się mu że „nakazał wizytatorom apostolskim zamknięcie sprawy”, „aprobował poprzez dekret z 21 maja br. nielegalny akt kard. Wyszyńskiego” i „włączył O. Zembrzuskiego do swej świty jako tłumacza podczas wizyty w Polsce”. Jak wygląda naprawdę ta afera? Ciągnie się ona od wielu lat, nie może więc nie wzbudzać podejrzeń, iż wszczęto hałas tuż przed samym przyjazdem Jana Pawła II-go do USA. Za tą kampanią ukrywa się niewątpliwie kilku paulinów „rozrabiaczy”, którzy nie chcieli podporządkować się decyzjom Prymasa Polski. Kard. Wyszyński na mocy specjalnych pełnomocnictw, upoważniających go do sprawowania władzy zwierzchniej nad zakonami*, zdjął w marcu 1978 roku z funkcji generała paulinów w Częstochowie O. Grzegorza Kotnisa i członków zarządu tego zgromadzenia. Były podobno dowody kolaboracjonizmu z władzami reżymowymi i frakcyjnej działalności, czego Prymas Polski – w trosce o utrzymanie spo-

* O ile nam wiadomo, kardynał Wyszyński nie ma jurysdykcji nad zakonami w Polsce, które podlegają bezpośrednio Rzymowi. Specjalne pełnomocnictwa w tej dziedzinie Kardynał otrzymał w okresie stalinowskim, kiedy były ogromne trudności w komunikowaniu się z Rzymem. Od szeregu lat te pełnomocnictwa nie obowiązują. — Redakcja.

istości hierarchii i duchowieństwa — nie mógł tolerować. Kilku zbuntowanych zakonników opuściło wówczas kraj i po nieudanych próbach stordowania akcji ks. Prymasa w Watykanie, przeniósł się do USA. Rozpoczęli tu brudną robotę, wysyłając m.in. na wszystkie strony paszkwile anty-prymasowskie (ku radości swych inspiratorów z warszawskiego M.S.W.). Afera ma więc wymowę polityczną i podłoże dyscyplinarne (pięciu paulinów *nota-bene* wniosło podanie o sekularyzację czyli zwolnienie ze ślubów zakonnych i wystąpienie ze zgromadzenia). Aspekt finansowy tej afery jest z grubsza biorąc zgodny z tym co podaje prasa. Nie można jednak jednoznacznie stwierdzić, że jej bohater jest aferzystą i działał z pobudek czysto osobistych. O. Zembrzusi, dynamiczny i przejęty (prawdopodobnie ponad swe możliwości) amerykańskim stylem zarządzania, niewątpliwie potknął się, zawierzył ludziom z kręgów biznesowych, którzy mu najpierw pomogli, a potem wycofali się i zostawili na lodzie. Dla budowy gigantycznego sanktuarium w Doylestown uwikłał się w ryzykowne spekulacje i „dzikie inwestycje”. Rezultat: ogromne zadłużenie, stały wzrost procentów od niespłaconych pożyczek bankowych i obligacji, procesy sądowe. Klucz do rozwiązania tej sprawy znajduje się w ręku Ojca Świętego. Nawet kardynał J. Król, który Go gościł w Filadelfii, nie pomoże (starał się już zresztą to uczynić). Na skutek konfliktowej sytuacji i kampanii prasowej Jan Paweł II był zmuszony skreślić „amerykańską Częstochowę” z programu swej wizyty. Rozgłos publiczny wokół amerykańskiej Częstochowy wywołał duże zaniepokojenie wśród tutejszej Polonii. Byłoby bardzo wskazane aby najwyższe czynniki kościelne — Stolica Apostolska i Sekretariat Prymasa Polski — zabrały głos w tej sprawie.

B. S.
Nowy Jork

Jury Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku przyznało nagrodę w wysokości \$ 400,00 ufundowaną przez p. Irenę Wandyczową, duńskiemu historykowi Kay Lungreen-Nielsenowi za jego książkę „The Polish Problem at the Paris Peace Conference”. ■ Medicus — Polish-American Medical Society przyznało złote medale Millenium następującym osobom: ks. Kardynał Macharski, dr Jadwiga Pawłowska (Kraków), dr Zbigniew M. Lorenc (z Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie), dr Tadeusz W. Drozdowski (z Polish School of Medicine w Edynburgu i z Akademii Medycznej w Zabrzu), dr Jan M. Kosmowski (Poznań) i dr Marian B. Markiewicz (Poznań). ■ Burmistrz Nowego Jorku, Edward Koch, proklamował dzień 24 września 1979 roku „Dniem Prasy Polsko-Amerykańskiej”. Na uroczystość w ratuszu nowojorskim zostali zaproszeni przedstawiciele miejscowej prasy polonijnej oraz niektórych instytucji polsko-amerykańskich. Prasę polonijną reprezentował p. Bolesław Wierzbiański, redaktor naczelny *Nowego Dziennika*. Po zagajeniu przez asystenta burmistrza, Herberta Rickmana, zabrał głos prezydent miasta, Edward Koch i odczytał tekst „proklamacji”. Kolejnymi mówcami byli pp. Bolesław Wierzbiański, oraz prof. Feliks Gross, dyrektor Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku.

Listy do Redakcji

Do Redaktora Naczelnego *Kultury*
Paryż.

Szanowny Panie!

Londyn, 20 października 1979.

Uprzejmie proszę o łaskawe zamieszczenie na łamach Pańskiego pisma następującego sprostowania.

W numerze *Kultury* z sierpnia/lipca br., na str. 223, ukazała się wzmianka następującej treści:

„Zwraca uwagę fakt, że listy czy apele J. Giertycha, wysyłane pocztą, mają charakter masowy. Podobno przyczynił się do tego Przetakiewicz z PAX'u”.

Stwierdzam, że wysłałem do kraju w sposób masowy tylko jeden „list” i „apel”, mianowicie „List otwarty do społeczeństwa polskiego w kraju” z dnia 1 czerwca 1976 roku. Mimo, że wszystkie moje wydawnictwa ulegają w kraju konfiskacie, list ten wysłałem pocztą, w dniu 29 czerwca 1976 roku, w 793 własnoręcznie zaadresowanych kopertach, powodując się nadzieją, że z uwagi na jego treść, pocztą być może list ten przepuści. List mój, jak się okazało, istotnie został przez pocztę przepuszczony. Rozesłałem go pod adresami, które wzięłem z „Annuario Pontificio”, „The Statesman's Yearbook”, „The World of Learning”, z almanachu międzynarodowego prasy codziennej i periodycznej i z mapy nowego podziału administracyjnego Polski. Pana Przetakiewicza nie znam i rzecz prosta w niczym się on do mego wystąpienia nie „przyczynił”.

Łączę wyrazy poważania,

Jędrzej GIERTYCH

Melbourne, 29 września 1979.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Ze zdumieniem przeczytałem w *Kulturze* nr 5/ 380 w dziale „Odpowiedzi Redakcji” króciutkie zdanie „H. K., Londyn. Przyjmujemy do wiadomości Pana sprostowanie, że śp. prałat Piotr Tatarynowicz był Polakiem”.

Otóż bardzo proszę Pana Redaktora o sprostowanie tego „sprostowania” p. H. K. Znałem śp. ks. prałata P. Tatarynowicza od bardzo dawna i wiem, że on nigdy za Polaka się nie uważał a był znanym i cenionym społeczno-religijnym działaczem białoruskim już w czasie międzywojennym. Po wojnie, od roku 1950 do 1975 był w Rzymie redaktorem-wydawcą białoruskiego czasopisma społeczno-religijnego *Znič* (*Znicz*), od roku 1950 do 1970 kierownikiem sekcji białoruskiej Radio Vaticana. W Rzymie wydał w roku 1949 modlitewnik białoruski „Hołas Duży” („Głos duszy”). Prócz tego był tłumaczem na język białoruski i wydawcą Świętej Ewangelii, Dziejów Apostolskich, Listów Świętych Apostołów, Psalmów Pokutnych, Mszy Świętej w języku białoruskim oraz tłumaczem na język białoruski i wydawcą „Quo vadis” H. Sienkiewicza. Śp. ks. prałat dr P. Tatarynowicz był także autorem szeregu artykułów na tematy białoruskie we włoskich czasopiśmie religijnych.

Oto, z grubsza, daleko nie wszystkie przejawy działalności białoruskiej śp. ks. prałata dr. Piotra Tatarynowicza.

Zaliczanie go do Polaków jest jakimś nieporozumieniem, które proszę uprzejmie sprostować.

Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego szacunku,

mgr A. KOŁODKO

Monachium, 4 października 1979.

Do Redakcji *Kultury*
w Paryżu.

Wrześniowy numer *Kultury* przyniósł dwie dalsze wypowiedzi na temat Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, pióra nieznanymi bliżej autorów. Raz jeszcze *Kultura* przedstawia w tych wypowiedziach fałszywy obraz audycji nadawanych przez nas do kraju, posługując się tym razem prócz ogólnikowych potępień swoistym „materiałem dowodowym”, m.in. w postaci kilku konkretnych ale za to nieprawdziwych zarzutów.

Nieprawdą jest, że tematyki krajowej jest obecnie w naszych audycjach „znacznie mniej”, zwłaszcza w audycji „Fakty Wydarzenia Opinii”. Natomiast prawdą jest, że audycje dotyczące spraw polskich zajmują coraz więcej miejsca w całym naszym programie w związku z rozwojem sytuacji w kraju. Według (opublikowanych) statystyk amerykańskich w roku 1975 było tych audycji przeciętnie około 33 %, w roku 1977 — 43 % a w roku 1978 — z górą 44 %, znacznie więcej niż o swych krajach mówią wszystkie inne rozgłoszenie RWE. (Wrześniowy numer *Kultury* problematyce krajowej poświęca około 25 % — nie licząc beletrystyki).

Nieprawdą jest również, że nasze audycje o Polsce „dotyczą spraw mało ważnych” — natomiast prawdą jest, że w ogromnej większości, zwłaszcza w codziennym programie „Fakty Wydarzenia Opinii” dotyczą one kluczowych spraw takich jak: 1) nadużycia władzy i prześladowania; 2) działalność opozycji demokratycznej; 3) sytuacja gospodarcza; 4) stosunki między Kościołem i państwem; 5) komunistyczna dezinformacja; 6) stosunki Polski z Rosją i Zachodem.

Nieprawdą jest także, że wykazujemy „dużą pobłażliwość dla aparatu bezpieczeństwa”, natomiast prawdą jest, że systematycznie piętnujemy brutalne postępowanie milicji i bezpieki i wbrew temu co sugeruje informator *Kultury* wymieniamy odpowiedzialnych funkcjonariuszy po nazwisku. (Np. we wrześniu zajmowaliśmy się tymi sprawami 10 razy).

Nieprawdą jest, że nadaliśmy bez własnego komentarza tłumaczenie artykułu redaktora *Polityki* i członka KC Rakowskiego w londyńskim dzienniku *Guardian*, natomiast prawdą jest, że opatrzyliśmy ten tekst na początku i na końcu komentarzem podkreślając, że Rakowski co innego ogłasza zagra nicą a co innego pisze w swej *Polityce*, i wskazując na niezgodność jego ocen na użytek zewnętrzny z rzeczywistą sytuacją w kraju. Podobnych audycji o propagandowych wystąpieniach Rakowskiego było kilka w tym okresie.

Chyba to wystarczy, by zdać sobie sprawę z rzetelności tych krytyk. Ich autorzy stosują ponadto różne inne chwytliwy: fałszywe interpretacje, przemilczenia, uniki, insynuacje — byle tylko w jak najczarniejszych barwach odmalować naszą działalność.

Rzecz jasna, muszą się i u nas zdarzać pomyłki czy niewłaściwe lub kontrowersyjne decyzje redakcyjne. Metody naszej pracy, jej charakter i cele a przede wszystkim nasze trudności — to sprawy na pewno godne przedyskutowania na łamach emigracyjnej prasy. Ale czy rzeczywiście nie może to się odbyć bez szkalowania i zmyśleń?

Żałować wypada, że Redakcja *Kultury* dała się tak dalece wprowadzić w błąd swym informatorom i z kolei wprowadza w błąd swych czytelników, nie usiłując nawet sprawdzić u źródła ogłaszanych w *Kulturze* pseudo-informacji o naszych audycjach. Pozostaje pytanie, kto stoi za tą akcją i czemu ona ma służyć.

Z. MICHAŁOWSKI
Dyrektor Rozgłośni Polskiej
Radia Wolna Europa

Forma i ton listu p. Michałowskiego nie nadają się do polemiki, można by go jedynie zapytać: jeśli jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle?

Rolę i znaczenie Radia Wolna Europa doceniamy nie gorzej, a może i lepiej niż p. Michałowski. Jeśli krytykujemy, to jedynie w tym celu, aby radio lepiej spełniało swoje obowiązki, by wyszło z marazmu i skostniałej rutyny i zaczęło mówić pełnym głosem. Wiemy, że sytuacja jest na pewno bardzo trudna ze względu na politykę amerykańską i niekompetentne kierownictwo amerykańskie (w którym, niestety, są również Amerykanie polskiego pochodzenia) etc., ale wiele zależy także od postawy kierownictwa i współpracowników Polskiej Sekcji. (*Redaktor*).

28 września 1979.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W rubryce „Wydarzenia miesiąca” (*Kultura* Nr 5/380, str. 148 — 22-3-70), na temat odbytego walnego zebrania Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Bibliotece Polskiej w Paryżu, została poruszona sprawa zaprzestania udzielania pomocy finansowej przez mnie i moją fundację wspomnianej bibliotece.

Oświadczenie wiceprezesa ustępującej Rady p. płk Mariana Czarneckiego, implikuje w sposób negatywny moje stanowisko w stosunku do Rady i Biblioteki.

Aby i druga strona była wysłuchana — proszę o umieszczenie mojego oświadczenia w poruszanej sprawie.

Od pierwszej chwili mojego zainteresowania się problemami Biblioteki Paryskiej, po dzień dzisiejszy — kierowała mną i moim mężem jedynie chęć wywyższenia Biblioteki z jej kłopotów finansowych. Nie mieliśmy absolutnie na myśli osobistych korzyści. Wiążąc naszą pomoc z moją fundacją — uważaliśmy za jedyny, prawny, sposób przelewania funduszy na Bibliotekę. Naturalnie braliśmy pod uwagę prawo amerykańskie i francuskie. Moje rozmowy z przedstawicielami Rady i korespondencje z ks. Poniatowskim i Hubert d'Ornano — i ich odpowiedzi — są dowodem, że moja propozycja była realna i do przyjęcia. Przewidywaliśmy ewentualne zmiany, które by z punktu widzenia prawnego zabezpieczyły historyczne i polskie posiadanie tej, tak ważnej dla Narodu Polskiego, placówki.

W międzyczasie przekazałam na rzecz Biblioteki ok. 250.000 dolarów, która to suma była początkiem naszego z mężem zaangażowania się w Bibliotekę Paryską.

Nie przeprowadzono konsultacji ze mną na temat poprawek i zmian w mojej propozycji, jakie władze biblioteki uważały za konieczne, przeprowadzenia wyborów nowych władz bez jednej rozmowy ze mną — są dla nas dowodem, że władze biblioteki nie zamierzają naradzać się z nami. Dlatego wycofałam się z akcji pomocy dla Biblioteki, choć niezupełnie, ponieważ roczną pensję 12.000 dolarów dla jednego członka zarządu pozostawiłam w mocy i sumę tę będę nadal honorować.

Dziękuję Szanownemu Panu Redaktorowi za ułatwienie mi na szpaltach *Kultury* przedstawienia mojej wersji w powyższej sprawie.

Łączę wyrazy poważania,

Barbara PIASECKA JOHNSON

Polskie Towarzystwo Historyczno-Literackie po zapoznaniu się z listem Pani Barbary Johnson informuje że list ten przedstawia stosunki Fundacji Barbary Johnson z Towarzystwem Historyczno-Literackim w sposób niekompletny i uproszczony. Rada THL wypowie się obszerniej w tej sprawie w grudniowym numerze *Kultury*.

Londyn, 24 września 1979.

Drogi Panie Redaktorze,

W artykule polemicznym pt. „Łatwizna” (*Kultura* Nr 9 z 1979 r.) Witold Wirpsza powołuje mnie do braterstwa czterech — wraz z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim, Jackiem Bierezinem i pewnym anonimowym studentem — w którym to braterstwie każdy dźwiga odpowiedzialność za wszystkie poglądy pozostałych. Towarzystwo dwóch pierwszych nie jest mi niemiłe, do związku z anonimowym studentem nie czuję ochoty, a w ogóle wystarczy mi zupełnie brzemień odpowiedzialności za to co sam piszę i podpisuję.

Czytelnik nie ma obowiązku pamiętać, co naprawdę powiedziałem w szkicu „Opowieść o prawdziwym Polaku” na temat podjęty przez p. Witolda Wirpszę. Stwierdzam więc stanowczo, że „nawróconych” już dawno pisarzy, takich jak Kołakowski, Konwicki i Woroszyński — luminarzy dzisiejszej opozycji demokratycznej i nieocenzonej działalności twórczej — ja lubię, cenię i szanuję. Wcale nie wymagam, by się publicznie wciąż bili w piersi za młodzieńczy grzech stalinizmu. Uważam, że ten grzech nie jest dziś sprawą publiczną, a w każdym razie dawno powinien przestać nią być. Jednocześnie myślę, że tenże „grzech” stanowi wielką i dotychczas słabo wyzyskaną szansę tworzącą tych pisarzy. Przecież narodziny stalinowskiego potworka, z którego nam wyrosła Polska Ludowa, odbywały się niejako w ich własnej, kształtującej się świadomości.

Każdy poszczególny wypadek jest „poszczególnym właśnie i osobnym” — pisze Witold Wirpsza na temat owych młodzieńczych zaangażowań. Tak jest. I wstrząsy społeczne muszą zostać przetworzone przez indywidualną, „poszczególną i osobną” wrażliwość po to, by w kulturze stać się mogły znowu własnością wspólną.

Z poważaniem,

Bolesław SULIK

Frankfurt, 26 września 1979.

Do P. Jadwigi Kwiatkowskiej,
Autorki „Życia codziennego w PRL”
z nr. 9/384 *Kultury*.

Szanowna Pani,

Pani artykuł opisuje bardzo trafnie materialne niedostatki życia w Polsce. Wyjechałem z kraju niedawno i mogę powiedzieć, że to co Pani pisze zgodne jest z rzeczywistością, z moimi własnymi obserwacjami oraz ze stanowiskiem przeciętnego Polaka. Przeciętnego — niestety.

Odnoszę bowiem wrażenie, że lamenty, jakie ogromna większość obywateli PRL wygłasza nad ladą sklepową służą jedynie jako substytut prawdziwej odpowiedzialności za losy kraju. Chciałbym powiedzieć coś, na co nie zdobywają się politycy: to prawda, że rządząca partia odpowiedzialna jest za katastrofalne w skutkach decyzje gospodarcze, tym niemniej tzw. szary obywatel bardzo ułatwia partii to anty-rządzenie poprzez swoją bierność i brak odwagi.

Czy nie sądzi Pani, że np. wymuszenie na dzielnicowym kacyku budowy przedszkola byłoby pożyteczniejsze — tak dla matek jak i dla godności narodowej — niż trzydzieści parę lat wszystkich utyskiwań razem? Nie zrobią tego jednak nawet najbardziej aktywni spośród otwartej opozycji — nie oni bowiem spędzają sen z oczu rządzących. Naprawdę groźne jest dla nich jedynie (pozwolę sobie użyć określenia Brandysa) „porozumienie się ludzi”. Porozumienia tego w Polsce brakuje, smutno o tym pisać, ale podobna myśl kieruje też chyba częścią VII Pani artykułu.

Jest natomiast jakieś „pseudo-porozumienie”, które obok ogólnonarodowych narzekañ przejawia się w opowiadaniu dowcipów politycznych (niektóre z nich są tak świetne, że pozwalają mi zapomnieć o politycznych młodościach, jakie ogarniają mnie na wspomnienie samego zjawiska dowcipomanii). Jednak krytyki w cztery, czy nawet w czternaście oczu partia się nie boi — nie słyszałem np. aby ktoś siedział w więzieniu za opowiadanie dowcipów politycznych. Z różnych powodów (zależność finansowa od Zachodu, wewnętrzne rozgrywki bonzów) Polska nie jest obecnie krajem masowego terroru policyjnego, a ilość indywidualnych aktów bezprawia jest odwrotnie proporcjonalna do aktywności politycznej społeczeństwa.

Przeciętny, szary obywatel nie wykorzystuje chwilowej koniunktury — waziutki margines, w którym można by jeszcze zabrać głos i zmusić partię do ustępstw pozostaje niezapisany.

Nie braki rynkowe są istotą kryzysu naszego kraju i nie kawały o „Rusku” (który cierpi bardziej od nas) stanowią nań lekarstwo.

Józef WISNIEWSKI

Rzym, 26 września 1979.

Szanowny Panie Redaktorze!

Lubię i cenię pióro Józefa Mackiewicza i jest mi tym bardziej przykro, gdy jest on w swych wypowiedziach niecisły, lub — jeszcze gorzej — gdy mija się z prawdą.

Czytam we wrześniowym numerze *Kultury* list Mackiewicza do Redakcji i natrafiam na taki jego fragment:

„Od śmierci nieodżałowanej pamięci duchowego opiekuna emigracji, ks. arcybiskupa Józefa Gawliny — który w oświadczeniu jeszcze z 15 października 1956 roku nazwał siebie: 'jedynym członkiem Episkopatu Polskiego w wolnym świecie' — żaden biskup polski (podkreślenie moje — W.Z.) nie celebrował mszy żałobnej za pomordowanych w Katyniu. Mianowany przez prymasa, po śmierci arcybiskupa Gawliny, duszpasterzem 'uchodźstwa polskiego' biskup Rubin, dziś kardynał, nie odprawił nigdy (znów podkreślenie moje — W.Z.) w rocznicę lub nie w rocznicę zbrodni katyńskiej, uroczystych modłów za dusze pomordowanych”. I tak dalej.

A właśnie, że nieprawda.

O ile pamiętam, to ja właśnie byłem autorem notatki, jaka ukazała się w nr. 20 z 17 maja 1970 roku londyńskich *Wiadomości*; potwierdzeniem tego jest identyczna notatka w biuletynie *Kombatant*, wydawanym w Rzymie, a redagowanym i niemal w całości wypełnianym przeze mnie. Notatka

ta mówi o nabożeństwie odprawionym za pomordowanych w Katyniu w rzymskim kościele św. Stanisława przez ks. biskupa Władysława Rubina dnia 19 kwietnia 1970 roku. Ksiądz biskup Rubin nie tylko celebrował wówczas mszę św., ale wygłosił także kazanie, w którym m.in. powiedział: „Cel tej zbrodni był jasny. Gdyby ci pomordowani żyli — walczyliby dalej o wolność ojczyzny. Ale ofiara ich na pewno nie będzie daremna, wcześniej czy później zatryumfuje prawda i sprawiedliwość”. Zdanie to i w *Wiadomościach* i w *Kombatancie* ujęte jest w cudzysłów, jest więc wiernym powtórzeniem urywku kazania, dokonany na świeżo.

„Nigdy” znaczy ani razu, raz jeden choćby już nie jest „nigdy”. A to nabożeństwo za pomordowanych w Katyniu przez ks. biskupa Władysława Rubina nie było jedyne, były i inne, odprawiane także na prośbę SPK we Włoszech. Jest między nimi i udział ks. biskupa Rubina w nabożeństwie na tę samą intencję, odprawionym przez księdza infułata prof. Waleriana Meysztowicza. Nie poruszam tu sprawy braku nabożeństw za poległych w Katyniu — w kraju. To jest zupełnie inna sprawa, nie na ramy tego listu, co zresztą w pewnym sensie przyznaje i p. Józef Mackiewicz.

Myślę, że wiadomy jest p. Mackiewiczowi fakt, że reżym nie zgodził się na objęcie przez księdza biskupa Władysława Rubina stolicy wrocławskiej po śmierci księdza kardynała Bolesława Kominka. To chyba coś mówi.

I jeszcze jedna sprawa: w ubiegłym roku zjazd SPK we Włoszech zwrócił się do księdza biskupa Rubina z prośbą o miejsce przy kościele św. Stanisława w Rzymie na tablicę upamiętniającą Katyń; mam zgodę na piśmie księdza Biskupa Rubina w tej sprawie — trzeba jeszcze tylko małej formalności w postaci zgody rady kościelnej.

Tyle w imię prawdy.

Witold ZAHORSKI
Prezes SPK we Włoszech

(Dalszy ciąg Wpłat ze str. 2-giej)

WPLATY NA KSS „KOR”

Chilecki Andrzej J., Kolonia (RFN) — zamiast kwiatów na grób śp. Zygmunta Hertza	F 117,00
Dwoje nowych emigrantów, Melbourne (Australia)	F. 179,89
Le Syndicat des Professeurs de l'Université du Québec à Chicoutimi (Kanada) — \$ can. 200	F. 700,00

Andrzej Pleszczyński, Santa Barbara, Cal. (USA) — dla uczczenia pamięci Matki — Teresy z Karczewskich Pleszczyńskiej i siostry — Aliny z Pleszczyńskich Bentkowskiej, zmarłych w tym roku w Warszawie:	
Na Fundusz Kultury	F. 210,00
Na Radę Funduszu Praw Człowieka (ROPChO grupa L. Moczulskiego)	F. 210,00
Czytelnicy POMOSTU, Chicago, Ill. (USA) \$ 150,00 z czego:	
Dla Pulsu \$ 50,00	F. 210,00
Dla Placówki \$ 50,00	F. 210,00
Dla Zapisu \$ 50,00	F. 210,00
Na Apel „Konfederacji 76” w USA wpłacili: Oddział Boston:	
M. Stankiewicz, F. Dziadul, W. Ostrowski — po \$ 10,00;	
pp. Grabowscy, Sobocińscy, Lwowsky, F. Gotowicka, F. Jakowicka, A. Żołądkowski, S. Ilnicki, A. Gołda po \$ 5,00;	
Student z Warszawy — \$ 2,00 — razem \$ 72,00. Oddział Brooklyn: S. Korcył — \$ 20,00; M. Orłowski — \$ 17,00;	
H. Szuster — \$ 10,00; Z.A. — \$ 8,00; Turyci z Krakowa, z Polski i J. Stajszczyk po \$ 5,00 — razem \$ 70,00;	
Komitet Obywatelski przy „Konfederacji 76” — zebrane podczas Święta Żołnierza w Doylestown — \$ 52,17; Grupa „Kontakty” z San Francisco — \$ 41,00; R. Winowski — \$ 25,00; H. Rudnicka — \$ 20,00; R.K. — \$ 18,00;	
J. Adamciewicz i A. Zamojski po \$ 10,00; W. Horezga i bezimiennie po \$ 5,00; wolne datki — \$ 1,85 — razem \$ 188,02. Złożono w Redakcji Listów do Polaków: T. Błazejowski i J. Łuczyński po \$ 10,00; J. Wójcik — \$ 9,98; Koło S.P.K. w Portland — \$ 34,98. Ogółem zebrano \$ 365,00 z czego na:	
KSS „KOR” — \$ 100,00	F. 420,00
SKS — \$ 100,00	F. 420,00
Radę Sygnatariuszy Ruchu Oporu — \$ 50,00	F. 210,00
Radę Funduszu Praw Człowieka — \$ 50,00	F. 210,00
P.P.N. — \$ 50,00	F. 210,00

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt Légal: 4^e Trimestre 1979.

Imprimé en France

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002		R. 19,50	R. 37,00
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 4,00	\$ A 20,00	\$ A 38,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönla-ternegasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 218-69-23	F.B. 160,00	F.B. 900,00	F.B. 1 700,00
BRAZYLIA : prosimy o przesyłanie czeków do adm. „Kultury”	\$ US 4,00	\$ US 22,00	\$ US 42,00
DANIA : O.T. ZALEWSKI, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księ- garniach polskich w Paryżu	F. 17,00	F. 90,00	F. 170,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wieringenlaan 6, Vlissing- gen, Tel. (01184) 14073, Postgiro 1379176	Fl h 8,50	Fl h. 50,00	Fl. h. 90,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tél. (514) 465-2362; B. Kra- suski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin- Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Związkowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 5,00 DM 9,00 F. 17,00	\$ Can 26,00 D.M. 50,00 F. 95,00	\$ Can. 50,00 D.M. 90,00 F. 180,00
NIEMCY : St Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1.			
NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss			
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 8,50	F.S. 50,00	F.S. 90,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 17,00	F.S. 95,00	K.S. 180,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009, Tél. 475-8886. Ada Dziwanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tél. 871-48-47 Irena Kretowicz, 4254 34th St., San Diego, Cal. 92104, Tel. 284-6271; Krystyna Leser, 1725, 17-th Street, N.W., Washington D.C. 20009; M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234; F. Orze- chowski, Book, 2036 Chestnut str., Philadelphia, Pa 19103.			
POLONIA, Bookstore, 2886 Milwaukee Ave., Chicago, Il. 60618, tel. (312) 489-2554; R.J. Sas-Babczynski, 776 N. Van Ness Av., apt. 27, Los Angeles, Cal. 90038, tél. (213) 463-1817; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich, 48211	\$ US 4,00	\$ US 22,00	\$ US 42,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210	£stg. 2,15	£stg. 12,00	£stg. 22,50
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27., Tel. 75-67-241	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 180; półroczna — F. 95.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 2,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy)

Nowości wydawnicze

TOM 306 — CZESŁAW MIŁOSZ

OGRÓD NAUK

Eseje z dziedziny literatury i filozofii. — Przekłady poezji Charles Baudelaire'a, N. Bomze, Williama Cowpera, Thomasa Mertona, Oskara W. Miłosza, Williama Butlera Yates'a, Tomasa Venclovy, Walta Whitmana i Robinsona Jeffersa wraz z obszernymi notami o autorach i ich poezji a poprzedzone esejem „Gorliwość tłumacza”. — Esej o Eklezjastecie i przekład „Księgi Eklezjasty”.

Str. 256.

Cena F. 65,00.



TOM 308 — GEORGE ORWELL

(Wydanie III-cie)

1984

Ze wstępem M. Brońskiego

Str. 304.

Cena F. 75,00.



W ZNOWIENIA

GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI:

„INNY ŚWIAT”

(Wydanie 3-cie fotograficzne)

Str. 256.

Cena F. 45,00.



CZESŁAW MIŁOSZ:

DOLINA ISSY

(Wydanie 2-gie fotograficzne)

Str. 196.

Cena F. 50,00.



STANISŁAW SWIANIEWICZ:

W CIENIU KATYNIA

(Wydanie 3-cie fotograficzne)

Str. 360.

Cena F. 55,00.